

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

BŁĘKITY

Nr 1-4(54-57) Zielona Góra 2016 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Sfinansowano ze środków WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 1-4(54-57)/2016

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Małgorzata Gołębiewicz

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2017

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Małgorzata Mikołajczak, Robert Rudiak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, M. Chomont, A. Błazyńska, P. Janczaruk, archiwum prywatne
M. Mikołajczak, L. Kurzawy, J. Szewczyka, M. Gołębiewicz, S. Ronowicza

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
Mazowieckie Centrum Poligrafii

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl www.wimbp.zgora.pl www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Każdy kolejny numer „Pro Libris” cieszy wydawcę, autorów, czytelników, znawców i wielbicieli literatury. Głęboko wierzymy, że jest także dumą gospodarzy miasta i władarzy Ziemi Lubuskiej, w gestii których pozostają sprawy kultury, inwestowania w nią i jej twórców. Zakłócenia cyklu wydawniczego naszego pisma prawdopodobnie miną już w tym roku, jeśli decydenci dostrzegą jego kulturotwórczy dorobek, docenią pozycję czasopisma wychodzącego w Zielonej Górze, a odgrywającego przy tym istotną rolę w ogólnopolskim obrazie życia kulturalnego.

Wystarczy sięgnąć do historii utrwalonych w Lubuskim nagród, Lubuskich Wawrzynów, by dostrzec przychyłność władz dla kultury, nauki, mediów. Tradycja Lubuskiego Wawrzynu Literackiego trwa konsekwentnie i nieprzerwanie od 23 lat! Jest dorobkiem Biblioteki Norwida w Zielonej Górze, z udziałem partnerów (WiMBP im. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, lubuskie uczelnie wyższe, ZLP) i donatorów. Jednak bez wsparcia władz lokalnych nie byłaby możliwa jej realizacja... Decydenci kolejnych kadencji, bez względu na opcje polityczne, byli – i na szczęście są – zgodni w sprawie corocznego uhonorowania najwartościowszych literatów, naukowców i dziennikarzy lubuskich.

Takie, a pewnie jeszcze inne refleksje nasuną się Państwu przy lekturze obszernego artykułu pt. *Lubuskie Wawrzyny* autorstwa Mirosławy Szott i Roberta Rudiaka, którzy z benedyktyńską wręcz cierpliwością odtworzyli faktografię nagród lubuskich. Polecamy także wywiad z prof. Małgorzatą Mikołajczak, kierowniczką Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną, o nowym regionalizmie i literaturze lubuskiej. Odnotowujemy także jubileusz zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, konkurs „Winiarka”, Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Prezentujemy sylwetki twórcze osób, które odeszły w 2016 roku: Eugenię Pawłowską, Janusza Werstlera, Jana Muszyńskiego i Romanę Kaszczyc. Ponadto polecamy wiersze debiutujących na naszych łamach poetów (Michał Banaszak, Borys Róg, Krzysztof Jeleń, Jolanta Ciecharowska, Anna Piliszewska, Bogdan Nowicki), a także poezję i prozę autorów wielokrotnie publikowanych w „Pro Libris”. W numerze zamieszczamy również sporo recenzji i omówień książek, które ukazały się w ostatnim czasie na rynku wydawniczym. Całość numeru spaja grafika oparta na twórczości Małgorzaty Gołębicwicz. Zachęcamy również do przeczytania jej wierszy.

Spis treści

Od redakcji	3
Edward Derylak, Madras	6
Krzysztof Jeleń, Wiersze [Selfie, Widowisko, *** duszę się..., Bliskość]	10
Czesław Sobkowiak, Prozy	14
Michał Banaszak, Wiersze [Za granicą skóry, Plac Słowiański, Wyjście z cmentarza, Skąd ta niechęć do burzy]	19
Joanna Kapica-Curzytek, Róża medytująca	23
Agnieszka Ginko, Wiersze [Pasikoniki, Noc jak co dzień, Białe wieloryb, Matka dwulatka]	24
Marcin Radwański, Historia pewnego felernego gramofonu	28
Borys Róg, Wiersze [Człowiek, który jest zawsze tylko w połowie, *** pole jest jałowe..., Wybory, *** świat jest..., *** najokrutniejszym z miesięcy...]	33
Renata Diaków, Nowy świat	38
Jolanta Ciecharowska, Wiersze [taniec godowy atomów, nagi pociąg, światłocięń, mcm2, zegary przesyty]	40
Andrzej Chodacki, Ostatnie życzenie	44
Anna Piliszewska, Wiersze [Abur, niqaab, Grecja, stary taper i jego kapelusz]	47
Małgorzata Chomont, Dla chwili... ..	51
Bogumiła Różewicz, Wiersze [*** Mur porośnięty..., *** Idzie kobieta...]	52
Mirosław R. Kaniecki, Miasto jako czytelnia	54
Czesław Sobkowiak, Wiersze [*** Że usta..., *** Śpimy nad ranem..., *** Jestem głodny..., *** Tyle możliwości...]	57
Alfred Siatecki, Pokuta mojego dziadka	61
Bogdan Nowicki, Wiersze [Smutek sewastopolskich psów, Ogrodnik, Agnostyk, Błatny, Obcy, Makabreska]	69
ZBLIŻENIA	
Regionalizm jako humanistyczna awangarda. Z prof. Małgorzatą Mikołajczak, kierowniczką Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną o regionalistycznej antologii, nowym regionalizmie i literaturze lubuskiej rozmawia Mirosław Szott	
Franciszek Stroiński , Jubileusz pisarzy – Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza	76
Janusz Łastowiecki , Czekając na barbarzyńcę, czyli kilka refleksji po Konkursie Literackim „Winiarka” 2016	83
Mirosław Szott , Od <i>Piosenki o rozpadzie</i> do lubuskiego środowiska literackiego i z powrotem	86
Aleksandra Pietruszewska , Sprawozdanie z konferencji <i>Kryminał. Okna na świat</i>	89
Halina Bohuta-Stapel , Jerzego Szewczyka portret pobieżny, acz wnikliwy	92
Czesław Sobkowiak , Na śmierć Poety	94
Eugeniusz Kurzawa , Żenia	97
Robert Rudiak , Romana Kaszczyc (1938-2016)	100
Czesław Sobkowiak , Jan Muszyński (1932-2017)	103
Barbara Curzytek , Kolumbijski poeta wśród polskich literaturoznawców i wielbicieli poezji	105
Winston Morales Chavarro , Wiersze [IX, XVII Tezeusz, XVII Śmierć, XX Sen]	109
EKSLIBRIS W PRO LIBRIS	
Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	110

PREZENTACJE

Małgorzata Gołębiewicz 116

Małgorzata Gołębiewicz, Wiersze [Kiedyś, po nas..., Błękitny guzik, Takie buty, Lazurowy błękit, Niebieski dom] 117

Sylwia Erbert-Hoja, W poszukiwaniu tożsamości 122

KOLEKCJONER LUBUSKI

Sławomir Ronowicz, Zafascynowała mnie przedwojenna Zielona Góra 124

VARIA

Mirosława Szott, Robert Rudiak, Lubuskie Wawrzyny 127

RECENZJE, OMÓWIENIA

Zaprzeczanie światłu. O nowej książce poetyckiej Czesława Sobkowiaka
Czesław Sobkowiak, *Kilka wierszy* (**Barbara Dominiak**) 149

A jeśli otworzy się piekło?

Leszek Żuliński, *Pani Puszczańska* (**Barbara Dominiak**) 151

Dziedzictwo czasów wojny

Leszek Adamczewski, *Berlińskie wrota. Nowa Marchia w ogniu* (**Joanna Kapica-Curzytek**) 153

Kieszonkowe historie Zielonej Góry. W. Hładkiewicz, A. Janecki, D. Nowak, E. Jakubowski,
Zielona Góra – miasto Winobrania (**Sandra Mikołajewicz**) 155

Czy koniec literatury jest bliski? *Od pióra do sieci* z nadzieją dla bibliofilów

Od pióra do sieci. Zmienne media literatury, red. P. Michałowski (**Dorota Mleczak**) 156

Dwie książki i okładka

Alfred Siatecki, *Porqbanj*; Krzysztof Koziółek, *Furia rodzi się w Sławie*; Alexis Ragougneau,
Madonna z Notre Dame (**Alina Polak**) 157

Druga płeć wiersza

Paulina Korzeniewska, *Pogodna biel dobrego samopoczucia* (**Czesław Sobkowiak**) 158

Wiersze Aleksandry Kurzawy

Aleksandra Kurzawa, *zbior bzdór* (**Janusz Koniusz**) 160

Artystyczne doświadczenia Elżbiety Balickiej (**Czesław Sobkowiak**) 162

Powroty Waśkiewicza

Andrzej K. Waśkiewicz, *O literaturze lubuskiej (recenzje szkice i inne teksty)*,
redakcja Eugeniusz Kurzawa (**Czesław Sobkowiak**) 163

Artystyczne Pejzaże życia zielonogórskich seniorów

Pejzaże życie. Antologia subiektywna (**Robert Rudiak**) 165

KSIĄŻKI NADEŚLANE 168

AUTORZY NUMERU 169

Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris” 174

Madras

Popielowa była ani stara, ani młoda. Wszystko, co w życiu dobre – mówiła dokoła – miała już za sobą. Wcześniej zmarło się jej staremu – odziedziczyła biedę i spokój, święty spokój. Potem córki wydała. Zięć jak to zięć, jak na wsi, na rękach co prawda jej nie nosi, ale dobre słowo od czasu do czasu powie i bić – nie bije, jak inne chłopy, a pije – tylko od święta. Tylko że, w sekrecie zwierzyła się ostatnio Myszakowej, ostatnio tych świąt w jego kalendarzu jakby przybywało. Młodszej trafiło się lepiej – mieszka w mieście, jest panią. Największe dobro, które ją spotkało, to Jędrzek, najmłodsze dziecko. „Wyszedł na ludzi”, mawiają we wsi, bo i kształcony, i robotę ma w mieście, niegorszą, podobno – jeśli wierzyć tym, co gadają – jest jakimś ważnym kierownikiem. Choć mieszka daleko, to często, zwłaszcza latem, odwiedza matkę. Wtedy ta patrzy w niego nabożnie jak przed snem na *Ostatnią Wieczerzę* zawieszoną nad łóżkiem.

Jędrzek do gospodarki się nie garnął. Od małego wąty był i delikatny. I, co nie było dla wielu tajemnicą, z książkami lubił przesiadywać. „Nie będzie, Popielowa, z niego gospodarza, nie będzie”, wieszczono z zadowoleniem we wsi. Jednak matka miała gdzieś ludzkie gadanie. „Ucz się synku, ucz...”, powtarzała, gdy niekiedy rwał się, by jej pomagać. Że zostanie inżynierem, tak wysoko nie mierzyła, nawet nie zdarzyło się jej pomyśleć. Może jakim technikiem? Nawet w modlitwach nie miała śmiałości prosić o tak wiele. A tu masz! – pierwszy inżynier we wsi.

Popielowa mało z dumy nie pękła, jak Jędrus z dyplomem wrócił. Znalazł matkę nad rzeką, krowy paśla. Niewiele z tego dyplomu, co jej podstawił pod nos, mogła przeczytać, bo zaraz się jej oczy zeszkliły. Wtedy to chudobę pędem do obory zagoniła, wyjściową sukienkę wciągnęła na plecy i do sklepu. I rozповідаła zaczęła, że jej Jędrus nizinierem został.

– Chyba inżynierem – poprawił stojący obok miejscowy nauczyciel.

Popielowa popatrzyła ze złością, że jej radość mąci, zacietrzewiła się, a że ustępować nie zwykła, ucięła krótko:

– Jak mówię, że nizinier, to nizinier! Przecie wiem, co mówię.

Nazajutrz raz po raz wpadała do sklepu, a to po cukier, po olej, to soli jej brakło albo czego innego potrzebnego w kuchni. Sklepowa żartem pytać już zaczęła, czy Popielowa do wojny się szykuje, że zapasy takie czyni? Trwało tak przez najbliższe kilka dni, aż cała wieś wiedziała, że ona, Popielowa, ma w domu niziniera.

Tamtego lata, jak i w te wcześniejsze, jak przyjeżdżał, Jędrzek zaprzestał golenia, wciągnął wakacyjne, mocno już wysłużone o strzępiących się nogawkach džinsy, czerwoną koszulkę, wsunął stopy w drewniaki i zadowolony oznajmił z uśmiechem:

– Teraz czuję, że jestem na urlopie.

Matka cofnęła się pół kroku, przekrzywiła głowę i jak zwykle skwitowała krytyczne:

– To tak ma wyglądać nizinier?! Włosy do ramion, portki w sam raz do roboty na budowie i podkoszulka z jakimś... kudłaczem. – Kiwała z niezadowoleniem głową. Głucha była na tłumaczenie, że te portki to nie na budowę, bo to amerykańskie wranglery kupione za dolary w pewexie, a im bardziej wytarte, tym lepsze,

a ten na koszulce, to żaden kudłacz, tylko Che Guevara, kubański rewolucjonista. Pewnie nie wiedziała, kto to taki ten rewolucjonista, w dodatku kubański.

– Nizinier to nizinier – uparcie broniła swojego stanowiska. – W takim ubraniu, w jakim chodzisz, to nawet tutaj nikt cię nie poszanuje.

Tego dnia od rana Popielowa z nadzieją spoglądała ponad płotem w stronę sklepu, kiedy będzie jaka dostawa, bo herbata się skończyła, a lipowa (własnoręcznie kwiat lipy zebrany i słońcem wysuszony!) Jędrusiowi nie smakowała. Towar rzucili przed południem. Udało się. Wróciła, wlokąc w jednej ręce pełną siatkę, w drugiej dzierząc dwie małe torebki drogocennych wiórków.

– Madras! – zawołał Jędrzek, kiedy ujrzał matkę w drzwiach. – Dlaczego mama kupiła tylko dwie torebki? – spytał z nutą żalu i pretensji.

– Bo tylko tyle dawali – powiedziała niewinnie, bezradnie rozkładając tę z herbatą rękę. – Możesz pójść i sobie kupisz, nawet ludzi nie ma.

Skrzywionym spojrzeniem ogarnęła wychodzącego syna. Wyglądał jak uczeń, który do babci na wakacje przyjechał. Nie wdał się w ojca, pomyślała z żalem, niewielki i taki chudy, tylko te czarne jak wrona włosy i zarost ma po nim. Piersi, ręce i nogi skudłaczzone, że aż strach.

Popielowa nieraz powiadała, że chłop powinien wyglądać jak chłop: trochę brzucha, ręka jak bochen chleba, szeroki w barach. Jakby żal, ten jeden jedyny, do stwórcy miała, że poskąpił jej Jędrusiowi wyglądu. Bo urodziwy to on jest, myślała, niczego sobie, po niej to ma. No i mądry. Gdyby tak przyszło jej wybierać między wyglądem a rozumem, bez wahania wybrałaby to drugie. Nieraz ją takie myśli nachodziły, smętnymi jesiennymi popołudniami, a potem wielki wstyd ogarniał za grzech chciwości. Wtedy na wieczorną mszę truchcikiem pędziła i długo przeproszała, wedle ważności, najpierw Bożę, potem Najświętszą Panią, za te żale i dąsy. Przecież panbóczek ma tyle na głowie, zatem jak może wszystko spamiętać. I znowu ciepłe myśli w stronę Jędrusia skierowała. Że już powinien być z powrotem. Dlaczego tak długo? I wyszła przed dom się rozejrzeć.

A Jędrzek grzecznie przycupnął na końcu kilkusobowej kolejki. Same kobiety. Patrząc po ubiorze – miejscowe, tylko ta przed nim nie stąd, z pewnością. Poczł obłoczek markowego zapachu, przyjemny, uderzający w zmysły kobiecością. Stał już z kilkanaście, jeśli nie więcej minut, a do przodu nie posunął się nawet o centymetr. To za sprawą podchodzących w tym czasie mężczyzn. W zamkniętej dłoni dzierząc skrupulatnie odliczone pieniądze, wyciągali ręce ponad głowami stojących i zawartość przekładali do dłoni sklepowej, „połówkę” albo „ćwiarteczkę” prosząc. Ona z zaufaniem (stali klienci) jedną ręką brała ten bilon, jednocześnie drugą z wyczuciem sięgała na właściwą półkę. Nikt się nie sprzeciwiał, nie protestował, widocznie taki był tutaj zwyczaj. Którego Jędrzek nie uznawał. Zdążył zapomnieć, że można bez kolejki. Kobiecie przed nim też się to nie podobało. I szybko dopatrzyła się również w nim mężczyznę nie stąd. Przypadkową zawarli znajomość i wymienili się swoim niezadowoleniem. I stali się sobie bliżsi. I mimo woli, bez jakichkolwiek deklaracji, utworzyli front jedności przeciwko idącym na skróty. „Tak nie może być!” – burzył się Jędrzek i postanowił przeciąć ten łańcuszek potrzebujących. Niech no tylko który podejdzie! Postanowił działać.

Weszło dwóch gospodarzy: wypłowiałe marynarki, robocze drelichowe spodnie, na głowie kaszkieł, u drugiego beret z antenką – nie pozostawiały wątpliwości. Wiekowi albo spracowani, trudno rozpoznać. Ustawili się na początku, trochę z boku, odliczyli drobniaki i kolejno, niemal szeptem poprosili: „dwa chlebusie” i „jeden chleb i sporty”.

Teraz nie wypadało, pomyślał Jędrzek, bo jak? Jeden, nie miał wątpliwości, jego dziadkiem mógłby być. Patrzyli na nich, on i jego nowa znajoma, potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia: „niech ten chleb sobie kupią”. I zaraz po nich wszedł on, zamaszystym krokiem. Powiało wzdłuż kolejki, jakby przeciąg nagle się zrobił. Stanął przy ladzie obok starszej kobieciny, ale jakby jej nie widział, jakby nikogo nie widział. Tylko on – niewysoki, szczupły, w wyblakłej wiatrówce z szerokimi szlufkami u dołu – i sklepowa.

– Jaśka, daj mi pół litra! – rozkazał.

Jędrzek spojrzał na znajomą, ona na niego. I zobaczył albo tylko chciał zobaczyć w jej oczach, że teraz! I podszedł pewnym krokiem.

– Panie, bądź pan uprzejmy i stań w kolejce – powiedział spokojnie, choć w środku wszystko się burzyło.

Ten się odwrócił w jego stronę i strzelił spojrzeniem mogącym powalić osiłka, nie tylko chuchraka takiego jak Jędrzek. Nawet nie usiłował kryć zdziwienia. Kto ośmielił się zwrócić mu uwagę?! Kim jest, że mówi, co ma robić, gdzie stanąć! Przecież on stąd, miejscowy, z należnych mu przywilejów korzysta, a ten – cofnął się pół kroku, by lepiej ogarnąć spojrzeniem – nieogolony przybłąda w krótkich pantalonach z poszarpanymi nogawkami zwraca mu uwagę. Zasyczał ze złością:

– Jak panu dobrze, to pan stój! – I był pewny, że ten syk zrobi wrażenie. I znowu odezwał się do sklepowej:

– Jaśka, daj mi pół litra. – Kobieta za ladą jakby nie słyszała. Jakby się zastanawiała po czyjej stanąć stronie.

– Prosiłem, by stanął pan w kolejce! – Jędrzek ostrzej ponowił propozycję.

Kobiety z kolejki zaczęły się przyglądać z ciekawością. Wiedziały o mężczyznach to, czego oni nie wiedzieli o sobie.

– Co mi pan robi, gdy nie stanę? – zaczępnie i prowokująco odezwał się nieznajomy.

– Nic... – powiedział Jędrzek, siląc się na spokój. – Ponad to, że nie kupi pan tej swojej flaszki.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Nieznajomy w wiatrówce powoli tracił pewność siebie. Powiódł spojrzeniem wzdłuż kolejki (może szukał wsparcia?). Widząc obojętność, rzucił na szalę najważniejszy atut.

– Pan nie wiesz, kim ja jestem! – odezwał się hardo.

Na Jędrku i to nie zrobiło wrażenia.

– Powiem panu: takim samym kolejkowiczem jak my wszyscy, którego miejsce jest... – zrobił ćwierć obrotu – o tam. – Wyciągniętą ręką wskazał koniec kolejki, która tymczasem urosła do drzwi. – Stanie pan sobie grzecznie... albo opuści sklep. Wybór należy do pana.

Po takim dictum cisza bardziej zgęstniała. Może dlatego melodyjnie zabrzmiał kobiecy głos skierowany do tutejszego smakosza procentowych trunków.

– To pan nie wiesz, kim ten pan jest. – A po chwili, ściszonym głosem, jakby do siebie: – Trafił swój na swego.

Mężczyzna w wiatrówce spojrzał na kobietę, potem na tego przed nim. I stracił pewność siebie: bezwiednie opuścił ręce, złagodniała mu twarz, oczy zasnuły mgłą spolegliwości. Naraz się odwrócił i wyszedł. Jędrzek spojrzał w stronę, z której usłyszał: „To pan nie wiesz, kim ten pan jest”. Miał wrażenie, że zna ten głos. Nie mylił się, to Myszakowa, matki sąsiadka, uśmiechała się życzliwie, aczkolwiek ostrożnie, by kto inny, prócz niego, tak mu się zdawało, nie dojrzał tej radości.

Kiedy pod wieczór na werandzie pili herbatę, Jędrzek od razu zauważył, że matka jest jakaś nieswoja. Tak dziwnie nie miała nic do powiedzenia. Mieszkała dawno już rozpuszczone trzy łyżeczki cukru. Słysząc było dzwonięcie szklanki. Potem siorbnęła dwukrotnie i podniosła zatroskane oczy.

– Co żeś znowu w sklepie narobił? – spytała.

– W sklepie? Ja? – odpowiedział szczerym zdziwieniem.

To „znowu” zabrzmiało jak wyrzut. Stanęły mu przed oczami tamte sprzed lat zdarzenia. Na poczcie ofuknął za pogaduszki przez telefon panienkę, która (dowiedział się kilka godzin później) okazała się być żoną milicjanta, innym razem wdał się w słowne utarczki z urzędniczką w gminie, też żoną kogoś tam ważnego. Potem, po jego wyjeździe, we wsi długo się mówiło, jakiego to „ważnego” syna ma Popielowa. Teraz ten młody, niewiele starszy od niego, mężczyzna w sklepie w niebieskiej wiatrówce. Pojął, że to pewnie ten sam ciąg zdarzeń. I wtedy matka się odezwała:

– Czy wiesz, kogo wyrzuciłeś z kolejki?!

Jędrzek zaczął tłumaczyć, że on tylko zwrócił tamtemu uwagę, żeby też... Ostatnich słów matka już nie dosłyszała.

– To milicjant na rymenturze! – powiedziała z przejęciem, drżącym z emocji głosem, zamilkła, ciężko westchnęła i po chwili: – Ty już nigdzie sam nie chodź, będziesz potrzebował co kupić albo załatwić, to powiedz – zabrzmiało ni to jak prośba, ni polecenie. – Po paru dniach wyjedziesz, a ja zostanę.

Jędrkowi żal się zrobiło matki, Myszakowej i wszystkich innych – żyjących w cieniu milicjantów na emeryturze, ich żon za sklepową lada, na poczcie, urzędników z gminy...



Selfie

kochanie chodź
strzelimy sobie focię
z napisem „Arbeit macht frei” w tle

ty z odsłoniętymi odważnie piersiami
ja w krótkich kwiecistych spodenkach
beztrosco uśmiechnięci
zrelaksowani

a potem jeszcze jedną
przed ścianą straceń
niech cały fejs zobaczy
jak wiele mamy empatii
dla tych którzy ulecieli
kominem historii
spłynęli krwią
skonali z głodu

wieczorem będzie czerwone wino i śpiew
i wonny dym znad grilla
będzie pięknie i upojnie
że tylko żyć nie umierać

jutro znów będziemy podziwiać
jak pięknie wyszły nasze twarze
na tle płonących domów
zwęglonych ludzkich szczątków

Widowisko

*Kasi z podziękowaniem za muzykę
którą polubiłem*

Wsluchani w *The greatest show on Earth*
mknęliśmy drogą przez las
ukośne słońce przedwieczoru
kładło na liściach blask
rozlany jak plaster miodu
Przy wysychającym rozlewisku
usłyszałem:
wiesz tato
chciałabym zobaczyć bobra i zaskrońca
sowę i lisa
chciałabym dotknąć kory i mchu
aby odzyskać pewność
że choć przez chwilę
jesteśmy u siebie
I przypomniła nam się
wspinaczka na Ślężę
omszałe zwoje korzeni
pogańskie głazy kultowe
kościół na szczycie
historia milionów lat
wypisana na wzgórzu
godzącym profanum z sacrum
przy domu mojego dzieciństwa
uśmiechem dojrzałych owoców
przywitały nas śliwy
teraz jemy pyszne ciasto
do porannej kawy
najwspanialsze widowisko świata
ciągle trwa
pozwólmy mu
odnowić w nas nadzieję

duszę się tutaj
pośród chamstwa i fałszu –
powiedział Jezus
z krzyża sejmowej sali
pozwólcie mi
wyjść w szczerze pole
gdzie nikt nie rzuca kamieniem
nie zastawia sidła
nie miesza z błotem
gdzie mądry wiatr
zrywa partyjne maski
odsłaniając
pustkę spojrzeń i słów
być może tam spotkam tych
którzy odpuszczą swoim winowajcom
podadzą dłoń wątpiącym
uśmiechną się do zasmuconych
a potem pozwólcie mi zostać
w przydrożnej kapliczce
bym pośród świętej ciszy
odnalazł wiarę w samego siebie
odzyskał nadzieję
uwierzył w miłość
tak mi dopomóż
Ojcie mój
którym zbyt wielu
wyciera sobie usta

Bliskość

Dzisiaj obchodzę urodziny. Mama
przyniosła mi piętnaście róż,
po jednej na każdy rok, Tata,
najbielszą z możliwych,
lilię.
Dzień zapowiada się piękny. Słońce
rozgrzewa skostniałe dłonie,
a śpiew ptaków
wypełnia czaszkę
radosnym rozleniwieniem.
Oddzieleni cienką warstwą ziemi
jeszcze nigdy nie byliśmy
tak blisko siebie.
Czuję cieknące łzy
po kościach policzków.

Prozy

Obraz. *Martwa natura z liliami* Elżbiety Balickiej. Został wyjęty z tekturowego opakowania i położony na stole. Zobaczyłem. Duży format. Papier. Kolory. Takie było pierwsze moje wrażenie. I nadal jest duży. Teraz w domu patrzę na niego od czasu do czasu. Ustawiam w różnych miejscach, daję mu oświetlenie, by wydobyć tkwiącą w nim energię kolorów i sens przekazu. By był ze mną, jak najbardziej dostępny i przeniknięty. Czuję jego magię, piękno, materię istnienia, intensywność malarskiej wizji. Wszystko w nim jest wyescalowane, zagęszczone i coś ważnego się unaocznia. Bogata warstwa barw, kontrastowo do siebie odniesionych, zaostzonych liniowo. Stłoczonych obsesyjnie, może pod presją zagrożenia. Niepokojące cienie od wewnątrz go trawia. Artystka wie, że musi dopiąć swego, wyrazić siebie, wzmacniając ekspresję. Owoce pomarańczy i gruszek leżą na wyraźnie zaznaczonym stole, nie w pełni realistycznym, po malarsku przykrytym obrusem, ugiętym z prawej strony falą fałdy. Na środku, pomiędzy owocami, szklany wazon, w wazonie woda, dwie wysokie łodygi lili, które w odpowiedniej chwili rozchylą białe kielichy kwiatów. Zieleń, fiolet, siena, ugier, błękit, pomarańcz, biel. Jest w obrazie baśń, mroczna aura snu, natura, posmak tajemnicy, której warto się domyślać.

W Chynowie. Przed przejściem dla pieszych na zielone światło czekają dwie kobiety. Trzymają obleczone w celofan bukiety kwiatów, opięte czarnymi, pogrzebowymi szarfami. Naprzeciwko jest kościół, przed kościołem kilka osób, a dalej cmentarz. Mróz styczniowy, śnieg się położył cienką warstewką. Auta wolno jadą po wyczernionym asfalcie. W pobliskiej piekarni pachnie nocą wypieczony chleb. Otwierają się drzwi autobusu, dymi komin. Jadę na targ kupić warzywa na obiad. Jest dobrze. Malarstwo świata odsłania w skończoności doniosłą nieskończoność.

Szron. Wczoraj szara, mglista niedziela. Wczesny mrok. Listopadowe zimno i krajobraz zgaszonej roślinności, nie tak łatwy do przyjmowania. Wzrok ku czemuś innemu chciałby. Dzisiaj poniedziałek, wszystko odmienione. Ranek wyjaśniony światłem. Lekko. Patrzę i chcę patrzeć. Każda rzecz okryta iskrzącym szronem. Na łodygach zielska, na gałązkach drzew, zwłaszcza na tych najdrobniejszych. Na trawie, na ziemi, na kamieniach. Las olchowy i wysokie drzewa wierzb całe w gęstej bieli. Dostojeństwo, któremu nic nie dorównuje. Widok dech w płucach zapiera. Widać powietrzną przejrzystość, która jakby sama sobą zdaje się być ośmielona. I co mam z tym zrobić?

Czyjeś. Czyjeś słowa „jestem pod wielkim wrażeniem” i o fascynacji, tak piękne i oszczędne, że aż bolesne, są mi dzisiaj jak szczelina ostrego światła, w zgęstniałej osaczającej mnie ciemności. Przyłgnęły do mnie całym ciałem. Wysłane z iPhone’a.

Nic. Nie lubię tego słowa. Ma w sobie lekceważącą treść i ostentację zamykającą możliwość jakiegokolwiek rozmowy, dowodzenia prawdy, bo coś jeszcze jest. Owo wstrętne „nic” ustala koniec poszukiwania. Żaden

kolejny krok, żadne odkrycie już nie jest brane pod uwagę. Jest arbitralne, ostre, nieznoszące sprzeciwu. Wiem, że z tą arogancką pewnością i uporem, należy się nie zgodzić. Bo czy tylko „nic” określa świat? Nie uznaję takich łatwizn myślowych.

Świat. Dociera katastrofalny świat. Mały, wielki. Męcząca okropność i wzruszająca szlachetność, dająca chwile wytchnienia. Albo przynajmniej rozległe pola, na których sarny skubią oziminę. Każdy przejaw ma znaczenie. Słowo, zdarzenie, sygnał. Już za dużo, za dużo tego wszystkiego, co przybija, powala na ziemię i prawie nie widać nadziei. A stracić nadzieję... Zamykać się w sobie, jak w ciemnym pudle, nie chcę, nie potrafię, nie będę, nie zgodzę się, nigdy nie będę obojętny, wyłączony, dopóki serce bije i oczy widzą. Teraz oparłem buty, wyziębione buty, mocno zniszczone, marne już, o grzejnik elektryczny, nagrzej się i odmieni się w nich czucie moich stóp.

Choinka. Pojedyncze płatki śniegu lecą wolno. Pierwsza dekada grudnia. Są już te dni. Zapowiedź blasku. Ciszy. Zastłuchania. Zamyślenia. Melodii. Jak kiedyś. Przypominają się dawne cuda w wiejskim naszym domu. Ruch, praca, uciszone słowa, że zostaniemy włączeni, nawet ja, wtedy kilkuletni, w obrzęd narodzin Dziecięcia, który świat uczyni nowym. Naprawdę nowym. Na dworze silny mróz, śnieg chrzęści, pies biega uwolniony, poszczekuje, gwiazda nad domem świadoma swej misji świeci i zapowiada. Stół czeka. Mama krząta się przy potrawach. Teraz już inaczej, co innego. Świecą komputery. Internet szaleje. Twarze zimne. Wszystko kupuje się w markecie. Opłatkami handlują tłuste straganiary. Wszędzie żarówki. Oczekiwania i tamte tęsknoty zgaszone. Chociaż gdzieś tam, na dnie, nie do końca tak.

Krew w Berlinie. Zginął polski kierowca. Przedświąteczne jarmarki w żałobie. Rzymska „La Repubblica” (19 grudnia 2016) nie wątpi, że mamy do czynienia z wojną cywilizacji i tylko obrona wartości, demokracji, szacunku i solidarności może stanowić skuteczną tamę przeciwko terrorowi. „Corriere della Sera” pisze o krwi pod choinką, „w centrum Berlina, które jest centrum Europy, a może też w dniu dzisiejszym centrum zabijanych zachodnich wartości”. Przesłanie dżihadystów nie mogło być okrutniejsze. Zamachowiec – jakiś uchodźca z Tunezji – posługiwał się kilkoma nazwiskami, dotarł do Niemiec „albańskim szlakiem”. Europa (chora na lenistwo) lekkomyślnie zafundowała sobie potężną dawkę strachu.

Butelka włoskiego wina. Minął miesiąc i stoi nietknięta na stole butelka włoskiego czerwonego wina Evita Primitivo Puglia. Przybyła do mojego domu po napisaniu utworu *Proza Italia*. Byłem w Italii na przełomie maja i czerwca. Widziałem w Weronie dziedziniec domu Julii, dotykałem jej piersi, jak inni. Patrzyłem na oblicze Dantego, a on na mnie, dość surowo, płynęła woda w rzece Arno. Obok mnie jechał na Placu Świętego Piotra papież Franciszek. Byłem zmęczony i zachwycony Rzymem, fontannami, obeliskami, opowieściami, schodami, Asyżem, natłokiem, zachwycony rozmaitością i barwnością sztuki. Piłem wino podczas hotelowych kolacji, wychodziłem o zmierzchu i o świcie na brzeg Morza Tyrreńskiego. Butelki wina jednak nie przywoziłem. A nieoczekiwanie w połowie listopada w drzwiach stała bracia Mietka – Henryk oraz Jerzy. Usiedliśmy przy stole i Heniu powiada, że podróżował po Italii i stamtąd specjalnie dla mnie przywiózł butelkę wina, kształtem przypominającą wysoką dzwonnice na Plaza Santo Marco w Wenecji, bo tak chciał po lekturze kawałków mojej prozy.

Kolejny dzień. Pojawiły się na niebie blade seledyny, ale słońca jeszcze nie ma. Świat tonie w szarzynach. Są też ciemne pasma chmur. Jednak powoli nad horyzontem rozzuchwała się pełnia złocistego blasku.

Zmierzch. Połacie chmur, drobne obłoki, wszędzie, gdzie patrzę, fioletowe i czerwone. Tylko jedno miejsce horyzontu pełne ognia. Zapadające w czerni.

Adam Bagiński. Pracownię malarską ma na poddaszu, w bloku przy ulicy Wyspiańskiego. Bywa w niej kilka razy w tygodniu, w godzinach popołudniowych i często aż do późnej nocy pracuje. Jej cztery ściany stanowią dla niego rodzaj azylu i ucieczki od trywialnej codzienności. Tu wraca spokój, nastrój twórczy i natchnienie. Nie za każdym pobytem maluje obrazy olejne lub akwarele. Żaden artysta nie jest tak w stanie. Czasami tylko na nie patrzy, rozmyśla, oddycha, pije herbatę, czyta książkę, przegląda katalog, słucha muzyki w radiu, poszukuje w sobie odpowiedniej wizji, którą by można było na płótno przenieść. Znam tej pracowni każdy zakątek. Klimat. Zapach. Jej stół, fotel, stół, sztalugi, tubki z farbami, czajnik, radio. Wiem sporo o trudach, a nawet ciężarach, z którymi się artysta zмага, zanim zdecyduje akwarelę lub płótno sygnować swoim podpisem. Już tylko pobieżny rzut oka na jego dzieła upewnia, że mamy do czynienia ze sztuką świadomą swojego celu, którą cechuje konsekwencja stylu oraz eksploatawanie jednego i jakby tego samego tematu. Jednego, bo tak artysta postanowił. Czy słusznie? Uważa się za malarza europejskiego formatu. Co tydzień hańdzące mu panie entuzjastki deklarują przy herbacie, że maluje coraz doskonalej. I on te gloryfikacje i pochwały bardzo lubi. Przyjmuje je z całą powagą, jak każdy artysta. Artyści są egocentrykami. Można odnieść wrażenie, że Bagiński wcześniej zdołał znaleźć swoją drogę. Nigdy zanadto nie interesowało go realistyczne przedstawianie czegokolwiek. Toteż nie znajdziemy w obrębie jego płócien przedstawienia detali konkretnych przedmiotów – kwiatów, drzew, dróg, pól, jezior, dzbanków, owoców, portretów czy szczegółów architektury. O dziwo, bo właśnie zjawiska natury, ich sfera materialna i żywioł, stanowią punkt wyjściowy, wypełniają niemal bez reszty jego akwarele i obrazy olejne. Kiedyś, na początku, owszem, oglądający mógł bez trudu dostrzec krzewy, trawy, łoża, skupiska wodne, połacie pól, łąk, ale dość szybko to się zmieniło. Szkoda – czasem myślę, że utknął w sferze wysokich uogólnień, które nie każdy rozumie. Rzecz przecież w tym, że przedstawienie realnego przedmiotu, rzeczy lub krajobrazu też nie jest pozbawione duchowości. I o tym warto pamiętać. Ewolucja, jaka tu się dokonała, poszła w stronę znaczącego uogólnienia rzeczywistości. Nadal są to pejzaże, lecz nie w dosłownym znaczeniu. Domyślne. Także wypracował sobie Adam Bagiński pewien sposób, jakby rzec, oddania sylwetki miasta, w którym mieszka, czyli Zielonej Góry. Zawsze jest to widok tej samej panoramy, jaki się może odsłonić oczom, gdy patrzy się ze Wzgórza Winnego od strony Palmiarni. Zaznaczone dyskretnie wieże kościołów i ratusza upewniają, że mamy do czynienia z tym, a nie innym miastem. Nic w tym z fascynacji, która cechowała Hilarego Gwizdałę. Niektórzy odbiorcy lubią te uproszczone ujęcia i chętnie Bagińskiego nabywają, bo każde jest trochę inne, nacechowane inną paletą barw i zmienioną formą. Dużo tych panoram, głównie akwarelowych, powstało. I zdobią ściany wielu mieszkań. To jedyna wyraźna rzeczywistość, z jaką mamy do czynienia. Pozostałe dzieła – dzieł tych rzeczywistość doprowadzona została do granicy abstrakcji, ale abstrakcyjna nie jest. Jednak domyślać się jej mocno trzeba. Na tym wyczuwalnym styku rzeczywistości z nierealnością swoją siłę odślaniają już nie bezpośrednio zmysłowo materialne zjawiska, co z wnętrza artysty płynące emanacje duchowe. O nich najwięcej i najchętniej Bagiński lubi mówić. Dlatego tak inne są to obrazy. Do czegoś innego się odwołujące. Przez ten głównie czynnik są zarazem oryginalne. Nikt tutaj podobnie nie maluje, czasami jedynie ktoś Bagińskiego próbuje naśladować. Czy jednak uda się komukolwiek naśladować obcowanie artysty z tajemnicą istnienia tyleż własnego wnętrza, co otaczającego go kosmosu? Każdy obraz niesie takie przesłanie, takie zmaganie, by te dwie moce ze sobą połączyć i zharmonizować, dać im wyraz, oddać ich dynamikę, czyli demiurgiczną właściwość. Patrząc i to próbując dostrzec. Cenię, gdy Adam Bagiński w tych aktach twórczych – w tym sięganiu do swego „ja” i sięganiu w sfery sobie nieznane, a uniwersalne – dba o kolorystyczną reprezentatywność. Każdy obraz chce być odkrywcą. Ale czy nim jest? Takie pytanie może się rodzić. Trudne pytanie. Nie prosta odpowiedź. Odpowiedzi mogą być różne. Z jednej strony, w niezwykle subtelnych niuansach jawią się duchowe drgania podmiotu, a z drugiej unaoczniona jest nieogarnioność wszechświata. Według mnie Bagiński maluje poezję i metafizykę. Może jakaś ręka jego rękę prowadzi. Ktoś to przyjmie, a ktoś inny nie. Ktoś powie, że jego malarstwo cechuje monotonia i powtarzalność. I na uparte go

nie da się temu zaprzeczyć. Kogoś innego urzeka piękno jego sztuki. Zmiany ujęć nie zawsze są odbierane tak, jak by tego sobie życzył artysta. Bo pomiędzy duchowością poszczególnych obrazów nie ma wielkich różnic, ale są i wymagają wrażliwego odbiorcy. Te zmiany to jakby mutacje artystyczne, które świadczą, iż poszukiwanie absolutnego piękna trwa. Cel jest blisko, lecz przed pochwyceniem chroni go nieskończoność. Niewątpliwie nie ma w Zielonej Górze drugiego takiego artysty, który miałby podobne ambicje. Zarazem nierozsądnie, wręcz kosmicznie, wyceniającego swoje prace, na które nikogo nie stać. I tak mocno wierzącego w posłannictwo sztuki. Pozostaje więc samotnikiem, który upiera się przy swoich determinacjach. Nie decyduje się na nowe, radykalne pomysły artystyczne. Można dopatrzeć się jakiegoś rodzaju stagnacji. Zastanawiam się, czy aby na pewno? Raczej Bagiński odnalazł własną drogę i przestrzeń. I nie musi już nic więcej. Nie chce. Nie zaprzęta sobie też zanadto głowy, a nawet w ogóle, merkantylnością, niezbyt chętnie o tym mówi, zgadza się z własnym losem. Los artysty jest i musi być ciężki. Zwłaszcza na prowincji. Ludzie nie nabywają jego dzieł (kwestia wysokiej ceny), bo pracują na chleb. Płaci Bagiński miastu comiesięcznie kilkusetzłotowy czynsz za pracownię. Kupuje za prywatne pieniądze, nie żadne inne, potrzebne mu do malowania farby, pędzle, płótna, papiery, kartony, organizuje wystawy, czasem część obrazów przy takich okazjach gdzieś znika, niektóre rozdaje, nie wszystkie wracają do pracowni. Od lat żadna instytucja nie kupiła choćby jednego jego obrazu. Nikogo tu sytuacja artysty nie obchodzi. Nie ma pieniędzy. A on gratisowo Bibliotece oraz Filharmonii użycza wielu swoich dokonań. I ludzie mogą podziwiać ich stałe ekspozycje.

Dynia. Widok dyni zawsze mnie wyposaża w czułość. Jest to owoc, który łączy mnie z wiejskim życiem, dzieciństwem, pięknem pól jesienią. Każdy z gospodarzy uprawiał spore poletka dyni. Pożywne były dla zwierząt i robiono powszechnie z tego owocu kompoty. Zimą jedzono pestki. Kupiłem na targowisku dynię hokkaido (co za nazwa, nigdy bym nie spodziewał się takiej), rozkroiłem, wyjąłem pestki, duży ich garść. Z jej miąższu ugotuję zupę.

Piątek. Około południa pojechałem na pływalnię przy Sulechowskiej. Dobrze zanurzyć się w ciepłej wodzie. W szatni gwar sześciolletnich dziewczynek, które już są przebrane w zgrabne kostiumiki do pływania. Dwie śliczne przekomarzają się. Wypinają piersi do przodu. Włożyły swoje piąstki pod kostiumy. Napinają je. I szepczą sobie, że takie ładne piersi urosły. Zobacz! Zobacz! – jedna do drugiej.

Cesare Pavese. Książkę tego włoskiego pisarza pt. *Rzemiosło życia* kupiłem w księgarni „Pod Arkadami” we Wrocławiu latem 1972 roku. Było pięknie. Kilka zdań wystarczyło mi przeczytać, by mieć pewność, że są mi bliskie refleksje o miłości, erotyzmie, dzieciństwie, śmierci, kobietach, picu wina, samotności, smutku życia i inne. Biogram pisarza wstrząsnął mną do głębi, a szczególnie opisany dokładnie ostatni dzień życia, gdy C. Pavese umierał 26 sierpnia 1950 roku w pokoju turyńskiego pokoju hotelu „Roma”. Dokładnie wtedy, w czwartym miesiącu życia, spałem błogo pod drzewem lipy w Jaromierzu. Miał C. Pavese 42 lata. Jego godziny były już ostatnie. Dzwonił z hotelowego pokoju przez cały dzień do kilku znajomych kobiet, chciał rozmawiać. Jedna zbyła jego zaproszenie, innej mąż akurat był chory i nie mogła się z nim spotkać. Nie zszedł na obiad ani na kolację, ani na śniadanie, a gdy otworzyli drzwi, leżał na łóżku nieruchomy, w ubraniu. Na kartce przeczytano kilka słów pożegnania. Ostatnich słów. Książka z jego bardzo osobistymi zapiskami gdzieś mi przepadła. Wiele razy o tym myślałem, bo dopiero miałem się w jej karty zagłębić. I po 44 latach wróciła książka. Przywiózł mi ją w podarunku pewien człowiek, mieszkający od dawna w Gelsenkirchen w Niemczech. Doprawdy niesamowite.

Stare rzeczy. Niemodne, pojedyncze, wymagające renowacji czy wręcz naprawy – takie interesują mnie, ze śladami życia. Najlepiej, jeśli są mało użyteczne lub prawie wcale. Bo już zatraciły przypisaną im

kiedyś funkcjonalność. Można je kontemplować. Upływ czasu sprawia, że uwidocznią się ich oryginalność. Dusza. Ktoś je wyrzucił lub zostały po kimś. Po takie przedmioty w niedzielne przedpołudnia wybieram się na giełdę staroci. Tam je z Niemiec, a nawet z Holandii, przywożą handlarze i zbieracze. Te eksponaty są niepowtarzalne. Jeśli nie kupisz jakiejś np. ceramiki, mimo że jest ładna, bo liczysz, że innym razem uda się dostać ją dwa, trzy złote taniej, to popełniasz błąd. Drugi raz już się nie pojawi. Czasem nie warto odchodzić od złoczonej ramy, od figurki, od mosiężnego dzbanka, świecznika lub efektownej patery, bo za chwilę ktoś inny je zgarnie. Chodzę więc i patrzę. Poznają już regularnie pojawiające się osoby, ich pasje i spryt handlarski. W gruncie rzeczy ci ludzie robią coś pożytecznego. Dawnym stylom i modom przedłużają żywot. Rzeczy znowu znajdują mieszkania. Znowu cieszą czyjeś oczy. Umyte, oczyszczone lśnią i wyraźnie odcinają się od jałowej typowości współczesnych produkcji. Jeszcze są ludzie kochający piękno sztuki.



Za granicą skóry

Za granicą skóry (tam, gdzie nigdy nie będę
nawet gościem) obowiązują proste zasady:
kompletny brak różnic pomiędzy jednym obiektem
a drugim; równość zjawisk; tyle samo waży

dłoń przyległa na chwilę do mojego ramienia
i oddech barmana za ladą dwie sale obok;
ta rozmowa tak samo do mnie nie dociera
jak zachód słońca trwający nad miastem (choć dotyk

dochodzi przez unerwienie naskórka do mózgu,
a głos przez przewód słuchowy do środka ucha);
niczym nie różni się od arktycznego śniegu
odwrócona do mnie bokiem rączka mojego kufla.

I ja nie mam poczucia, że będąc tu, znaczę
więcej niż beze mnie znaczyłoby puste krzesło
przy stole; równie dobrze ich spojrzenia nad blatem
mogłyby natknąć się na pustą przestrzeń powietrzną.

Mój kołnierzyk jest więc dla mnie tak samo odległy,
jak czyjś wzrok na nim, gdy odliczam minuty
do momentu wyjścia z baru – w świat ciągle zewnętrzny,
umieszczony gdzieś tam, daleko, za granicą skóry.

Plac Słowiański

Liście opadły na chodniki i trawę,
drzewa bez liści pozostały całkiem nagie;

płowe, pomarszczone i też nagie liście
nie czerpią już soków, latem dających im życie;

żyją krótko, jak ktoś, kto nie może znieść tego,
że nie będzie tu ani jasno, ani też ciepło;

gnicie i przemiał pod kołami odśnieżacza:
czy taki los jest lepszy niż bierna obserwacja;

wzbicie przez wiatr czy opadnięcie ku ziemi
– ten drugi kierunek jest kierunkiem ich egzystencji;

pierwszy i ostatni lot w dół przynosi
spiralny dreszcz jak dreszcz przyjemności:

gdzieś tam, na końcu opadania – choć nie od razu –
ziemia będzie miejscem ich nieuchronnego rozkładu.

Nas nic nie usprawiedliwia, by tu nie zostać:
my wiemy, że znów zjawi się słońce i wiosna;

liście już będą miały za sobą to, że znikną:
tego akurat zazdrościć należy liściom.

Wyjście z cmentarza

Agacie Maik

Jedyne, co z poprzednich świąt dobrze pamiętam,
to jak kucałem przy grobie, by podpalać liście
chwiejnym od wiatru ogniem znicza. Dziś cmentarz

przypomina te, na które mnie brano w dzieciństwie.
Idąc, puszczały swoje dłonie. W pewnych miejscach
kopane przez nas listowie drży nad chodnikiem

pomiędzy grobami. Błyszcza w półmroku modele
zniczy na baterie lub szczegóły ubioru,
podobierane dziś przez ludzi naprawdę odświętnie

i elegancko, i nienaganny wystrój nagrobków,
sprzątanym raz na rok, oparty o symetrię
zniczy, kwiatów i stroików. Czekamy na powrót

do domu, wejście do ogrzanego mieszkania,
rytuały innego rodzaju, czynności
codzienne, jak mycie rąk, ubiór na jutro, kolacja,

zmywanie naczyń; a najpierw, podczas drogi,
pełen różnobarwnych zniczy cmentarz zza okna auta
będzie wyglądał jak dalekie miasto. Groby

trwają w łunach, czerwonych, nienaturalnie cichych,
i pierwsza myśl, gdy powoli robi się ciemno,
to że przydałby się aparat fotograficzny

o zwiększonej czułości. Dopiero miękkość
i gładkość faktury skórzanego rękawiczki,
którą znów mam w dłoni, wzmacnia mój strach przed śmiercią.

Skąd ta niechęć do burzy

Skąd ta niechęć do burzy – skąd tak niepokoi
to połączenie: wzmożony wiatr, ciemność i seria
wyładowań atmosferycznych; brak kontroli

nad pogodą, który tym razem nie pozwoli
zasnąć, każąc myśleć: czy odłączy ci tylko media,
czy zabierze coś więcej – dlatego to niepokoi,

bo ta bezsilność tak naprawdę najbardziej złości,
i ten strach, o wiele gorszy od samego nieszczęścia.
Skąd brak strachu przed jutrem – przecież nad nim kontroli

też nie masz żadnej; dlaczego raczej się nie boisz
wyjść rano z domu, przejść na zielonym, choć jezdnia
jest pełna samochodów; czy nie niepokoi

cię najbliższa ci osoba, w swojej odrębności
od ciebie; to, że stracisz rzeczy i ludzi, że nie trwa
wiecznie nawet jedna twoja myśl; poczucie kontroli

trwać może krótko, ale zawsze pojawia się grzmot
i, po raz kolejny, nie daje spać i nastrocza
pytanie, które już zawsze drąży i niepokoi:
jak skończą się burze, pozbawiające kontroli.

Róża medytująca

Dla jednych – geniusz, dla innych – hochsztapler. Sam określał się jako „paranoiczno-krytyczny” surrealista. I życie, i twórczość artysty wzbudzają do dziś gorące kontrowersje.

Salvador Dalí.

Zabrał mnie niegdyś w bardzo niezwykłą surrealistyczną podróż. Stało się tak za sprawą jednego z jego dzieł, zatytułowanego *Róża medytująca* (*Rose meditative*). Niestety, w żadnym muzeum nie można go zobaczyć, nie jest też wypożyczany na wystawy, ponieważ obraz (namalowany w 1958 r.) znajduje się w prywatnej kolekcji.

Oto relacja z tej podróży.

Tło obrazu jest jasnobłękitne, można się domyślić, że to niebo, bo błękit jest rozjaśniony bielą unoszących się lekkich, zwiewnych chmur. W dole – dwie ludzkie postacie wtapiające się w pustynny krajobraz. Na horyzoncie mieni się zarys rzeki lub jeziora. Brąz i rdza to barwy hiszpańskiego pejzażu, liczne miejsca są pozbawione zieleni, wypalone słońcem. Ale też i ziemia ma tam charakterystyczny, naturalny czerwony kolor.

Wysoko, na tle błękitu nieba unosi się czerwona (cynobrowa) róża. Kwiat jest tak kształtny i doskonały, że może być platońskim ideałem róży. Namalowana jest jednak realistycznie i ma w sobie wyrafinowane piękno. Nie jestem pewna, czy nie nazwać tego po prostu pospolitością. Przecież każda róża jest wyrafinowaniem piękna i po platońsku doskonała – więc być może nie ma w tym wizerunku nic niezwykłego.

Niezwykłe jest raczej to, że róża unosi się nad ziemią, zastygła w bezruchu, zawieszona – na wieczność – w stanie nieważkości. Jest tylko kwiatem. Nie ma łodygi, kolców ani liści. Medytuje. Skąd się wzięła ta róża w krainie medytacji? Przez przypadek? Przez pomyłkę? Lewituje w powietrzu, zapewne nie dowierzając temu, czego doświadcza.

Trudno nam zgadnąć, o czym medytuje. Najpierw trzeba byłoby poznać świat róż. Ale do tego świata nie prowadzi żadna droga. Dlatego nikt nie wie, o czym myślą, czego się boją, a co sprawia im radość. Czy przechowują dobre i złe wspomnienia? Nikt nie zna ich przeszłości ani marzeń. Znamy nam są tylko ich barwa, kształt oraz zachwycający zapach – a to zbyt mało.

Może się wydawać, że tę medytującą różę otacza zewsząd obojętność. Poza nią w tej przestrzeni nic nie ma. Są, co prawda, sylwetki dwojga ludzi, ale ich świat i świat róży to zupełnie inne wymiary – najprawdopodobniej nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu. Dwa wszechświaty równoległe, które nie mają ze sobą nic wspólnego.

Na dolnym płatku róży lśni kropla. To intryguje najbardziej. Bo gdyby odkryć sekret tej kropelki, może udałoby się nam chociaż dowiedzieć, czy ta róża jest szczęśliwa, czy nie. Może jest to rosa albo ślad wody po podlewaniu, a róża cieszy się swoją świeżością, bo rano jeszcze rosła w ogrodzie. A teraz czuje radość, bo jest tam, gdzie zawsze chciała być i nie grozi jej upływ czasu, skoro jest zawieszona w przestrzeni na całą wieczność. Nie martwi się, że zwiędnie i straci urodę.

A jeśli ta kropelka na różanym płatku to łza? Tego nigdy się tego nie dowiemy, dopóki ktoś nie udowodni na pewno, że róże płaczą.

Salvador Dalí. Dla jednych – geniusz, dla innych – hochsztapler.

Pasikoniki

Zakopani w trawie po uszy
jesteśmy teraz.
Cały ten nieskoszony czas
dopiero rozkwita.
Tutaj od do jest jeszcze łatwe.
Niebo rozciąga się od samolotu do samolotu,
a podniebienie od słowa do słowa.
Pasikoniki tańczą:
„zdążyć, zdążyć pod czas,
pod włos, pod stopę, pod grzbiet”.
Gładzę, gładzę twoje ciało,
moje w każdym calu
nie moje.

Noc jak co dzień

Przybiegasz do mnie nienasycony,
nieulepiony jeszcze,
ciągnąc za sobą sny:
mysz i biedronkę.
Wwiercasz się w łóżko, wrastasz w prześcieradło.
Jestem jeszcze wszystkim:
kamieniem, który przechowujesz,
muszlą, którą przykładasz do ucha,
niebieskim statkiem.
Potem zacznie się dzień:
te wszystkie usterki, które staramy się naprawić.

Noc jak co dzień.
Wysoko leci zielony ptak.
Przytulanie, zarastanie,
żeby jutro gryźć z miłości.

Biały wieloryb

Ten moment,
kiedy na mnie spojrzysz.
Przelotnie i niby nic.
A w tym spojrzeniu
przestwórz oceanu.
Ja wieloryb,
ty mały ryb,
wpływamy.
Pośród wód kwitnących,
pośród morskich koni
huśtasz się i huśtasz.
Ptaki krążą nad nami
zaskoczone tą nagłą
regularnością.

Matka dwulatka

Mam spokój wielki jak fontanna.
Zabierają mi spokój wielki jak fontanna!
Oddajcie mi spokój wielki jak fontanna!
Zabrali.
Została po nim
szara naga mama.
Przeglądam się w lustrze:
szara naga mama.
To musi wystarczyć:
Szaraganagamama.

Historia pewnego felernego gramofonu

Był ciepły, sierpniowy wieczór. Przez otwarte okno dolatywały do mnie powiewy letniego, sielankowego wiatru. Siedziałem wygodnie na sofie, paliłem papierosa i słuchałem Kazika ze starych kaset magnetofonowych. Wydobywający się dźwięk był koszmarniej jakości, ale klimat dawnych lat wzbudzał we mnie pozytywne wspomnienia.

Dwie godziny wcześniej postanowiłem wziąć się za porządki i pomyślałem, że zacznę od starej komody, w której od lat zbierałem zupełnie niepotrzebne stare graty. Od tamtej pory nie posunąłem się w sprzątananiu ani o krok, choć miałem za sobą przesłuchane trzy kasety.

To były dobre czasy – pomyślałem, zaciągając się i wychodząc na balkon. Stałem przy barierce i spojrzałem na betonowy parking, który wyłaniał się dokładnie na wprost. Po chwili usłyszałem kaszel sąsiada z boku. Zauważył, że wyszedłem i wyłonił się zza winkla.

– Ładny wieczór, co nie? – powiedział najzwyczajniej na świecie.

Jego mała, podłużna i zawsze dziwnie przypalona twarz wyrażała zachwyt. To mnie mocno nie zdziwiło. Rysiek, bo tak miał na imię mężczyzna, umiał docenić piękne chwile. Szczególnie gdy trwał weekend i było tuż po wypłacie.

– Ładny – odparłem, wypuszczając dym przez dziurki nosa.

Patrzyłem, jak wiatr porywa go do góry i szybko staje się niewidoczny.

– Czego tak dudni? – ponownie zapytał Rysiek.

– Robię porządki i znalazłem kilka starych kaset – odparłem bez wykrętów. – Jest za głośno?

Mężczyzna spojrzał na mnie przejmującym wzrokiem. Przez chwilę poczułem się nieswojo, bo nie miałem pojęcia, co to może oznaczać. Dla dodania sobie pewności odwróciłem głowę i zaciągnąłem się mocno.

– Mam stary gramofon. Zajmuje mi kupę miejsca. Może weźmiesz?

– Czemu nie, mogę wziąć. Mam przyjść teraz? – odpowiedziałem zaskoczony.

– Weź tylko jakieś piwo, bo mnie suszy.

Wyrzuciłem niedopałek za barierkę i wróciłem do pokoju. Poszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę. Miałem tam jeszcze dwie butelki piwa. Włożyłem je do reklamówki z Biedronki, ubrałem buty i zamknąłem mieszkanie.

Klatka Ryśka była jakaś inna. Domoфон był zepsuty, a na ścianach pełno było napisów. Dzieciaki siedziały na schodach zamiast przed komputerami. Zapukałem pod dziesiątkę.

Otworzył osobiście i od razu złapał za torbę, którą trzymałem w rękach.

– Pięknie, pięknie – mruzczał do siebie, prowadząc mnie do dużego pokoju.

Pomieszczenie wytapetowane było zieloną, odklejającą się przy suficie tapetą w złociste wzory. Znajdował się tam duża czerwona wersalka, regał, meblościanka i stary telewizor.

– Siadaj, mam go gdzieś tutaj – powiedział Rysiek, stając za szafką i przewracając stojące tam kartony.

Usiadłem grzecznie, ale niepewnie. Rozglądałem się z zaciekawieniem i jednocześnie odrazą. Poczułem, jak do moich nozdrzy wdiera się zapach smażonej cebuli.

– Mam w końcu to gówno! – krzyknął mężczyzna z radością, próbując podnieść ogromne pudło. – Pomóż mi do kurwy nędzy! – dodał po chwili.

Podniosłem się żwawo z miejsca i wspólnym wysiłkiem udało nam się wyjąć pakunek. Postawiliśmy go na środku pokoju i zaczęliśmy rozrywać karton, chcąc jak najszybciej dostać się do środka.

Naszym oczom ukazał się potężny gramofon marki Grundig.

– Nieźle cudo – powiedziałem, przesuwając palcem po okurzonej obudowie.

– Od dawna nie działa i zawadza tylko. Może coś uda ci się z niego jeszcze wykrzesać.

– Zobaczymy – odparłem z niedowierzaniem w głosie.

Zrobiłem kilka głębokich oddechów, przygotowując się do wysiłku, jaki mnie czekał. Pudło ważyło dobre trzydzieści kilogramów, a może i więcej.

– Dawaj, dawaj, bo nie mam czasu – powiedział Rysiek, machając na mnie rękoma ze zniecierpliwieniem.

Chwyciłem go mocno i wyparowałem z mieszkania, czując, jak pod ciężarem powoli łamie mi się kręgosłup. Zanim dotaszczyłem go do swojego pokoju, minął kwadrans.

Postawiłem swoją zdobycz na podłodze i usiadłem zdyszany. Oddychałem ciężko i zastanawiałem się, czy było warto. Kosztowało mnie to sporo wysiłku i dwie butelki piwa, a gramofon nie wyglądał na coś, co mogłoby mieć większą wartość.

Odetchnąłem kilka minut i wziąłem się za oględziny. Okazało się, że w kartonie poza gramofonem znajdowały się dwie winylowe płyty. Na jednej z nich uśmiechała się uwodzicielsko Zdzisława Sośnicka, druga natomiast była zapakowana w szarą kopertę. Włączyłem przewód do zasilania, ułożyłem płytę i wcisnąłem start. Ku mojemu zdziwieniu płyta zaczęła się obracać.

– Działa! – krzyknąłem z entuzjazmem, który opadł kilka sekund później.

Sośnicka nagle przestała się kręcić. Zdjąłem więc ramię i zacząłem przyglądać się igle. Na moje laickie oko wszystko wyglądało dobrze. Włączyłem więc przycisk jeszcze raz. Tym razem gramofon nie ruszył. No tak – pomyślałem – czego mógłbym się po nim spodziewać?

Ze złością wałęnałem ręką w solidny drewniany bok. Wstałem, sięgnąłem po papierosa i zaciągnąłem się. Spojrzałem na urządzenie. Prezentowało się dość okazale, choć było mocno zdezelowane. Przednia obudowa z metalu, drewniane krawędzie, wbudowane radio i wielkie suwaki. Kiedyś musiał to być szczyt marzeń niejednego słuchacza. W tej chwili jednak zastanawiał mnie głównie fakt, czy opłaca się go naprawiać, czy może będzie lepiej, gdy oddam go na złom.

– Ostatnia próba, jeżeli nie zadziałasz, jutro wylądujesz na śmietniku – powiedziałem głośno, tak żeby gramofon dobrze mnie usłyszał.

Usiadłem ponownie na podłodze i wyciągnąłem płytę, która znajdowała się w nieopisanej kopercie. Ułożyłem ją delikatnie na talerzu i opuściłem ramię.

Stało się coś dziwnego.

Ogarnęła mnie całkowita ciemność. Po chwili jednak mogłem zobaczyć osnute mgłą, szybko poruszającą się obrazy. Wzleciałem przez drzwi balkonu i unosiłem się nad bloki osiedla. Szybowałem z ekscytacją nad dachami. Minąłem komin pobliskiego zakładu i przedszkole, przed którym bawiły się dzieciaki. Później wciąż w górę, ku samemu niebu.

Poczułem strach. Byłem tak wysoko.

Nagle zacząłem pikować pionowo w dół. Znalazłem tuż nad budynkiem, który zamieszkiwałem.

Zatrzymałem się na korytarzu. Stałem tam, choć byłem niewidoczny i nie w swoim ciele. Poczułem to.

Na drugim piętrze wytatuowany mąż, dwójka płaczących dzieci. Na stole zupa i otwarta butelka wódki. Kobieta. Krzyki, przepychanki i cios w policzek. Kolejne ły.

Trzecie piętro z samego rogu. Starszy mężczyzna od trzydziestu lat przykuty do wózka inwalidzkiego. Umęczony życiem, tak samo jak żona. Brak pieniędzy na jedzenie i leki. Bezsilność i żal.

Pod szesnastką piękna dziewczyna. Ogromnie samotna, porzucona przez męża. Jemu sąd przyznał opiekę nad synem. Codziennie po pracy upija się winem. Popada w depresję.

Poczułem to cierpienie w samym środku. Było przeszywające na wskroś i niebotyczne. Nie mogłem się uwolnić, a opłatało mnie coraz mocniej i mocniej. Znajdowałem się w jądrze ludzkiej udręki. W matni, która nie ma końca.

Rzuciłem się ku gramofonowi. Zdjąłem szybkim ruchem ramię z obracającej się płyty. Usłyszałem zgrzyt. Przystała się obracać, a ja wróciłem do swojej materii i mieszkania. Poczułem wilgoć na całym ciele. Byłem spocony i śmierdziałem. Z wycieńczenia ugięły się podę mną kolana i upadłem na posadzkę.

Obudziłem się, gdy na dworze już świtało. Spojrzałem na elektroniczny zegarek stojący na półce. Była 5:55. Wstałem i sięgnąłem po papierosa.

Bolała mnie głowa, jakbym miał ogromnego kaca. Złapałem się rękoma za głowę i próbowałem wytłumaczyć sobie to, co zaszło wczorajszego wieczoru.

To nie było naturalne. Ten felerly gramofon nie był zwykłym urządzeniem. Chyba, że mi już całkowicie odbiło. Po ciele przeszedł mnie dreszcz.

Rzuciłem się po telefon i wybrałem numer Anki. Długo nie odbierała.

– Słucham?! – rzuciła z niechęcią.

– Musisz natychmiast do mnie przyjechać! – powiedziałem z podnieceniem.

– Oszalałeś chyba! Jest piąta rano. Zresztą ja w odróżnieniu od ciebie pracuję. Czego naprawdę chcesz?

– Stało się coś naprawdę dziwnego. Wczoraj dostałem od sąsiada gramofon. Włączyłem jedną z płyt i...

– Naćpałeś się?! Nie odzywałeś się do mnie przez miesiąc, a teraz dzwonisz i mówisz, że mam przyjechać, bo kupiłeś jakiś pieprzony stary gramofon?! Chyba sobie, kurwa, żartujesz! – krzyknęła i rozłączyła się.

Rzuciłem ze złości telefon, który na szczęście upadł na wykładzinę. Poszedłem do łazienki, odkręciłem kran i przemyłem twarz zimną wodą. Chyba naprawdę ześwirałem – pomyślałem, wpatrując się w swoje odbicie.

Wróciłem jednak z powrotem do pokoju i wybrałem ponownie jej numer. Odrzucała go kilkakrotnie, ale ja nie dawałem za wygraną.

– Co jeszcze?! – usłyszałem w końcu.

– Proszę cię, przyjedź, nie żartuję. Jeżeli uznasz, że zwariowałem, już nigdy więcej nie będę ci zawracał głowy – powiedziałem spokojnie.

Zjawiła się pół godziny później. Otworzyłem drzwi i pomyślałem, że jej zaszępiła mina nie wróży nic dobrego. Położyła torebkę na krześle, wyciągnęła cienkiego mentolowego papierosa i spojrzała na mnie.

– Chcesz mnie zaciągnąć do łóżka, przeprosić czy coś jeszcze innego? – powiedziała cynicznie.

Podszedłem do niej bez słowa i podałem zapalniczkę.

– Usiądź spokojnie i zapal – odpartem, wskazując jej kanapę.

Zrobiła to powoli, wciąż z obawą, co tak naprawdę od niej chce. Wyczułem to w jej ruchach i sposobie ułożenia ściśniętych warg. To mnie trochę rozbawiło.

– Chcę, żebyś razem ze mną posłuchała jednej z płyt. Muszę cię jednak przestrzec, że nie jest to zwykłe nagranie.

– Niezwykłe? To znaczy jakie? Co to za muzyka?
– To nie muzyka. To odczucie.
– Czego?
– Cierpienia. Po włączeniu tej płyty poczujesz cierpienia ludzi w tym budynku – odpowiadałem z powagą. Anka wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Chyba naprawdę myślała, że chcę ją przelecieć tego poranka.
– Pieprzysz – powiedziała, gasząc papierosa w zapelnionej po brzegi popielniczce.
– Chcesz spróbować?
– Chyba naprawdę jesteś walnięty. Włącz tę płytę – powiedziała stanowczo.
Usiedliśmy razem na podłodze, blisko siebie i gramofonu. Jeszcze raz spojrzałem jej w oczy, które wyrażały niedowierzanie. Złapałem ją za rękę.
– Jesteś gotowa? – zapytałem, na co ona kiwnęła potakująco głową.
Uruchomiłem sprzęt, a winyl zaczął powoli się kręcić.

Czułem ją całym sobą. Byliśmy jedną istotą, połączeni ze sobą wszystkim. Duszą i ciałem, choć nie byliśmy żadną materią.

Tym razem ulecieliśmy przez uchylone w kuchni okno i znaleźliśmy się nad parkingiem. Przez chwilę obserwowaliśmy poruszających się na nim sąsiadów. Okrążyliśmy blok i poleciliśmy nad market.

I znów w górę pionowo, aż poza atmosferę.

I w dół. Spadaliśmy, tak jakbyśmy się mieli za chwilę roztrzaskać o chodnik.

Stanęliśmy między ścianami w środkowej klatce. Zaczęło się.

Stary hydraulik jeszcze się nie obudził ze snu. Jego żona ze swoim kochankiem wyjechała z miasta, a córka uciekła z domu i ćpa na dworcu kolejowym. On nie może się z tym wszystkim pogodzić. Pije co-dziennie, chcąc zapomnieć.

Kobieta z 5H urodziła niepełnosprawną córkę. Ojciec ulotnił się przy pierwszej okazji. U dziecka zdiagnozowano niedawno nowotwór. Rozważa zabicie dziewczynki i siebie.

Wdowa z czwartego piętra nie daje sobie rady z samotnością po tragicznej śmierci męża w wypadku samochodowym. Bierze pigułki, a dzisiaj wieczorem zamierza skoczyć z okna.

Wszyscy mieszkający tak blisko siebie. To wszystko dzieje się tuż za ścianą.

Czuliśmy ten ból wszystkimi zmysłami. On tkwił głęboko w naszym umyśle i nie pozwalał myśleć o niczym innym. To było przejmujące, niczym narodziny lub śmierć.

– Nie mogę już! – usłyszałem krzyk w swoim umyśle, ale na początku nie wiedziałem, do kogo należy.
– Proszę, przestań! – powtórzyło się, a ja zorientowałem się, że to Anka.

Wyteżyłem swoją słabą wolę i zdecydowanym ruchem uderzyłem w obracający się talerz. Gramofon się zatrzymał, a my powróciliśmy na podłogę w moim mieszkaniu.

Byliśmy tak wycieńczeni, że leżeliśmy zdyszani, nie odzywając się do siebie.

Minęło dobre pół godziny.

– To straszne i dziwne... Co to było? – odezwała się Anka.

– Cierpienie – odpowiedziałem.

– Ale dlaczego i po co?

– Nie wiem. Może tak po prostu.

– To niezwykłe, ale czemu może służyć? Może powinniśmy kogoś o tym powiadomić?

- Kogo?
- Nie wiem, policję, Kościół?
- I co oni z tym zrobią?
- Nie wiem.
- A co ty chcesz z tym zrobić?
- Nie wiem. Pójdę wziąć prysznic, bo muszę iść do pracy.

Gdy zamknęła drzwi łazienki, wstałem i zapaliłem papierosa.
Później zapakowałem płyty, owinąłem gramofon w karton i wyniosłem go na śmietnik.



Człowiek, który jest zawsze tylko w połowie

pije u mnie kawę
z jedną ręką luźno na blacie
która wcale nie należy do niego
a tylko do podtrzymania czegoś
znacznie cięższego niż
mała esencja
tego depresyjnego przerywnika

pole jest jałowe –
znaczy czyste
na długość ochry rozciągnięte

wychodzę na suche powietrze
w twarze ludzi a jednak
rozkwitłe dyskusją między
przyrodą a artefaktem

mosty buduje się w Gruncie rzeczy

Wybory

życie byłoby prostsze
gdybym podjął decyzję
o byciu astronautą
o byciu samochodem
o paleniu papierosów w gimnazjum
o wyborze rzeczy prostych i gładkich jak papier formularza
o trzymaniu za rękę konstruktów
choć
przyszło mi trzymać je w prostej linii
za ogon

świat jest wszystkim, co
jest faktem, że mój świat legł w gruzach
snu
pod żółtą pościelą
w późnych godzinach popołudniowych

okno jak usta nie mówią
prawdy
nie ma żadnej pomiędzy –
o tym trzeba milczeć.

najokrutniejszym z miesięcy jest wrzesień
cichym wiatrem niosący pierwsze ofiary z liści
bezceremonialnie pogrzebane w
szparach chodnika

dzielące pochówek
z kawałkami skóry i szkła

miesza przeszłość i kontekst

odbiera wolność

Nowy świat

Gdy spoglądam przez okno, widzę niewzruszony porządek świata. Wiatr strąca liście z drzew, wiewiórki krzątają się pod krzewem leszczyny, woda w rzece nieustannie płynie. Ten ład napawa mnie spokojem, pozwala myślom zwolnić bieg, daje poczucie wolności, bo przecież po drugiej stronie ulicy wszystko mknie do przodu tak szybko, że pozbawia mnie nadziei, iż zdolam cokolwiek pochwycić w tym szalonym biegu. Po drugiej stronie ulicy tracę wolność. Oto przyczyna, z powodu której jakiegokolwiek temat moich rozważań umyka, nim go zdążę zatrzymać w moim umyśle, przeanalizować, ubrać w słowa i zapisać. Często bowiem okazuje się, że ów proces, zbyt długi, powoduje przedawnienie analizowanego zagadnienia. Jednak, ku pocieszeniu, wciąż istnieją sprawy uniwersalne, które skutecznie opierają się pędowi. Dzięki temu wciąż mogę pisać, nie tracąc poczucia aktualności.

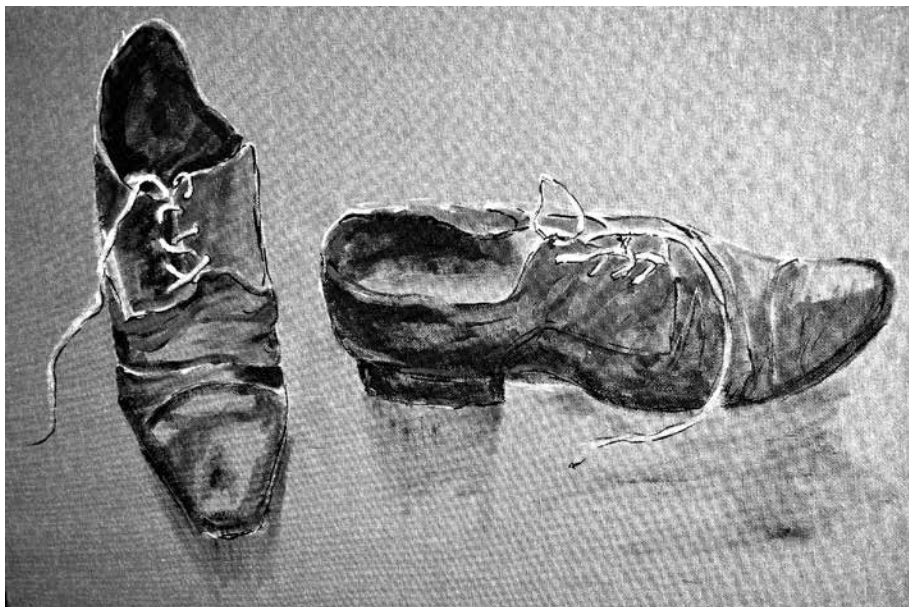
Każdy człowiek rodzi się wolny. Podobno. Czymże jednak jest owa wolność, ten stan ducha, powodujący, że człowiek może oddychać pełną piersią, nie odczuwając przy tym bólu lub lęku? Czy żyjąc w cywilizowanym świecie, nie wyrzekamy się dobrowolnie wolności, by móc korzystać z dobrodziejstw, które oferuje nam współczesny świat, nowy świat? Czy w ogóle możliwe jest bycie wolnym, gdy żyje się w zorganizowanym społeczeństwie według zasad określonych bądź co bądź przez grupę ludzi? No i wreszcie – jak pogodzić użycie wolności z nieustającym pragnieniem posiadania?

Aldous Huxley, pisarz wizjoner, przewidział skutki ciągłego udoskonalania ludzkiego życia pod pretekstem uczynienia ludzi permanentnie szczęśliwymi. W książce *Nowy wspaniały świat* roztacza przed nami wizję społeczności doskonałej, społeczności uporządkowanej biologicznie, w której nauka triumfuje, a człowiek w chwilach słabości zażywa somę – cudowny lek na wszelkie dolegliwości. Jakże to bliskie współczesnemu człowiekowi. Moja koleżanka ma w swojej torebce, oprócz lusterka i pomadki, pigułki chyba na wszystko: na zwalczanie stresu, na odporność, na zaparcia, na zmniejszenie apetytu, na wzmocnienie włosów i paznokci, na jedność pośladków, na spokojny sen... Po całkowitej prezentacji tych specyfików byłam przekonana, że na zakończenie położy przede mną pigułkę na wieczne życie. Cóż, powiedziałabym, że jest ofiarą trzeciej wojny światowej, której strategię opracowują psycholodzy, ale przecież przywykliśmy do tego, że na wojnie przelewa się krew. Być może dlatego nie dostrzegamy tej wojny. David Lagercrantz pisał, że pierwsza wojna była wojną chemików, druga – fizyków, według mnie trzecia należy do psychologów. Oczywiście świat nauki oburzy się na taki wniosek. Niepotrzebnie, nie mam nic przeciwko nauce. Obawiam się jedynie tej nielicznej grupy ludzi, którzy osiągnięciami nauki zwykli karmić chorobliwe idee zamieszkujące ich umysły. Oto jak powstaje nowy świat – na skutek monsturalnej manipulacji świadomością jednostek. Manipulacji tak głębokiej, że w jej efekcie człowiek traci swoją indywidualność, swoją osobowość. To jest znamię naszych czasów – ujednolicanie, ścieranie wszystkiego na proch. Nie dostrzegamy jednak tego, że jedyne, co ścieramy, to realny obraz świata. W efekcie my sami, będąc przecież integralną częścią tego świata, przestajemy doświadczać życia realnie, zatapiając się w iluzji tudzież w substytucji rzeczywistości, którą stanowi świat wirtualny.

Jakie bogactwa oferuje ludzkości ten nowy świat, dla którego świadomie lub nieświadomie rezygnujemy z wolności? Wygoda, o tak, człowiek szybko przyzwyczaja się do wszelkich wygod. Dziś wszystko załatwisz, korzystając z Internetu, bez wychodzenia z domu. Nowy świat urządza twoje życie tak, by stało się możliwie najbardziej wygodne. Nowy świat oferuje ci złudne poczucie, że za pomocą kilku urządzeń panujesz nad resztą świata. Oto prawdziwie szatańska sztuczka: im więcej zagarniasz, tym zagarniasz mniej i tym mniej jest w tym procesie ciebie samego. Wprawdzie masz poczucie, że opanowujesz coraz więcej, ale nie dostrzegasz, że stajesz się panem jedynie własnych konstrukcji. Realność ci umyka. Stajesz się panem stworzonych przez siebie idei, lecz jednocześnie redukujesz swoją istotę do tych idei. Nabierasz coraz większego tempa, bo fizycznie nie odczuwasz zmęczenia. Biedna ludzkość, jak pisał Henry Miller: „im bardziej szalone tempo, tym uboższy duch”. Niestety wraz z rozwojem cywilizacji wygasa w nas życie duchowe, a wraz z nim tracimy wolność, która jest konieczna do ujawniania osobowości. Wolność to świadoma konieczność wyboru. Jednak nowy świat próbuje nam wmówić, że konieczność wybierania jest narzuconą nam formą przemocy wobec przyrodzonego nam prawa posiadania czego tylko zapagniemy. Erich M. Remarque pisał: „dopiero jeśli się nie chce posiadać, posiada się w całości”. Któż by nie chciał?

Innym zagrożeniem dla naszej wolności są wszelkie próby nadmiernego uporządkowania życia społeczeństw. Nadmiar ładu jest równie niebezpieczny jak jego zupełny brak. Totalne urządzenie wszelkich dziedzin życia także jest unicestwieniem realności. Claude Levi-Strauss pisał w *Smutku tropików* o tym, że „ludzkość ograniczyła się do monokultury i przygotowuje się do produkowania cywilizacji masowej jak buraki”. Czyż nie jesteśmy świadkami tego procesu? Bylibyśmy, gdybyśmy wyszli do drugiego człowieka zza monitora komputera czy tabletu. Paradoksalnie wciąż mamy wybór; możemy siedzieć bezpiecznie w zaciszu domowym, nurzając się w wirtualnym świecie, możemy powrócić do prawdziwego, realnego życia. Tyle tylko, że w tym drugim przypadku najprawdopodobniej zostaniemy potępieni przez arbitralne prawo społeczne, prawo, które przecież nie jest oparte na żadnym prawie natury.

Dlatego, gdy przechodzę na drugą stronę ulicy, uświadamiam sobie, że wszystko to, co mnie otacza, ta wysoce rozwinięta cywilizacja, żyje jednym globalnym życiem. Rozglądam się wokół i czuję się przytłoczona. To, co mnie przytłacza, to nie nieskończona różnorodność wszelkich form życia, lecz jedna istota monstualnych rozmiarów – nowy świat.



taniec godowy atomów

toczę przed sobą żylastą czasoprzestrzeń. rozchybotana
materia kruszeje siwieje. rozpadają się cząstki miłości
wszechświata na jeszcze mniejsze mniejsze jeszcze
jeszcze. święty Paweł zamilkł w wiecznym uśmiechu

modre struny czasu skrzywiła kwaśno żółta rozcieńczona
na wieloświaty mgła kosmosu. strzępem miłości bliźniego
postrzegam przewrotny taniec godowy atomów. tropię go
biało dziecinnie aż po horyzont zdarzeń

nagi pociąg. światłocien

Stefanii Pruszyńskiej

dzień pocięty na obrazy klasyczna kratka światła i cienia
wszystko tak jak w radosnych oczach Saski. mieszkasz
tuż obok dużo śpisz prawie nigdy dzień dobry ja to
rozumiem. mieszkasz tuż obok ściana w ścianę okno
w okno drzwi w drzwi. nagi pociąg z hukiem przejeżdża

przez wspólny korytarz i już wiesz że nic nie powstrzyma
mocy prawdziwego snu mocy poematu mocy uśmiechu
nadal dużo śpisz uśmiechasz się wiesz że To jest nie do
zatrzymania mieszkasz tuż obok ściana w ścianę okno
w okno drzwi w drzwi

mcm2

moje piersi dwie mniszki pobladle nocami piszą poezję
miłosną. oczy szare groźne morz północnych pełne
budzą się nagle uradowane świtem. ręce żyjące w
celibacie delikatne grzbieciki spierzchnięte chłodem

przesiewają zgrabnie ziarna porzucenia. biodra
szklano-płowe w przepaść scałowane całe ciało
białe ciszą rozgniewane mołem zbłąkitniało

zegary przesytu

Snajperowi

najdziwniejszy z dziwnych najspokojniejszy z niespokojnych
rozkręca zegary przesytu seksem alkoholem poezją miłosną
zgrzebne spojrzenie aż trzeszczy od zasiedzenia w obrębie pola
jaźni starego konia skoszonej łąki kołujących sokołów w poświacie

gryczanego światła. wspomnienia trudne do opisanja jak
mleczne biodra wymykającej się z wypożyczonego pokoju
kobiety kokietującej intelektem pawia. jakby nie było już
niczego do sprawdzenia dotknięcia powąchania porzucenia

Ostatnie życzenie

Wyruszyli wcześniej rano, jeszcze przed upałami. Gdy podjeżdżali powyżej parkingu, okolica wydawała się pusta. Zaraz jednak pojawił się Słowak, twierdząc, że parking jest niżej i że nie można tu wjeżdżać. Ela wyjęła dwadzieścia euro i podała mu, mówiąc, że musi się tu zatrzymać. Dlaczego? Bo wyżej już nie można. Dalej zaczynał się żółty szlak. Słowak zajrzał przez szybę do środka samochodu, gdzie jej mąż Marek zmagał się z pasem bezpieczeństwa. Potem popatrzył na kobietę i oddał jej banknot.

– Macie telefon? – zapytał, uważnie spoglądając jej w oczy.

– Tak – odpowiedziała, pomagając Markowi stanąć obok samochodu.

Parkingowy pokiwał głową i odszedł. Chyba zrozumiał. Jej spojrzenie, determinację i dramat. Marek stanął prosto, podpierając się kijami do marszruty. Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego papierowo bladej twarzy. Spojrzał w górę, na szlak znikający w lesie. Gdzieś tam, o godzinę drogi stąd jest miejsce naznaczone niebiańskim spokojem. Tak bardzo chciał tam dojść, zobaczyć ten cudowny zakątek jeszcze raz. Elżbieta odradzała mu to wiele razy. W końcu wiedziała, że musi się zgodzić. Użył słowa „ostatnie życzenie”. Uderzył poniżej pasa i nawet ona, kobieta, zgięła się wpół.

Powoli ruszyli kamienistą drogą. Pogoda zapowiadała się doskonała.

To dobrze – pomyślała, biorąc pod uwagę, że powrót pewnie odbędą na pokładzie śmigłowca ratunkowego. Wszystko opłaciła i uzgodniła. Nie była nawet pewna, czy wejdą nad wodospad, ale wiedziała dobrze, że zabraknie mu sił, by zejść.

Na szlaku byli na razie sami. Szli bardzo powoli. Marek co chwila obcierał twarz chustką, przystając co kilkadziesiąt kroków. Wyglądał tak jak dawniej. Może trochę pobladł i schudł, no i te włosy. Bujna czupryna, której zawsze zazdrościł mu znajomy fryzjer, została pewnego ranka na poduszce. Położył się spać po trzeciej chemii i rano wstał praktycznie bez włosów. Tego dnia płakała wiele godzin. A Marek milczał. Zbierał te włosy z poduszki do reklamówki powoli, skrupulatnie, wyłuskując najdrobniejsze włoski wbite w materiał. Przyglądała się temu zdruzgotana, zastaniając twarz dłonią. Potem wyrzucił tę reklamówkę do kosza i poprosił o jakąś chusteczkę. Wtedy, gdy wiązała mu chustę na głowie, po raz pierwszy powiedział, że muszą znowu pojechać do Słowacji. Jakby przeczuwał, że terapia zawodzi. Początkowo zgodziła się bez słowa, ale potem, widząc, jak szybko traci siły, zaczęła mieć wątpliwości. Chciała jeszcze tłumaczyć swoje wahanie brakiem czasu, ale pewnego wieczoru, gdy zmieniała mu plaster z lekiem narkotycznym na plecach, a Marek znów wspominał o Słowacji, dotarło do niej, że jej mąż umiera. To wtedy wybrzmiały słowa „ostatnie życzenie”. Rzuciła wszystko i powiozła go na południe.

Dolina Młynicka otwierała powoli przed nimi malowane zielenią ramiona. Maszerowali bardzo powoli, bo po godzinie nie wyszli jeszcze z lasu na otwartą przestrzeń. Marek był potwornie zmęczony. Słońce stało jeszcze nisko, drzewa dawały przyjemny cień, ale za chwilę wyjdą naprzeciw masywom górskim, gdzie szlak wspina się mocno po kamieniach, a Młynicki Potok wezbrany po deszczach wdiera się pod nogi, szukając ujścia w położonych niżej dolinach. Jeszcze przed wyruszeniem rano Marek wmuślił w siebie trzy Nutridrinki. Najpierw pił zwykłe, dla wzmocnienia. Teraz każdego ranka próbował przełknąć choć jeden

Nutridrink Protein. Gdy zobaczyła dziś rano trzy puste pojemniki, domyśliła się, że jej mąż szykuje się na ciężki bój z ogarniającą go słabością. W tej chwili choroba zdawała się punktować go przy każdym niepewnym kroku. Jak zawodowy bokser z uśmiechem pogardy okładający bezbronnego amatora.

Po prawej przyjemnie szumiął potok. Na chwilę zboczyli ze szlaku, by zanurzyć w nim ręce. Kiedyś sprawdzali czas, kto dłużej wytrzyma po zanurzeniu rąk w lodowatej wodzie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie, ocierając czoło męża zmoczoną w wodzie chustką.

Milczeli. Od momentu wejścia na szlak milczeli. Tak jak tego dnia, gdy Marek wrócił do domu z rozpoznaniem choroby. Zawsze narzekał, że w jego szpitalu nie ma dobrego radiologa. Teraz wystarczył słaby radiolog, by rozpoznać przerzuty. A te były wszędzie. Siedział w jadalni z kamienną twarzą, trzymając w rękę ten wynik tomografii.

Przekłety kawałek papieru, który był teraz jak wyrok śmierci z opóźnioną wykonalnością. Jego koledzy z oddziału stanęli na wysokości zadania. Szybkie rozpoczęcie terapii w najlepszym ośrodku w kraju. Z każdego wyjazdu wracał taki sam jak wtedy, gdy po raz pierwszy w domu pojawiło się słowo „rak”. Siedział, milczał i zapadał się w siebie. Po miesiącu było kilka dobrych dni. Wtedy, porządkując papiery, z jakimś nerwowym podnieceniem pokazywał jej wiersze zaprzyjaźnionych poetów, których wcześniej nie miał czasu przeczytać.

– Popatrz, Eluniu – mówił do niej – jakie to piękne, co on napisał.

Jakby chciał nadrobić stracony czas i przeżyć ten, który mu pozostał, z pełną kontrolą wyostrożonych zmysłów.

Spojrzała na niego, gdy odpoczywał na kamieniu przy potoku. Ich oczy spotkały się na chwilę. Uśmiechnął się, a ona odwróciła wzrok, by się nie rozplakać. Wstał i powoli ruszył w górę, podpierając się kijami. Powłókła się za nim, jeszcze słabsza w tej chwili niż on. Wyszli na środek ożywionego porannymi promieniami wąwozu. Otulona kosodrzewiną ścieżka pięła się do góry, to znów zbliżała do cicho szumiącego potoku. Cienia było niewiele, ale Marek nie odpoczywał tak często jak wcześniej. Patrzył uważnie pod nogi i parł metodycznie, kamień po kamieniu, metr po metrze, popychany jakąś przedziwną siłą.

Najpiękniejsze miejsce na ziemi. Tak mówił o tym zakątku od dnia, gdy pierwszy raz tu trafili. Siedzieli wtedy nad brzegiem jeziora, wsłuchując się w obezwładniającą ciszę. Od wschodu pochylały się nad nimi Satan i Zadnia Baszta. Od południowego zachodu kojący cień rzucały na swoje zbocza kolejne Soliska – Szczyrbskie, Pośrednie i Wielkie. Nad kotliną krążyły chmury w sposób absolutnie niezwykły, jakby przywiązane do ziemi sznurkami, robiły kółka nad ich głowami. Daleko w dole mrugała powierzchnia Szczyrbskiego Jeziora. Nieliczni turyści wkraczali do tego raj na ziemi i znikali na szlaku okrążającym Solisko. Siedząc na kolorowych mchach, nie zazdrościli im, że odchodzą w góry. Ela i Marek już znaleźli swoje miejsce. Kawałek ogrodu Eden zagubiony w słowackich Tatrach. On nie zabrał ze sobą wtedy aparatu fotograficznego, ale nie żałował mocno. Mówił potem, że te obrazy chowa w sercu jak wielki skarb.

Na wspomnienie tych chwil coś ścisnęło ją za gardło. Uświadomiła sobie, że to może ostatnie ich wyjście w góry, ostatnie wspólnie spędzone chwile, ostatnie wszystko. Tym bardziej wstyd pomieszany z bólem rozlał się niepokojącym uczuciem w jej piersiach, bo przez wiele lat myślała, że istotną wartością jej życia jest praca. Mąż oczywiście także, oraz dzieci i dom. Ale to wszystko miała, nie musiała się martwić o miłość, przynależność uczuciową czy swoje miejsce na świecie. Martwiła się więc o pracę. Gdy pewnego dnia upadła jej firma, Marek dwoił się i troił, by znaleźć jej zajęcie. Język obcy, etat w nowo otwartej przychodni, nawet woził ją do swoich sędziwych pacjentów, by czuła się potrzebna, pomagając innym. To wszystko okazało się za mało. Zapadła w letarg depresyjny, izolując się od wszystkiego i od wszystkich. Dopiero jego choroba postawiła ją do pionu. Dotarło do niej boleśnie, że miłość to ulotny dar, dany jej tylko na chwilę. I że właśnie ta chwila się kończy. Przy tym wszystkim, co przeżywała, widząc, jak jej mąż umiera, potrzeba pracy stała się śmiesznym szczegółem. Teraz, gdy walił się w gruzy cały jej świat, upadek jego tak nieistotnej składowej jak ambicje zawodowe mógł co najwyżej wywołać na jej obliczu uśmiech pobłażania.

Ścieżka złagodniała. Szli teraz na Satana, a po lewej, nad kosodrzewiną dumnie przeżyły się granie Solisk. Powietrze było jak kryształ. Kontrasty kolorów nieba i skał wywoływały zawrót głowy, jakby zbyt dużo piękna i czystości wpadało do płuc z każdym oddechem. W oddali przed nimi pojawił się wodospad Skok.

– To jeszcze tak daleko – zaniepokoiła się Ela, spoglądając na zmęczonego męża.

– Damy radę – powiedział Marek, jakby chciał ją uspokoić i nie przerywając mozolnego marszu, wystukiwał kijami rytm wędrówki na kamienistym szlaku.

Młynicki Potok znów szumiał odważnie, teraz coraz mocniejszy, choć wciąż odpowiedzialny w swoim korycie. Już po kilkunastu minutach doszli do małego stawu pod wodospadem. Marek z ulgą usiadł na mchu, walcząc o powietrze. Ela znów pobiegła do stawu, by przynieść mokrą chusteczkę i położyć mu na głowie.

Gdy chwilę odpoczął, spojrzeli w górę, na wodospad. Po lewej stronie widać było zarysy łańcuchów, przeszkody, której prawdopodobnie osłabiony Marek nie pokona. Chyba zrozumieli to oboje, że nie dotrą do wymarzonego celu ich wędrówki.

– Nie dojdziemy tam dzisiaj – odezwała się ostrożnie Ela.

– To nic – odpowiedział cicho Marek, kładąc się na mchu. – Tu też jest bardzo pięknie.

Kobieta usiadła obok, a on z trudem podniósł głowę i położył na jej podkulonych nogach. Teraz już nie wiedział, czy to chmury kołują nad nim, czy cały świat wiruje mu przed oczami.

– Wiesz, kiedyś chciałem tam pójść – zaczął Marek słabym głosem, patrząc na szlak wspinający się w kierunku Szczyrbskiego Szczytu.

– Gdzie? – zapytała Ela, podążając za jego spojrzeniem.

– Tam, w góry, przed siebie – usłyszała cichą odpowiedź – ale kiedy o tym myślałem, tak wiele rzeczy trzymało mnie tu, w dolinach – przerywał, co chwila łapiąc oddech.

– Teraz, kiedy nic mnie już nie trzyma, zabrakło mi sił – dodał jeszcze i zamknął oczy.

– Kiedyś pójdziesz – głaskała jego łysą głowę, uważając, by nie kapąły na nią łzy. – Jeszcze tam pójdziesz, zobaczysz.

Ludzie schodzący w dół Doliną Młynicką byli świadkami niecodziennego w Tatrach widowiska. Czerwony śmigłowiec, wisząc nad stawem, podejmował turystę leżącego na noszach. Na ziemi pod hałasującą maszyną stała kobieta, podtrzymując nosze, gdy podnosiły się w kierunku otwartych drzwi śmigłowca. Trzymała ręce wysoko w górze, nawet gdy nosze były już kilka metrów nad ziemią. Podmuchy łopaty maszyny targały jej długie czarne włosy, wciskały łzy z powrotem w jej przekrwione oczy. Oto jej mąż poszedł na ostatnią wędrówkę. W góry, ścieżką, z której nie ma już powrotu.

Abur

rozczzerwienia się niebo. z trójkątnej góry Abur schodzi
bosych trzech mędrców – nim zejść z liściem betel,
góra urodzi mysz.

tymczasem z chat z situ wdowy czeszą brzemienne,
dziewczynki milczą w myślach zakazane miasta, wije się
żółta droga – biegnie z Abur
do Ata.

deszcz się krztusi – nie spadnie, póki stunogi szaman
nie wychwieje go tańcem.

brązokóre kobiety wypływają przeżute resztki
copelandia cyanescens – będą ostrzyć
swe zmysły. ich mężczyźni przybiegną.

z trójkątnej góry Abur spłyną szelesty
dreszczu; ziemia połknie nasienie. nad szczytem
wzejdą cztery ślepe,
bliźniacze gwiazdy. rozpopielą się

cienie. z trójkątnej góry Abur zejdzie
bosych trzech mędrców – góra połknie
kometę, a niebo
urodzi mysz.

niqaab

wiatr niesie zapach piasku. niewidzialny ornament
– fatamorgany: cienie i furkoty wojennych
płaszczy albo namiotów w rozpalonym powietrzu. nie wiem,
czy rzeczywiście tutejsze kobiety
mają skórę o barwie miąższu dojrzałych owoców salak
– niqaab skrywa ich twarze. być może
istotą piękna jest tajemnica i trzeba patrzeć

głębiej. pod płaską taflą – wstążki
morskiej trawy i glonów. pisk toczy się po elipsie
żelaznej strony snu jak kamyk rzucony w przepaść –
domyślam się kształtów

ptaków, gdy szpikulcami dziobów natarczywie pukają
w dna rybackich kutrów; szperają
w rybich łuskach. nieprawda, że odpływy wszędzie są
takie same. osowiałość

na brzegu porzuconych przedmiotów. obce
drzewa wgardliwie obnażają
korzenie – czarne jak sadza pętle, ciężko wczepione
w zbocze pijące żar i sól. strażnik gajów oliwnych –
garbus z tekowym koszem, drzemiąc, biegnie
w haremie
przez rozkosz o barwie salak – domyślam się

jego snu. i czuję zapach piasku, widzę, patrząc pod światło
nieistniejące wojska i namioty
w powietrzu.

Grecja

*Uleczy cię czas, ta wszystkożerna świnia,
i staniesz się kaleką.*

W. Łysiak

wielbiliśmy Saksonię i obrzeża Westfalii, nim pokręcona
Herta – pchła, co kradła cukierki, która była nam wroną,
objawiła łaskawie
Grecję – cztery pijane morza: rafy, meduzy, wraki
galer, szkielety syren, ryb – pił, ryb
elektrycznych. zdradziliśmy

krucjaty i świętego Rolanda – w butelkach
po oranżadzie ślaliśmy
do Longobardów listy żółte jak ogień, kreślone woskową
kredką. oddychaliśmy Grecją – nieprawda, że wracaliśmy

nadzy, niosąc pożogę: nasze łagodne siostry
haftowały namiotów posklejane koperty, nocą
prały onuce z kwaśnych odorów wojen. wierzyliśmy
w pstre polis, w wonie przypraw korzennych, w żoły w klatkach
z sitowia. w euforii

ukradłem dagerotyp z Mercouri, potem naraz
dorosłem: coraz rzadziej marzyłem
i nie śniła się Grecja...

stary taper i jego kapelusz

tego sierpnia drapieźniej
skwar liże długie szable
brunatnych, trzeszczących traw
chwiejących całym zboczem, skąd dostrzega
dach kina – to tam ciągle
przychodzi: widać, że coś go ciągnie.

teraz zapewne drzemie – jego cztery koty
i kundel o cuchnącej, owrzodzonej skórze
ogrzewają mu stopy. lecz kusy cień kuśtyka
– szura laską na hałdach.

i skaczą cienie dzieci z okolicznych wiosek,
krzyczą: grajek bez jajek! wrzask leci
wrogą bryłką wystrzeloną z procy; strąca czarny
melonik – wiatr
stroszy mleczne strąki uwolnionych włosów. chichot

wstrząsa powietrzem. a on plecy owija szczelniej
łataną kołdrą. co śni,
gdy jego buty człapią wśród suchych łodyg
i turla się ostrym
stokiem wysłużony kapelusz...?

Dla chwili...

...Kilka chwil... kilka zamkniętych w oczach wrażeń...
Odrobinę złudzeń i neurotycznych trzęsień nieba...
Być świadkiem burzy w szklance wody, złapać coś, co za sekundę
zgaśnie...
Świat się kręci na karuzeli wrażeń, a niebo otwiera się, raz po raz
wylewając światło na to, co jeszcze w czarny cień ubrane...
Ileż jeszcze tych miejsc światła ujrzeć pragnących, ileż jeszcze stacji,
na których warto się zatrzymać... Dla tych chwil... nim zgasną...



Pamięci Mieczysława Warszawskiego

Mur porośnięty
gałęziami i listowiem
to nie bluszcz
przy nim rozkwitło
różowe drzewo
odczuwalna obecność i dobroć duszy
odszedł następny twórca Mieczysław
pozostaje poezja i pamięć
obraz Poety
unosi się nad miastem

15 maja 2015

Joli Pytel

Idzie kobieta
wiatr targa włosami
z twarzy kapie ból
upada
w dłoniach ściska talizman
taka mała wobec wszechświata
a niesie świat

20 sierpnia 2015

Miasto jako czytelnia

Przeczytajmy sobie wiersz. Do kawy. Co prawda nie jest to kawiarnia literacka, tylko McDonald's, ale odrobina wyobraźni pozwoli spotkać się nawet ze zmarłymi. Do wyboru mam wiele wierszy: oprócz tomiku ks. Jerzego Szymika i *Antologii poezji karmelitańskiej*, ostatnie numery „Pro Libris”, „Toposu”, „Zeszytów Literackich”, a jeszcze w *Przypadkach mojego życia* Romana Brandstaettera jego utwory poetyckie wplecione między anegdoty, refleksje, wspomnienia. W Krakowie wiersze powinny smakować lepiej, ale to nie jest prawda. Smakują najwyżej inaczej niż w Brodnicy, w Głogowie czy w Zielonej Górze. Co by nie powiedzieć, najwięcej poezji przeczytałem w moim rodzinnym mieście i w pociągach. Gdybym wpadł na pomysł tego felietonu wcześniej, może wybrałbym inny lokal na jego początek, ale nie narzekajmy, czytajmy.

Zacznę po znajomości, od s. Marii Grażyny od Ducha Świętego i Matki Kościoła, a ja wiem jeszcze, że nazywa się ona Zieleń OCD.

I cisza w słowie zamieszkała milczeniem.

A pod stopami puch nadziei
rozkwitającej barwami mchu.

Tu człowiek podąża w stronę światła.

(*** I cisza w słowie)

Często sobie ją przypominam, kiedy w drodze do i z pracy na trasie Jabłonowo Pomorskie – Toruń Główny widzę na jednym z dworców napis Zieleń. Poznaliśmy się w pociągu. Widać podróże nie tylko kształcą, ale i łączą. Miałem wtedy w plecaku małą bibliotekę, podobnie jak mam teraz. Jeśli każda książka jest światem, to na miejscu będzie tu początek

wiersza Tomasza Różyckiego *Plecak*: „Ten świat, a także kilka innych światów/ zmieści się w bocznej kieszeni plecaka”.

Przed wyjściem z lokalu jeszcze dwa łyki poezji. Niech to będzie Cyprian Kamil Norwid z motta u Brandstaettera: „Odkąd na ten świat patrzę! Rzeczywistością całą/ Jestże entr'acte w teatrze?” (*Tymczasem*). I sam Brandstaetter: „W kawiarni w Gazie/ Piję z maleńkiej czarki turecką kawę”. Wyobraźmy sobie, że właśnie tak jest. Wielcy razem ze mną przy jednym stoliku. I w Krakowie jest ziemia święta.

Mam mało czasu, dwie i pół godziny między pociągami. Przyjechałem z Zabierzowa, gdzie byłem nad grobem brata i bratowej. Na jej tablicy napis: „Kochała Boga, męża i góry”, na jego wykuć dałem słowa św. Pawła: „Największa jest miłość”. Jestem w drodze do Torunia, w którym umówiony jestem z córką na powrót (jej samochodem) do domu. Jeszcze na Floriańskiej czytam *Prado* ks. Jerzego Szymika, a w nim litanię pytań:

czy nie mieć z kim dzielić wzruszenia rozwija
lub niszczy?

czy pytanie o prawdę jest przywilejem Piłatów?

czy wrażliwość to skarb lub ułomność?

czy rośnie w tobie podziw dla dobroci?

czy nie mieć do kogo wracać jest szczytem
wolności?

czy miłość i cierpienie można zakłąć w ciszę?

czy rozumiesz co znaczy że Jezus był bezdomny?

Ksiądz i poeta, w książkach kompan wielu mych podróży. Prawie jak średni brat, którego nie miałem. Skręcam w stronę Zaufka Niewiernego Tomasza. Moje

ulubione miejsce w tym mieście. Gdy zobaczę napis z jego nazwą na ścianie kamienicy, mogę powiedzieć: byłem w Krakowie. „Jestem gorszy niż Tomasz/ wkładam palce w rany/ które sam zadałem”. To z pamięci, bo sam napisałem. Na Sławkowskiej szukam księgarni Znak, w której często bywałem. Myślałem, że biorąc jakiś tomik z półek, przeczytam coś „na gapę”. Rozglądam się z niedowierzaniem, ale już jej nie ma. Przechodzę na równoległą ulicę św. Jana (Zbigniew Rokita policzył: „w Krakowie mamy trzydzieści »świętych« ulic”). Wchodzę do antykwariatu. Prowadzą go panie, które w życiu wiele przeczytały (tak myślę) i niewiele zmieniają. Obywają się bez komputera. Pytam o książki Feliksa Netza – autor im nieznany, sprawdzają w kilku zeszytach. Opowiadam krótko o nim, że urodził się niedaleko Brodnicy, że był wujkiem mojego przyjaciela i że go czytam „po znajomości” od blisko roku. Mówią, że były kiedyś w grodzie nad Drwęcą. Po miłej rozmowie (przy książkach jakie mogą być rozmowy) idę na rynek. Na spotkanie z Piotrem Skrzyneckim przed Piwnicą pod Baranami mam wiersz Bogumiły Różewicz *Liść serca*, który mógłby być tu napisany: „Słomkowy kapelusz maluje/ znak czasu/ pijesz złocisty napój/ unoszę dłonie/ podaję ci liść serca/ A w zamian dostaję/ zaproszenie na koncert”. Patrzę, czy wiatr nie zerwie kapelusza z głowy gospodarzowi tego miejsca. A koncert czeka na mnie po drugiej stronie rynku pod Kościołem Mariackim. Na nim zegar odliczający czas do Świątowych Dni Młodzieży. Nie dla mnie, nie dla mnie ten zegar. Nie skarzę się. Żeby coś przeżyć, trzeba mieć więcej lat. Saksofonista z afro fryzurą gra nieznane mi kawałki. W wierszu *capriccio* (z tłumikiem) Szymona Żuchowskiego trąbka, puzon, fagot, obój, rożek angielski, alikwot, ale saksofonu nie ma. Nic to. Najpierw słucham, a potem idę dalej. Spoglądam w stronę pomnika Adama Mickiewicza. Przypominam sobie śpiewaną przez Czesława Niemena frazę z wiersza *Dobranoc*: „Dobranoc, już dziś więcej nie będziem bawili” i „słyszę” muzykę Andrzeja Kurylewicza.

Czy ma taką moc liryka, jak chce Konstanty Ildefons Gałczyński: „Tylko ona cię zbawi, przeklęta i jedyna –/ i na gwiazdy wyprawi, rym święty, mowa inna/ – poezja!” (*Muzie nóżki całuję?*)? Dla jednych tak, dla innych nie. Ale ona sprawia, że chodzę po Krakowie w dobrym towarzystwie.

Na Grodzkiej zaglądam do cudzej korespondencji. *List Andrzeja Strumiłły z Maćkowej Rudy, 2006 rok* to wiersz Janiny Osewskiej:

Lecimy z galaktyką, a nasze wiersze są próbą
ratowania czasu. [...]

Trudno być szybszym od rozszerzającego się
Wszechświata.

Pozostajemy na wieczność w nim. Nadzieją,
że opuścimy

Jego materię i ulecimy w Krainę Ducha dając
nam tylko

wiarę i poezję.

Może i ks. Michał Heller, autor książki *Wszechświat jest tylko drogą* podpisałby się pod tymi słowami. Gdy doszedłem przez Plac Dominikański i Stolarską do Małego Rynku, pomyślałem o swoim mieście. Gdybym napisał takie zdanie „z Farnej, przez Duży Rynek i Kościelną do ulicy św. Jakuba”, poza miejscowymi któż by widział gotyką farę, wieżę ratusza, kościół poewangelicki i pozostałości muru cmentarnego oraz średniowieczne spichlerze. Kiedyś mój syn, wtedy mały chłopak, czytając kolejną tablicę na kamienicy w Krakowie, stwierdził: „Tu wszędzie coś się działo”. Ale czytajmy dalej.

Czytam poetów, żywych i umarłych, uczę się
od nich

wytrwałości, wiary i dumy. Próbuję zrozumieć
wielkich filozofów – najczęściej udaje mi się
uchwycić tylko strzępy ich drogocennych myśli.

To z laudacji Sebastiana Kleinschmidta z okazji przyznania Adamowi Zagajewskiemu Nagrody im. Henryka Manna. Na chwilę jesteśmy w Berlinie. Z wielu pytań, które znajdują się w wierszu *Idź przez to miasto*, przepisuję jedno: „Czy nie nadużywałeś wysokiego słowa?”. Mogłoby ono być dołączone do litanii szymikowej.

Z książką w ręku być może wyglądam jak ktoś, kto czyta przewodnik po Krakowie, chce poszerzyć wiedzę o królewskim mieście. Czas się udać w stronę Plant na posiłek. Idę ulicami Szpitalną i św. Tomasza. Siadam na ławce. Do bułki i kabanosa wiersz Anny

Tokarskiej *Deus est* i fragmentu *Duszy Zagajewskie-*
go. Tworzę z nich dyptyk:

1)

Z wiersza wyszedłeś
w wiersz powrócisz

wreszcie spokojny
w czterech ścianach strofy
wreszcie
bezpieczny
w świecie metafory

2)

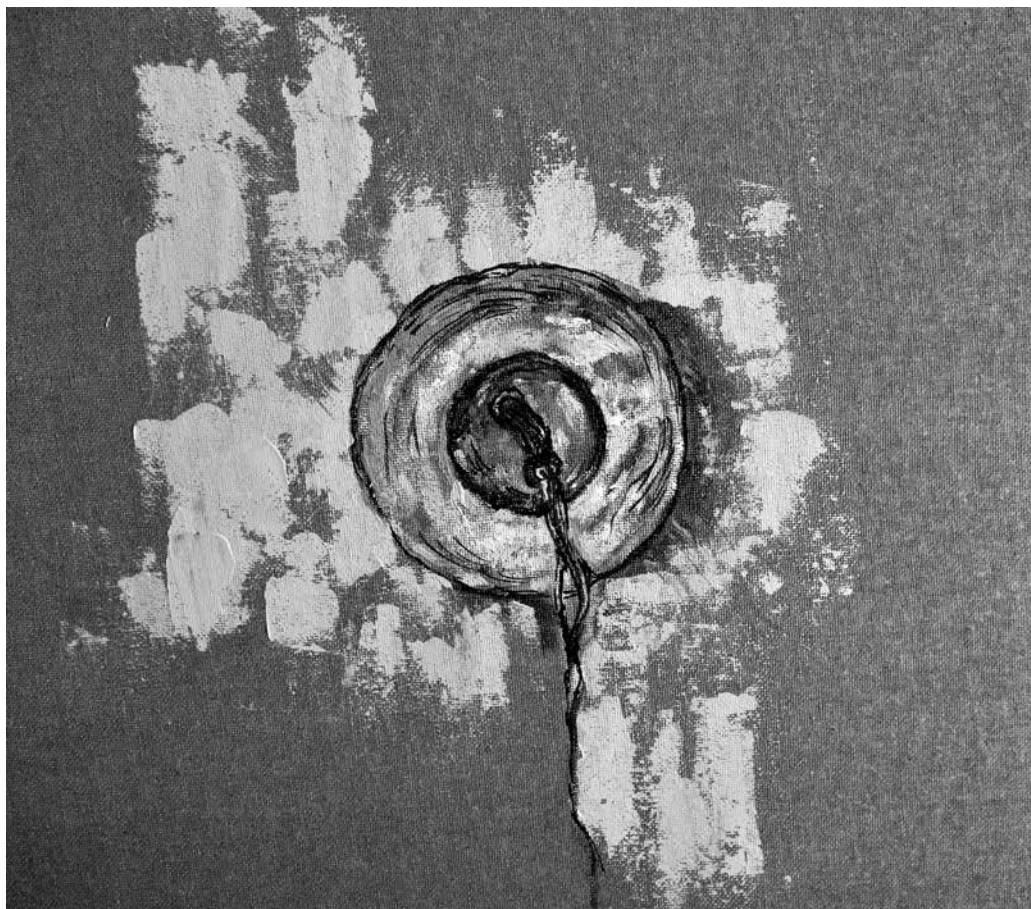
Już nam nie wolno używać twojego imienia.
[...]

Wiemy, że nie wolno ci teraz mieszkać
ani w muzyce, ani w drzewach, gdy gaśnie
słońce.

Wiemy – a raczej tak nam powiedziano –
że nie ma cię wcale, nigdzie.

Nie da się wszystkiego cytować i wpisać w ten
tekst. Nie dam rady przeczytać wszystkich wierszy,
które mam w plecaku. Pominęci tylko z „Zeszytów
Literackich”: Tomas Venclova, Marzanna Bogumiła
Kielar, Natalia de Barbaro, Tomasz Łubieński, Jaro-
sław Klejnocki, Anna Arno. Pominęci z „Toposu”.
Pominęci z „Pro Libris”. Czas ucieka, pociąg czeka
– parafrazuję spopularyzowane przez Jana Pawła II
słowa. Idę w stronę Pawiej do dworca PKP.

(tekst pochodzi z cyklu *Kto czyta, nie jest samotny*)



Że usta, że włosy, że nigdy wcześniej.
Oczy i ręce mają dziwny problem.
Więc w znikomości rodzi się zbawienie.
I rośnie wysoko, co w tobie najmniejsze.

Mówimy o tym długo przemiennie,
Ku sobie coraz dalej chodzimy nadzy.
Ja po twojej, a ty po mojej stronie.
Mamy ciała, których nam zabraknie.

Śpimy nad ranem we śnie sennego łóżka.
Dzień idzie nas zabić nauczony śmierci.
Jeszcze śnijmy – niech ciemność się pali.
Nie trzeba ciał o nic pytać, one już wyznały.

Na zimowe podwórko wtacza się śmieciarka
Z pojemników wysypują zmarzłą zawartość.
Dobrze, że się uparłaś być cała objęta.
Być całowana gdzie tylko i nie tylko.

Jestem głodny i wiem co znaczy głód.
Nie muszę mówić, bo idę w milczeniu.
Kamień mnie uczy, przypomina mrok,
Że pod księżycem nie byłeś niczyja.

Ból wie gdzieś poza ciemne granice,
Przychodzi nie wiadomo skąd jak wędrowiec.
Właśnie kartkę piszę w dość pustym pokoju
Nagle dotkliwą kilku zdań odrębność.

Tyle możliwości i jedna niemożliwość,
Żeby odsunąć kosmyk włosów z czoła,
Który przeszkadza oczom w pocałunku.
Z tego powodu chcę, żeby były nam uda.

I dalej chcę poza nocą, poza głodem
Złączyć różne nagości w jednym.
Imiona i cienie, i rzeczy niepotrzebne.
I jeszcze chcę, byś o tym nic nie wiedziała.

Pokuta mojego dziadka

Po śmierci babci Agnieszki, której spodziewaliśmy się jeszcze przed Wigilią, a najpóźniej po Trzech Królach, dziadek Władysław dostał małego rozumu. Nie dosłownie. Tak się mówi o mężczyźnie, który nie potrafi znaleźć sobie miejsca zaraz po pogrzebie swojej żony. Dziadek zwariował nie dlatego, że babcia umarła, na jej śmierć przecież był przygotowywany co najmniej od pięciu lat, nawet odkładał pieniądze na konsolację, jak nazywał to, na co Majka mówiła stypa. Zbikował dlatego, że zanim babcia zamknęła oczy, zażądała od dziadka, żeby pochował ją nie na cmentarzu Nowym w Zielonej Górze, gdzie są groby sąsiadów, lecz na cmentarzyku przykościelnym w Nieliszu koło Zamościa.

– Tam się urodziłam i tam razem z moimi siostrami chcę czekać na Sąd Ostateczny – nakazała dziadkowi to, o czym musiała dawno zdecydować. – Jakbyś, mój kochany Władeczk, zrobił inaczej...

– W takim razie gdzie jest moje miejsce? – spytał dziadek wieczorem po stypie. – Najwygodniej byłoby, gdyby moje kości spoczęły koło twojej matki, żebyś miał groby w jednym miejscu – powiedział nie bez racji do mojego ojca. – Bo gdybym był uparty i postanowił jak twoja matka, miałbyś ogromny kłopot.

– Dlaczego akurat kłopot, w dodatku ogromny? – chciała wiedzieć moja mama, tutejsza od urodzenia, jak tutejszy jestem ja, moja żona, jej dwaj bracia i nawet jej matka.

– Urodziłem się w Jungówce. Tam nie było cmentarza. To moje miejsce powinno być w Zaturcach, gdzie zostałem ochrzczony w naszym kościele parafialnym. A może w Kisielinie albo w Horochowie.

W starym dowodzie osobistym dziadka, w rubryce „miejsce urodzenia”, urzędnik wykaligrafował: „ZSRR”. Im dziadek chodził bardziej wygięty w kabłąk, tym częściej i głośniej protestował przeciw temu zapisowi.

– Urodziłem się w kolonii Jungówka, gmina Kisielin, powiat Horochów, województwo wołyńskie!

– Czyli na Ukrainie – powiedziała Majka.

– Nie na Ukrainie, dziecko! Nie na Ukrainie. W Polsce. Na Wołyniu – natychmiast poprawił ją dziadek głosem zdecydowanym.

– Wołyn to przecież Ukraina – nie poddawała się Majka.

Widziałem, jak dziadek zacisnął dłoń na lasce. Słyszałem, jak syknął przez resztki zębów. Chciał coś powiedzieć, ale tylko zabłyśły mu te coraz bardziej zmatowiałe oczy.

– Tu, gdzie mieszkamy, byli Niemcy. Żaden tutejszy Niemiec nie powie, że urodził się w Zielonej Górze przed wojną. Jako miejsce swego urodzenia poda Grünberg. Pytającemu wyjaśni, że to było na Schlesien – wyjaśniłem stronę żony.

– Pogmatwane są nasze losy – powiedział ojciec, żeby nie denerwować dziadka i nie być przeciw Majce.

– A nie chciałbyś, wnuś, tam pojechać? – Dziadek zwrócił się wprost do mnie. – Zobaczyłbyś moje strony rodzinne. Tam dokąd wzrok sięga, tylko równina. Pola i pola. Mogłeś iść cały dzień i nie spotkać człowieka... U nas na podwórku rosła grusza. Stareńka. Pewnie jeszcze za cara posadził ją mój dziadek albo dziadek mojego dziadka. Na zimę ojciec opatulał ją słomą, obwiązywał szmatami, znowu słomą, żeby nie popękała, bo takie były mrozy. Jakie słodkie gruszki rodziła... Tam stał nasz dom. Nowy, drewniany, na podmurówce.

– Już go nie ma – powiedział mój ojciec i przypomniał to, co dziadek opowiadał zaraz po pierwszych i jedynych odwiedzinach swego brata. – Mówił ojciec, że wtedy na polach dookoła Jungówki, Kisielina, Jasińca złościły się tany kołchozowej pszenicy.

– Tak było.

– Dziś pewnie te pola są ugorami, z czego najbardziej cieszą się kąkole, powoje, maki i zbieracze ziół.

– Ano, tak ono może i być – dziadek skwitował domysły ojca. Zapalił papierosa i po chwili zadumy stwierdził, że my teraz mamy dobrze. – Dużo za dobrze.

– Dlaczego tylko my mamy dużo za dobrze? – zaciekała się mama, jako synowa starająca się o to, żeby teść nie powiedział o niej nawet jednego marnego słowa.

– Oj, dużo za dobrze – powtórzył dziadek.

– Czy ojcu czegoś brakuje albo jest z nami źle?

– Nie.

– W takim razie, dlaczego mamy dużo za dobrze?

– Bo macie.

– Niech ojciec wreszcie powie, co go męczy – rzucił mój ojciec głosem podniesionym.

Mama już otworzyła usta, żeby napiętnować ojca, gdy dziadek zaczął wyjaśniać, co miał na myśli:

– Nie musicie zastanawiać się, gdzie wasze miejsce.

– Co ojca dziś naszło?

Ignorując prowokacyjne pytanie, dziadek kontynuował:

– Wasze miejsce jest tu. Ty urodziłeś się w Zielonej Górze. Twoje dzieci w Zielonej Górze. Wnuki też w Zielonej Górze... Wszyscy jesteście tujejsi, a ja...?

O to dziadkowi chodziło! Na stare lata nie potrafi pogodzić się z faktami, które dla mojego ojca i dla mnie są jedynie odległą historią. Dziadka jednak męczyła jak zmora we śnie. Póki żyła babcia, rzadko kiedy wspominał o swoich kawalerskich latach, najwyżej jak wypił kieliszek wódki w drugi dzień Bożego Narodzenia. Babcia zawsze przygotowywała na stół wigilijny to, co szykowała jej matka, a akurat wtedy dziadek przypominał sobie, co robiła jego matka. To i babcia starała się, żeby na naszym stole było też coś z tradycji domu w Jungówce, wtedy syty i zadowolony dziadek wracał pamięcią w swoje młodościowe strony. W jego z roku na rok coraz dłuższej opowieści Wołyni, szczególnie okolice Horochowa były Ameryką zamieszkałą przez najpracowitszych, najspokojniejszych, najserdeczniejszych, najinteligentniejszych, najbardziej przyjaznych ludzi. Tam słońce świeciło nawet w nocy. Kogo rozboleła głowa, pił napar z ziółek zebranych zaraz za płotem.

– Jakie tam powietrze! Jak ziemia rodziła!

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Wreszcie wybierz się, Władeczkule, do tej swojej Jungówki. Sprawdź, co się zachowało. Może będzie ci lżej – podpowiedziała babcia, gdy miała dość dziadkowych opowieści przetykanych nostalgią i sentymentem. – Przecież masz tam brata, bratową, bratanka.

Pojechał.

Wrócił nie po tygodniu, jak obiecywał, lecz po dziesięciu dniach. Najpierw milczał. Babcia też zaciskała usta i cierpliwie czekała, chociaż ciekawość miała wymalowaną na twarzy, a ja wyglądałem prezentu. Z sanatorium dziadek zawsze coś mi przywoził. Nawet jak po operacji brzucha z powodu przepukliny wrócił ze szpitala, dał mi dwie strzykawki i pudełeczko po lekarstwach.

– Niewiele nasze życie jest warte – odezwał się w niedzielę przy obiedzie do mojego ojca. – Człowiek młody nie zastanawia się nad przyszłością. Wydaje mu się, że będzie żył wiecznie. Jak mężczyzna posiwieje, choćby wtedy zaczęły mu wyrastać zęby mądrości, za późno na naukę. Wiedziałem, że czas nie stoi w miejscu. Tam przekonałem się, że nie da się go zatrzymać go i zawrócić kierownicą jak auta.

Babcia przyzwyczała się do takich mądrości, tym bardziej że dziadek nie znał lęku przed tymi, którzy rządzą Zieloną Górą, bo co można zrobić staremu nauczycielowi? Zresztą babcia Agnieszka jeśli kogoś oceniała, to nigdy wedle własnej miary.

– Czy to moja wina? – spytał dziadek, gdy tłumaczył, dlaczego nie wrócił po tygodniu jak obiecał, a trzy dni później. Babcia już się denerwowała. – On sam sobie winny.

– Kto?

– Kto, kto?

– Niech ojciec wreszcie powie, kto jest winny.

– On.

Jakaś klamra nie puszczała w głowie dziadka. Siedział w kuchni oparty o poręcz krzesła, z nogą założoną na nogę, palił papierosa i nie przyznał się, co go torturuje, jakby się zastanawiał, czy wszystko może ujawnić żonie, synowi, synowej, wnukowi i Majce. Bo powie o jedno słowo za dużo albo nie wyjaśni, jak trzeba i wezmą go na pytki. Często ostrzegał, że zdarzają się sytuacje, gdy ton pytania narzuca ton odpowiedzi. I choćbyś chciał powiedzieć coś innego, nie możesz. Musisz brnąć w gęstwinie kłamstw.

– Miałem brata i nie mam – wreszcie odezwał się dziadek i to takim głosem, jakby czegoś żałował. – Miałem.

– Pokłóciłeś się ze swoim jedynym bratem – ni to spytała, ni stwierdziła babcia z niedowierzaniem. Dziadek z nikim się nie kłócił. – Pojechałeś tam po to, żeby mu nawymyślać? A o co pokłóciłeś się ze swoim...?

– Jaki on mój brat? – Dziadek nie pozwolił babci dokończyć drugiego pytania. – Moim bratem był Mikołaj, a ten – odczekał chwilę – Mykoła.

– Ukraińska wersja imienia Mikołaj – odezwała się mama cicho, ale z wyraźnym zainteresowaniem. – Po rosyjsku byłby Nikołajem, po czesku Mikuláš, po niemiecku Nikolaus.

– Gdyby zamiast ciebie, jego wzięli na roboty, bauerka nie łamałaby sobie języka wołaniem: *Ladislau, komt zu mir* – roześmiała się babcia Agnieszka. – I nie byłbyś moim mężem, Władeczk.

– To sprawa jego żonki. Oksana przechrzczyła go na Mykołę.

– Mykoła... ładnie. Mnie się podoba – łagodziła sytuację babcia. – Myślę, że zaprosiłeś go do nas. Jedyny brat przecież. Siostra wyszła za mąż, zmieniła nazwisko i już nie liczy się w rodzinie. Tak mówięś.

– Musi teść pamiętać, żeby na zaproszeniu było nie polskie, lecz ukraińskie brzmienie imienia. W razie czego chętnie pomogę – wyrwała się mama.

– On tu nie przyjedzie.

– Dlaczego stryj Mikołaj nie przyjedzie?

– Powiedział to teść tak, jakby coś się stało – dociekała mama, mająca u dziadka specjalne względy.

– Bo się stało...

– Co się stało, Władeczk? Powiedz wprost – nakazała babcia spokojnym, ale i kategorycznym tonem.

– Jego wina – upierał się dziadek, jakby się usprawiedliwiał.

– Czym teściowi zawinił?

– Prawda, zawinił.

– Ale czym?

– Powiedział, że my w Polsce nie mamy głowy do samogonu? Że pijemy wódkę. Polskie pany. Jakby tego nie powiedział... Mikołaj był młodszy ode mnie o niecały rok.

– Ojciec ze stycznia, a stryj Mikołaj z grudnia.

– Był z ostatniego dnia grudnia – potwierdził dziadek.

– Był, był? Jest.

– Czyżby stryj Mikołaj...? – zaczął ojciec i wyrzucił z siebie serię pytań: – Umarł? Kiedy? Dlaczego ojciec nic wcześniej nie powiedział? Co tam się stało?

– Aha, to z powodu pogrzebu wróciłeś trzy dni później – domyśliła się babcia.

Dziadek kiwnął głową.

– Stryj chorował? Na co?

– Gdy zabrakło kupnej wódki, Mikołaj kazał Oksanie przynieść samogonkę. Tam taki zwyczaj, że najpierw częstują gości kupną, chortycą. Potem dają swojską. Tam wszyscy pędzą. Z kartofli. Z żyta. Z pszenicy. Z gruszek. Nawet z buraków. Po dwóch, może po trzech dniach picia samogonu, gdy było mi obojętne, co piłem, powiedziałem do brata: dosyć. Zawieź mnie, Mikuszka, do Jungówki. A po co do Jungówki? Nie pytaj, tylko mnie zawieź. Chcę zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłem. Ty też tam się urodziłeś. I Janka tam... Jungówki nie ma, Mikołaj na to. Jak to nie ma? No nie ma. Tam stał nasz dom. Nie chatka z jedną izbą, a nowy, duży dom, prawie taki jak dom pana Dąbrowskiego. Na podmurówce. Już dawno go nie ma, roześmiał się Mikołaj. Nawet podmurówki. Żadnego śladu, że tam stał jakiś dom. Dlaczego nie ma, Mikołaj? Nie ma niczego, co było nasze. Nas tam nie ma, to po co komu nasz dom? Teraz Ukraina. Horochów to Gorochiw. Gminny Kisilin leży w rejonie łokaczynskim. Od czasów carskich albo i wcześniej tu żyli Polacy. I Ukraińcy. I Żydzi. I nawet Czesi. Teraz tylko Ukraińcy. Co niektórzy to nie Ukraińcy, ale do tego się nie przyznają. Teraz jest wielka Ukraina. Wszystko dookoła to Ukraina!... Oksana, żonka Mikuszki, przerobiła go na Ukraińca. Już miałem mu przypomnieć, że nasza matka była z Jungów. Prawda, jak umarł mój ojciec, a jego jeszcze nie było na świecie, w tym samym roku wyszła za Ukraińca. Jemu nigdy nie broniła chodzić do cerkwi. Jednej niedzieli sama szła do kościoła, drugiej z mężem do cerkwi.

– Stryj Mikołaj był młodszy od ojca, to i szybciej został Ukraińcem – wtrąciła mama, ale dziadek jakby tego nie usłyszał. A może nie chciał słyszeć.

– Wy, Lachy, nie potraficie pić! Tak Oksana do mnie. Mikołaj: he, he. Nie potrafimy? Ożeż ty! My nie potrafimy pić? Żeby kto inny tak powiedział... machnąłbym ręką, ale rodzony brat nie będzie mnie obrażał. Nalewaj! Mikołaj nalał po szklance tej samogonki, którą Oksana postawiła na stole. Wypiliśmy. Zakąsiliśmy słoniną i ogórkami. Nalewaj! Znowu wypiliśmy i zakąsiliśmy. Samogonka jak samogonka. Mocna, ale pić trzeba. O honor przecież idzie. No i co, Mikołaj, my, Lachy, nie potrafimy pić? Nie potraficie, on tak do mnie. Nalewaj! Nalał trzeci raz. Wypiłem do dna.

– Trzy szklanki samogonu jedna po drugiej.

– Trzy.

– Stryj Mikołaj też?

Dziadek długo nie odpowiadał na pytanie ojca. Uciekł wzrokiem na sufit, błędził po ścianach, zapalił jeszcze jednego papierosa.

– Mikołaj... – urwał, znowu uciekł wzrokiem na sufit, żeby w końcu powiedzieć to, czego się domyślał: – Jakby nie gadał, że my, Polacy... Po co on gadał?

– Miał słabe serce i nie wytrzymało takiej ilości alkoholu. – Nie wiadomo na jakiej podstawie stwierdziła babcia, zwieszając głowę na piersi, jakby czuła się winna, bo namówiła dziadka do tego wyjazdu.

– Jakby Mikołaj nie gadał...

Nigdy więcej dziadek nie przywoływał wspomnień z Jungówki ani nie opowiadał o swojej młodości, jakby ona przestała go interesować. Babcia też udawała, że to rozdział zamknięty w historii rodziny, chociaż czasem powtarzała, że nie ma nawet jednego człowieka na świecie, który nie pamięta o swojej przeszłości. Raz tylko, było to z dziesięć lat temu, kiedy mój ojciec kupił volkswagena, dziadek powiedział, że za wcześniej się urodził. Wtedy ojciec spytał, jak daleko z Jungówki do granicy w Uściugu i że teraz mogliby tam pojechać.

Dopiero po pogrzebie babci dziadek zaczął dopytywać się, czy każdego puszcza za Bug i czy potrzebna jest wiza.

– Takie czasy, że kogo stać, może lecieć samolotem nawet na koniec świata – odparł cierpkim tonem mój ojciec. – A co, czyżby ojciec miał zamiar odwiedzić swoje rodzinne strony?

Dziadek nie odpowiedział. Wieczorem przyszedł do naszej części domu, poprosił Majkę, żeby zaparzyła herbatę, na stole postawił butelkę oryginalnego Johnniego Walkera. Nie wyjaśnił, jak to jest w zwyczaju ludzi jego pokolenia, z jakiej okazji taki prezent, tylko kazał podać szklaneczki i je nalać.

- Smakuje jak samogon – powiedział bez zachwyty.
- Nie otrząsa – rzuciłem, stojąc w obronie whisky, chociaż nie przepadałem za mocnymi trunkami.
- Zawieziesz mnie na Wołyń? – spytał wprost i zanim przytaknąłem, plik dolarów położył obok butelki.
- To na benzynę i łapówki dla pograniczników. Powinno wystarczyć. Majka może z nami jechać. Nawet lepiej, bo jak ty zmęczysz się za kierownicą, ona poprowadzi auto.
- A co dziadka tak naszło, że właśnie teraz chce się wybrać na Ukrainę?
- Spojrzał na Majkę, ale powiedział do mnie:
- Dostałem list od Oksany. Napisała, że teraz, po śmierci Agnieszki, ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Prawie dwie doby stało nasze punto przed mostem granicznym z Zosina do Uściługa. My, łażąc po poboczu drogi, złorzeczyliśmy i klęliśmy najpierw w myślach, potem głośno. Nie tylko my. Takich, którzy chcieli zobaczyć strony rodzinne, było więcej. Pierwszego dnia przed północą, gdy kolejka samochodów nie posunęła się nawet o metr, zaproponowałem, żebyśmy pojechali do Dorohuska albo Hrebennego. Ktoś z kierowców tak samo zniecierpliwiony jak ja nie radził szukać szczęścia poza Zosinem, tym bardziej że po ukraińskiej stronie drogi jeszcze gorsze niż w Polsce i niewiele stacji benzynowych jest czynnych całą dobę.

– Trzeba jechać przez Uściług. Tędy najbliżej do Kisielina – powiedziała Majka, spełniając obowiązki pilotki. Odwróciła się do dziadka, jakby oczekiwała od niego aprobaty wniosku, do którego doszła, przypatrując się mapie, lecz on nawet nie wzruszył ramionami. Pewnie już był obecny myślami w domu Oksany i opowiadał jej, z jaką ciekawością jechał do krainy swego dzieciństwa. Może też przekonywał ją, że bezgraniczne przywiązanie do jakiejś zasłyszanej opinii czy miejsca jest nieszczęściem.

Dla mnie i Majki podróż na Wołyń była kolejną wycieczką podczas wakacji, taką samą jak wczasy w Chorwacji czy zwiedzanie zamków bawarskich. Dla dziadka ta wyprawa miała większe znaczenie niż zeszłoroczna pielgrzymka do Częstochowy. Wykonywał ostatni lot nad kołyską pamięci. Pomyślałem też, że to niebywałe przeżycie dla starego człowieka, który od pogrzebu babci nie potrafi uwolnić się od rozmyślenia o miejscu swego wiecznego spoczynku.

- Najpierw jedziemy do Jungówki czy prosto do Kisielina?
- Do Kisielina, do domu Oksanki – powiedział dziadek takim tonem, jakby już dawno zdecydował, gdzie się zatrzymamy. – Jungówki nie znajdziesz nawet na najbardziej dokładnej mapie.
- To jak tam trafimy?
- Jungówka, wnusiu, jest w mojej pamięci. Mnie ucieszy zapach ziemi. Może grusza została? Tam – dziadek wyciągnął prawą rękę – był dom Garczyńskiego. Też na podmurówce. Za nim domy Marelów, Antoniego i jego młodszego brata Bolesława. Sokołowskich też było dwóch. Po drugiej stronie drogi mieszkał Kozina i jego szwagier Walenty.
- Dziadek tak dokładnie pamięta?
- Choćby Rada Najwyższa Ukrainy uparła się, Jungówki stąd jej nie wymaże – pokazał ręką na swoją głowę.
- Nie po to jedziemy z jednego końca Polski na drugi i jeszcze dalej, żeby nie zobaczyć miejsca urodzenia dziadka i nie wziąć choćby garści ziemi do woreczka – przypomniała Majka, przymrużywszy powieki, jakby się zastanawiała, czy na pewno wzięła woreczek na ziemię.

Nie widziałem nikogo z ukraińskiej części rodziny, dlatego przed wyjazdem mój ojciec tłumaczył, że skoro stryj Mikołaj był bratem jego ojca, czyli mojego dziadka, to Oksana jest jego stryjenką. Jak wyglądał Mikołaj i czy był podobny do dziadka, ojciec nie wiedział. W naszym domu nie zachowało się nawet jedno zdjęcie zagranicznej rodziny.

– A kim jest dla mnie twoja stryjenka Oksana? – spytałem mojego ojca trochę niepotrzebnie.
– Jak to kim? Babcią stryjeczną.
– I tak mam się do niej zwracać? Babciu stryjeczna?
– Lepiej: kuzynko, stryjenko albo najlepiej: ciociu. Starsi ludzie na wschodzie lubią, jak młodszy tak się do nich odzywać. Tam są same ciocie i wujkowie.

Zatrzymałem fiata przed ostatnim domem na ulicy Korduby i tryumfalnie nacisnąłem na klakson obwieszczający koniec podróży. Staruszka w odświętnej chustce, wygięta w kabłąk, podpartszy się łaską, wysunęła głowę z cienia na ganku, jakby nie mogła doczekać się gości, chwilę mrużyła oczy i stała z otwartymi ustami, by wyprostować się i zawołać z nieukrywaną radością:

– Dziunio *prycha!*

Potem coś szybko mówiła po ukraińsku do dziadka, czego nie rozumiałem, pokazując na mnie otwierającego bagażnik okurzonego fiata, na Majkę wpatrzoną w ruiny pobliskiego kościoła, na nowy dom za drzewami w narożniku podwórza.

– Przyjechałem z wnusiem i jego żonką – pochwalił się dziadek, wyraźnie zadowolony. – Wnusio wdał się we mnie. Jest nauczycielem matematyki i zna się na komputerach. Majka skończyła bohemistykę na uniwersytecie. Uczy w szkole i zarabia na tłumaczeniach dla firm. O, im dobrze.

– Moim *toże choroszo* – zgasiła go Oksana łamaną polszczyzną, jakby chciała, abyśmy zrozumieli, co miała na myśli. – Teraz wszystkim młodym dobrze, Dziunio. A nam już źle. Im człowiek starszy, tym mu coraz trudniej. Mimo to nie powinniśmy narzekać. Najważniejsze, Dziunio, żeby naszym dzieciom i wnukom było dobrze. Jak im będzie dobrze, nam też będzie dobrze.

Na szczerbate schody wyszedł mężczyzna niewiele młodszy od Oksany, także przygięty do ziemi, wyciągając obie ręce w stronę dziadka, śmiejąc się i wołając niezrozumiale, udawał, że biegnie, szurając przy tym butami o wydeptaną dróżkę.

– Pawło, *mój synok* – powiedziała Oksana do mnie i Majki. – Dla was będzie wujek. I Julia, jego druga żonka. Pierwsza zmarła. A to mój wnuk Ołeksandr i jego kobietka Ludmyła. O, i są ich dzieciaczki – dodała, gdy na schody drugiego domu, nie drewnianego jak ten, przed którym staliśmy, lecz murowanego, wciśniętego w kąt podwórza, stanęli dwaj chłopcy.

– Jaki ten Pawło podobny do dziadka Władysława – szepnęła Majka. – Nawet tak samo się śmieje. A jak stawia nogi, to do środka.

– Bratanek dziadka – przypomniałem, nie widząc w jej spostrzeżeniu niczego zastanawiającego.

W pachnącym przeszłością domu Oksany, Pawła i Julii wszystko na nas czekało. To znaczy na długim stole przykrytym haftowanym obrusem stały butelki wódki i wina, obok nich półmisek z kiełbasą pokrojoną w plasterki, salaterki z kapustą, sałatką jarzynową, ogórkami kiszonymi, przed każdym krzesłem był talerzyk w ciapki, przy nim leżał pączek malwy. Jeszcze wpatrywaliśmy się w święte obrazki i fotografie na ścianie, a już Pawło wołał, żeby siadać do stołu, bo wódka się grzeje i jedzenie stygnie. Zerknąłem na dziadka, przypominając sobie jego opowieść o tym, jak w podobnym miejscu nie dał się pokonać swemu bratu Mikołajowi (może to był ten sam pokój?), ale on nie wyglądał na takiego, który o tamtym pamięta.

W sobotę przy śniadaniu stół niczym nie różnił się od tego, przy którym rodzina Oksany witała nas dzień wcześniej. Przy obiedzie miejsce kupnej wódki zajęły plastikowe butelki kryształowego płynu.

– Samogonka. Własnej roboty – pochwalił się Pawło, zanim dziadek spytał, z czego ten napitek. – Z pszenicy. Dwa razy filtrowana. Drugi raz przez skórę razowego chleba.

– Ile Pan Bóg dla mnie przeznaczył, tyle już wypilem – powiedział dziadek, odsuwając od siebie szklankę, na co mój rówieśnik Ołeksandr zareagował śmiechem.

Mimo to Pawło wyciągnął rękę po szklankę, która stała przed dziadkiem.

– Pawło. – Oksana pogroziła mu palcem.

– Matusia, gość w dom...

– Pawło, nie zmuszaj Dziunia. – Oksana wzięła dziadka w obronę, przytulając się niezwykle do jego ramienia, na co wszyscy zwrócili uwagę. – Najpierw niech młodzi wypiją, bo po trzeźwemu nie rozumieją tego, co mam szczerzy zamiar wyznać. I jak będziecie słuchali mojej spowiedzi, nie przerywajcie. Pokutę dawno mam za sobą.

– Matusia znow – powiedział Pawło do swojej żony.

Oksana zaczęła od przypomnienia, że urodziła się w Kisielinie w tym samym domu, w którym teraz siedzimy przy stole. Jej ojciec był nauczycielem w szkole powszechnej. Matka jak leśniczyna czy żona popa wychowywała dzieci. Nie sprzątała, nie prała, nawet nie gotowała. To należało do obowiązków służącej. Gdy Oksana skończyła szesnaście lat, a był już czwarty rok wojny, powinna wyjść za mąż. Najlepiej za nauczyciela, urzędnika, policjanta, w ostateczności za syna leśniczego, żeby jak jej matka nie musiała tyrać.

– I wtedy poszłam z koleżankami do parku na zabawę. Tam, na swoje nieszczęście, pierwszy raz zobaczyłam Dziunia. – Oksana przeniosła spojrzenie znad talerzyka na ścianę, chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy wypada powiedzieć nam, co było dalej.

– Dlaczego na swoje nieszczęście mama poznała Dziunia? – spytała Julia, żona Pawły.

Zamiast odpowiedzieć wprost, Oksana powtórzyła, że był czwarty rok wojny. Wtedy rozkwitła wiara w wielką i samodzielną Ukrainę. Ją widywano z Polakiem w parku, na jarmarku, na potańcówce, nawet w cerkwi i kościele. Ktoś ostrzegł ojca, że jeśli Oksana wyjdzie za mąż za Dziunia, tragicznie to może się skończyć dla całej rodziny. Najlepiej więc, żeby ojciec Oksany znalazł sposób na wybicie jej polskiego kawałka z głowy. Jeśli to okaże się niemożliwe, żeby dał łapówkę temu urzędnikowi, który wysyła zdrowych i silnych mężczyzn do Niemiec.

Na początku każdego miesiąca kisieliński policjant wywoził na komendę w Horochowie młodzieńców wyznaczonych na przymusowe roboty. Dziunia i jeszcze dwóch zawiózł pierwszego maja. Jak długo trwają te roboty, kiedy Dziunio wróci, tego Oksana nie wiedziała i nikt nie chciał jej powiedzieć. Płakała. Nie jadła. Nie spała. Myślała nawet, żeby uciec z domu do Niemiec i tak długo szukać Dziunia, aż go znajdzie.

– W czerwcu... – Oksana urwała, uśmiechnęła się do siebie, zerknęła na dziadka, a my byliśmy pewni, że za chwilę usłyszymy coś bardzo ważnego. Coś, o czym nigdy nie pomyśleliśmy. Żadne krzesło nie zatrzeszczało, nikt nie kichnął, nawet nie zganiał much, które spacerowały po stole między miskami. W tej wyczekującej ciszy było słychać jedynie tykanie zegara dochodzące z kuchni. – Jak ciebie, Dziunio, zabierali na te roboty do Niemiec... ja byłam drugi miesiąc w ciąży.

Dziadek się wyprostował, otworzył usta, jakby chciał o coś spytać, ale się nie odezwał.

– Pawło, synok, to twój prawdziwy otec. – Położyła głowę na ramieniu dziadka i tkwiła tak bardzo długo, a my, oniemiała, jeszcze nie wierząc w to, co usłyszeliśmy, patrzyliśmy, czy na pewno Pawło jest podobny do dziadka. – On twój synok, Dziunio.

Ołeksandr pierwszy otrząsnął się z zamyślenia:

– Tato wiedział? – spytał.

Pawło najpierw przytaknął, potem dodał, że domyślił się wtedy, kiedy umarł Mikołaj.

– Jak to wydało się, mój ojciec pojechał do Jungówki. Tam zażądał, żeby twój młodszy brat, Dziunio, Mikołaj, po naszymu Mykoła, ze mną się ożenił. – Ołeksandr chciał o coś spytać, lecz Oksana ruchem ręki nakazała mu milczenie. – To było jedno. Było też i drugie. Jak koń zabił ojca Dziunia, jego matkę Konstancję wydali za mąż za dużo starszego wdowca po sąsiedzku. Bogatego Ukraińca Marczuka. Dziunio i Mikołaj mieli tę samą matkę i dwóch różnych ojców.

– Nieprawdopodobna historia – stwierdziła Julia.

– Dlaczego mama przez tyle ukrywała prawdę? – Uderzywszy pięścią w stół, aż talerze rozedrgały się, spytał Pawło po ukraińsku.

– Mykoła też nie wiedział, że nie jest twoim ojcem, a kochał cię jak prawdziwy ojciec – odpowiedziała Oksana także po ukraińsku. – I Dziunio tego nie wiedział. Tylko ja wiedziałam, mój ojciec i moja matka, i matka Mykoły. Jeszcze jedno wam powiem.

– Kolejna sensacja – szepnęła Majka.

– Dobrze się stało, że pierwszego maja Dziunia wysłali na roboty do Niemiec. Gdyby jego tam nie wysłali, to dwa miesiące później upowcy by go zarezali, jak rezali Lachiw w Zagajach, Paluchnie, Lokaczochach, Zahorowie Nowym... Jego może by spalili w kościele w Kisielinie, co od jedenastego lipca czterdziestego trzeciego roku po dziś stoi jak pomnik. Ty, *synok* – uśmiechnęła się do Pawły – nie miałby ojca, a tak...

Oksana nie musiała kończyć. Domyślałem się, że w Niemczech dziadek poznał babcię Agnieszkę, tak samo jak on wywiezioną na roboty. Wrócił z nią do innej Polski, ożenił się, spłodził mojego ojca, a ponieważ przed wojną zaczął chodzić do gimnazjum w Horochowie, został kierownikiem szkoły w Zielonej Górze. Przed śmiercią babcia zażądała od dziadka, żeby pochował ją nie na cmentarzu Nowym w Zielonej Górze, gdzie są groby sąsiadów, lecz na cmentarzyku przykościelnym w Nieliszu koło Zamościa, bo każdy powinien czekać na Sąd Ostateczny tam, gdzie się urodził.

– Zielona Góra jest wasza. Wróćcie tam sami – nareszcie dziadek odezwał się do mnie i Majki.

– A dziadek...?

– Ja zostanę w Kisielinie, gdzie mój syn pierworodny, mój wnuk i prawnuki, moja... – podniósł mokre oczy na Oksanę, a ta zdjęła chustkę ze swojej głowy i próbowała je otrzeć. – I skąd najbliższej tam, gdzie się urodziłem. Do Jungówki.

Już chciałem zawołać, że mój dziadek oszalał, kiedy Majka powiedziała, że wyznaczył sobie taką pokutę.



Smutek sewastopolskich psów

Kiedy wreszcie przyjedziesz do Sewastopola,
Na dworcu przywitają cię psy,
Ich wyliniałą sierść przeczesuje
Wrześniowe światło palcami
Sennej melancholii.

Są porzuconymi wrzecionami czasu:
Nie popiskuje w nich żaden dźwięk,
Nie patrzy z nich żaden wzrok,
Nie czuje w nich żaden nerw.
Suchą ślinę jak spleśniały chleb
Kąsają.

Kiedy wreszcie przyjedziesz do Sewastopola,
Na dworcu przywitają cię psy,
Ich strzygące bezdomność uszy
Wskażą ci miejsce, gdzie leniwa wieczność
Kładzie się na drugi bok.

Ogrodnik

Od kiedy ciemność zapuściła korzenie
Zbyt głęboko, aby ją unicestwić,
Oddałem się pasji intrygowania.
Teraźniejszość zmusiła mnie do uprawy
Dwunastu gatunków grusz bergamotek,
O owocach jesiennych, cenionych w
Przetwórstwie. Skrzynki rozeszłego
Drewna leżą w sieni ze stertą objedzonych
Przez mole płaszczy. Wieczorem kruche,
Ciche, ledwie wyczuwalne kroki przypominają
Igliwie osypujące się w sosnowym lesie:
To na przestrzeni tysięcy lat skrada się
Kot Schopenhauer, jest kanalarzem,
Znajduje ujścia dla szaleństw rozumu.

Czule głaszczę go po zgrzybiałym grzbiecie, coraz bardziej
Świadomy
Kłęski swoich plonów.

Agnostyk

Niesie go jeszcze
Żdziebelko nihilizmu,
Formowanie się skorupy ziemskiej,
Pycha będąca brakiem sytości,
Angelologia problemów religijnych,
Które wiesz co wieczór nad łóżkiem
W kierunku ściany.

Niedługo minie dziesięć lat od jego
Śmierci, halucynogennych właściwości
Trującego grzyba, ze lśniącym kapeluszem
Rozpiętego w ogrodach sióstr Brontë.

Nieskończoność może się powiększać,
Obrzękłostołego w przestrzeni czeka tylko fatum,
Pobyt w miesiącach żałoby, jakby
Każdy dzień był wdowcem, wsiadającym
Do malutkiej łódki zapomnienia.

A przecież jest najmniej martwym:
Przypatrzcie się jego skroniom nad
Pustą już filizanką i zamkniętą książką,
Jak wznoszą się do lotu nad ginącym
Światem, miejscem mówiącym *ja*
Do wiatru nad piaskami.

Blatny

Beznadziejna brytyjska nuda, gęściejsza i smrodliwsza
Niż żabie flaki rozsiekane kosą na svratskich moczarach.
Wreszcie spakował się w kolejny wykręt, upchał piżamę,
Sweter w kratę i skórzane kapcie w warcząca walizkę.

Siedzi na metalowym taborecie, bezsilny i wyczerpany,
Wokół szpargały, szpargały, stosy szpargałów. Jak sobie
Z nimi ma poradzić ta siwa kreseczka, międlący kulkę
Powietrza gryzipiórek? Na papierowym oknie schną
Beczulki piwa, mazane tuszem.

Musi czekać na pojawiających się regularnie murzynów
W białych kitlach. Karmią go pastylkami, jak on niegdyś
Konia kostkami cukru. Na świeżo ściętych podprażańskich
Łakach wciąż bzyczy błonoskrzydłe niebo.

Jest frymuśny i obcy, pozbawiony emocji, znieczulony,
Można by pomyśleć typ quasi-psychotyczny. Czy czuje
Cokolwiek? Jakież doświadczenie ścisnęło krtań starczego gardła,
Że łyżką wydłubuje z ust kawałek szmaty, knebel?

Obcy

Coś w Albercie Camus rozlało się atramentem
Na mokrych, piaszczystych brzegach Algierii.

Doświadczenie poznania pustki, jeśli jest obiektywna,
Jeśli jest rzeczywista. Wbrew szumiącym falom materialnie
rozgniata piasek pod stopami.

On bez racji i wszechświat bez gwiazd migoczących
Bez końca. Obrzydliwe piękno harmonii spadających
Łun.

Patrzy na rozświetlony bungalow: płasy, chichy, wyuzdane gesty,
A za plecami czuje czerń Arabów, ich mokre plamy pod
pachami koszul.

Jest tutaj brakiem.

Co najwyżej wypełniają go pogrzebane
Podobizny wklęsłego odbicia, jakie ciało zostawia po sobie
Na piasku.

Makabreska

Mistrz kolarstwa szosowego Honza Dniczek
Co rano szusuje przez moją sypialnię skąpaną
W słońcu. Na ostatnim etapie pomylił trasy,
Więc teraz daremnie próbuje dogonić cienie
Szprych na ścianie.

Pod umywalką znajduje grupę chasydów
Wielkości orzecha włoskiego, przycinających
Sobie wzajemnie brody – żadnym sposobem
Nie umie im wytłumaczyć, że wojna
Dawno skończona.

W kuchni grupa taterników pod wodzą
Jerzego Kukuczki wdrapuje się na kredens:
Są tak pomysłowi, że brak szczytu dokleją
Taśmą pod sufitem, aby wreszcie zniknąć
Gdzieś w zaprawie gipsowej
Zaświata.

Za szafą słyszy wysiedleńców mandżurskich
Chrupiących rzodkiewki. Nie, z nimi to nawet
Nie próbuje się dogadać.

Jego ostatnia kobieta –
Zabarykowali się w niej tureccy imigranci –
Machnęła ręką z rezygnacją: *Nici z tego, szajbusku,*
Mam tyle własny bachorów na głowie, po co mi jeszcze
Ta banda?

Postanowił wytępić natarczywą konkurencję,
Więc udał się do sklepu z szyldem „Niszczy szkodnika”,
Lecz sprzedawca postukał tylko
Paluchem o ladę, oznajmiając,
Że nie ma żadnych zabójczych środków na to, czego
Nie widać.

Sąsiadka, której zwierzył się ze swoich kłopotów,
Pokręciła głową: *Po co*
Się przejmować takim draństwem, lepsze to niż
Karaluchy czy pająki krzyżaki. Zanim udusił
Staruchę na klatce schodowej, w duszy

Przyznał jej rację.

Regionalizm jako humanistyczna awangarda

Z prof. Małgorzatą Mikołajczak, kierowniczką Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną o regionalistycznej antologii, nowym regionalizmie i literaturze lubuskiej rozmawia Mirosława Szott

Mirosława Szott: Rozpocznę może niezręcznym pytaniem (ale słyszę je często, więc może jest zasadne): czy istnieje literatura lubuska?

Małgorzata Mikołajczak: To rzeczywiście kłopotliwe pytanie, gdyż odpowiedź wcale nie jest oczywista – z dwóch powodów. Pierwszy wiąże się z tym, że nie do końca wiadomo, jak w tym wypadku



Małgorzata Mikołajczak

rozumieć „lubuskość”: czy literatura lubuska to taka literatura, która powstaje na obszarze nazywanym Ziemią Lubuską (przy czym należy pamiętać, że zasięg terytorialny Ziemi Lubuskiej nie jest jednoznacznie określony i w przeszłości zmieniał się wraz ze zmianami administracyjnymi, a zatem pojęcie to nie ma jednoznacznego desygnatu), czy jest to raczej twórczość uprawiana przez autorów związanych z regionem (to rozumienie z kolei komplikuje fakt, że ów związek można interpretować na kilka sposobów, biorąc pod uwagę miejsce urodzenia, zamieszkania bądź jako miejsce dłuższego/krótszego pobytu)? Ważniejszy wydaje się jednak drugi, związany z tym, powód. Jeśli bowiem podstawowym wyróżnikiem literatury lubuskiej jest parametr spacialny (prze-strzenny) i trudno wskazać cechy charakterystyczne tej twórczości (przede wszystkim z tego względu, że nie ma tu – jak to się dzieje w wypadku tradycyjnych regionów – kształtowanej przez lata wspólnoty historycznej, kulturowej etc.), to czy jest sens wyróżniania jej jako odrębnego zjawiska? A jednak mówimy o literaturze lubuskiej i istnieje cały szereg zjawisk literackich, które pozwalają się opisywać za pomocą regionalnej sygnatury. Dodatkowym argumentem jest tu dotychczasowa praktyka krytycznoliteracka i literaturoznawcza. Dość wspomnieć liczne prace Andrzeja K. Waśkiewicza, zaopatrzone epitetami „lubuska”, „lubuskie”. Niedawno zresztą w serii uruchomionej przez Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną („Historia Literatury Pogranicza”, t. 4) wydana została książka zbierająca teksty Waśkiewicza zatytułowana *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*. W przeszłości było też wiele innych inicjatyw tego typu, które ugruntowały w świadomości czytelników zbitkę pojęciową „literatura lubuska” i myślę, że dziś – choć z wielu, również niewymienionych tu względów, nie jest to nazwa fortunna – trudno byłoby z niej zrezygnować czy też zastąpić ją jakimś innym określeniem.

Niedawno ukazała się książka *Regionalizm literacki w Polsce – zarys historyczny i wybór źródeł* pod redakcją Pani Profesor i profesora Zbigniewa Chojnowskiego. Poza obszerną częścią historyczną prezentuje ona też wybór

źródeł. Skąd pomysł na odkurzenie częściowo zapomnianych wypowiedzi np. Bronisława Chlebowskiego, Stefana Żeromskiego czy Aleksandra Patkowskiego?

Pomysł opracowania antologii tekstów regionalistycznych pojawił się już we wstępnej fazie przygotowywania międzyuczelnianego projektu badań noworegionalnych, który od roku 2013 realizujemy w zespole literaturoznawców z ośrodków akademickich w całej Polsce w ramach grantu przyznanego przez Narodowe Centrum Nauki. W założeniu pomysłodawczyni antologii, prof. Elżbiety Rybickiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego, miało to być przekrojowe ujęcie, uwzględniające dzieje polskiego regionalizmu od momentu pojawienia się pierwszych wypowiedzi na temat specyfiki literatury regionalnej po dzień dzisiejszy. W trakcie pracy nad książką, którą podjęliśmy wspólnie z prof. Zbigniewem Chojnowskim z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, okazało się jednak, że współcześnie mamy niezwykle „urodzaj” tekstów poświęconych literaturze regionalnej, pisanych z całkiem nowej perspektywy i że chcąc pokazać historyczny rozwój idei, musimy się ograniczyć i zamknąć całość wcześniejszą cezurą. Nasz wybór obejmuje zatem wypowiedzi na temat polskiej literatury regionalnej, powstające od końca XIX do początku XXI wieku. Są tu zarówno teksty naukowe, jak i artykuły o charakterze publicystycznym, zróżnicowane pod względem treściowym i formalnym, bardzo ciekawe i w większości nieznane współczesnemu czytelnikowi. Owe „źródła”, połączone wspólnym tematem „literatury regionalnej”, pokazują, jak kształtowało się i zmieniało na przestrzeni lat myślenie na temat tej literatury, ale też uzmysławiają, że wiele towarzyszących jej przez lata problemów pozostaje dzisiaj aktualnych. Z tego względu antologię można dziś czytać jako wzbogacający się przez lata o coraz to nowe głosy polilog, w którym powracają pewne stałe wątki i problemy. Myślę, że ta książka – pierwsza i jak dotąd jedyna antologia tego typu – to pozycja bardzo dziś potrzebna, przypomina bowiem ważne, często zapomniane głosy dotyczące literatury regionalnej, a także toczące się wokół niej dyskusje, a ponadto pokazuje nie tylko słabo znaną

historię literackiego regionalizmu w Polsce, ale też trwałość pewnych związanych z nim kwestii. Dzięki tej lekturze będzie dziś można w nowym świetle spojrzeć na problemy współczesnej literackiej regionalistyki.

Przez wiele lat zajmowała się Pani kwestiami poetyki, interpretacji, antropologii literatury. Znała jest Pani jako badaczka twórczości Zbigniewa Herberta. Dopiero później zainteresowała się Pani literaturą lokalną oraz teoretyczną stroną badań regionalistycznych (w 2010 r. powstała z Pani inicjatywy Pracownia Badań nad Literaturą Regionalną). Czy czuje się Pani nieraz ograniczana regionalizmami, zamknięta w ich kręgu? Nie brakuje Pani Herberta?

To pytanie przypomina ostrzegawcze głosy koleżanek i kolegów literaturoznawców, którzy parę lat temu, gdy powoływałam Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną, odradzali mi zajmowanie się regionalizmem, przywołując m.in. ten argument, przy czym formułowali go nieco dosadniej: jak można zajmować się drugorzędną literaturą regionalną, jeśli wcześniej badało się twórczość wyznaczającą najwyższe literackie standardy, tj. poezję Zbigniewa Herberta? Niektórzy z nich wręcz stwierdzali, że badanie literatury regionalnej to strata czasu. A jednak regionalizm okazał się niezwykle ciekawą przygodą intelektualną i dziś, kiedy wracam do Herberta – a przygotowuję właśnie edycję jego wierszy wybranych dla Biblioteki Narodowej – wcale nie jest mi łatwo oderwać się od zagadnień regionalistycznych i zawrócić z gęszcza otwierających się tu pasjonujących ścieżek badawczych. Poznawanie literatury regionalnej wymaga przede wszystkim całkiem innej perspektywy badawczej niżeli interpretacja poezji i o ile w wypadku autora *Pana Cogito* metoda nie wydaje się aż tak istotna, bo żadna nie oferuje skutecznego klucza do „sowich zagadek” poety, o tyle twórczość regionalna właśnie w świetle metody staje się interesująca. A myślę tu przede wszystkim o nowych orientacjach badawczych, zrodzonych w kręgu kulturowej teorii literatury, głównie o geopoetyce, badaniach postzależnościowych, o *memory studies*,

bioregionalizmie... Twórczość regionalna, czytana z perspektywy tych nowych kierunków, okazuje się niezwykle ciekawym zjawiskiem – z jednej strony elementem sieci, jak to określa Bruno Latour, pozwalającym zrozumieć różne kulturowo-społeczne czy kulturowo-polityczne mechanizmy; z drugiej – zapisem nieznanych opowieści, mikrohistorii, które oferuje inną/alternatywną wobec oficjalnej wersję historii. A wracając do Herberta, to jest również tak, że znajomość jego twórczości bardzo pomaga w badaniu literatury regionalnej, m.in. pozwala zachować właściwą miarę i proporcję, nie ulec presji tzw. lokalnego patriotyzmu, z którego kpił znany wrocławski prozaik i krytyk literacki, Zbigniew Kubikowski, pisząc, że „Regionalni pisarze mają nawet pomniki i stoją na nich brązowi i monumentalni, niedobrzy, ale regionalni. Bo twórczość regionalna jest Poświęceniem i Służbą. Bo ambicją regionu jest mieć swoją literaturę regionalną”. Cały tekst, z którego pochodzi cytowana wypowiedź, nie jest jednak tak ironiczny – można go przeczytać w wyżej wspomnianej regionalistycznej antologii.

Czy jest możliwa komparatystyka regionalistyczna? A może jest tak, że każdy z regionalistów mówi swoim językiem (kodem) i płaszczyzna porównania jest nieosiągalna?

Komparatystyka regionalistyczna to na dziś niezrealizowany postulat badań noworegionalnych. Myślę jednak, że właśnie na gruncie tych badań rodzą się podstawy pod taką dziedzinę. Współcześni regionaliści mówią nie tyle własnym językiem, co o własnej, tj. uprawianej w regionie, z którego pochodzą, twórczości – a to pewna różnica. Wspólny język współcześnie prowadzonym badaniom nad literaturą regionalną zapewniają wspomniane wyżej metodologie, gdyż to one oferują badawcze instrumentarium (języki opisu, słownik pojęciowy etc.). I przypuszczam, że już na tym etapie prowadzonych przez nas badań można proponować wstępne analizy porównawcze dotyczące np. regionalnych narracji założycielskich, geografii imaginatywnych, motywów itp. Myślę, że komparatystyka to naturalna droga rozwojowa badań regionalnych, przy

czyż najbliższa byłaby tu koncepcja komparatystyki rozumianej za Sigbertem Prawerem, jako *placing*, czyli zderzanie odmiennych kulturowych geografii oraz ich wzajemne naświetlanie. Taką komparatystykę postulowała już na początku badań noworegionalnych Elżbieta Rybicka, a proponowane przez nią ujęcie nie tyle odsłania miejsca wspólne, co uwyraźnia różnice, pokazuje zachodzące na siebie, ale też rozbieżne interakcje między regionalnymi narracjami. Regionalizm, który już sam w sobie stanowi „projekt różnicujący”, „oparty na logice dyferencjacji, wskazującej na wewnętrzne odmienności pozornie, bo odgórnie i centralistycznie zunifikowanej narodowej wspólnoty i literatury”, jak pisze o nim Rybicka, wpisuje się zatem w model uprawiania współczesnej komparatystyki, który nawołuje do śledzenia różnic i niewspółmierności.

Regionalizm jako „projekt różnicujący” już z samej definicji zakłada, że każdy region jest inny, ma inne uwarunkowania geograficzno-przyrodnicze, inną historię, tradycję, kulturę. Czym wyróżnia się region lubuski? Czy uprawiany tu regionalizm różni się od innych regionalizmów?

Region lubuski jest specyficzny, przede wszystkim z tego względu, że jest regionem stosunkowo młodym, został utworzony dopiero po roku 1945 i nie ma wcześniejszych tradycji. Pierwsza społeczność lubuska to ludzie, którzy przybyli tu z różnych stron Polski, w dużej części ze Wschodu; przywieźli na te tereny swoją kulturę, własne obyczaje i tradycje – lubuski pisarz Zygmunt Trziszka pisał o nich, że stali się tu jak jedna rodzina, ale było to myślenie życzeniowe. Pierwszym powojennym latom nierzadko towarzyszyły napięcia i konflikty; wielu przybyszów przez długi czas nie potrafiło się tu zaaklimatyzować, część z nich aż do lat 70. „siedziała na walizkach”, licząc na to, że zmieni się wiatr historii i powrócą do pozostawionych domów. Jednak był w tym również element przygody. Popularne swego czasu określenie tych ziem – „polski dziki zachód”, które w tytule niedawno wydanej książki, bardzo ciekawie opowiadającej o pierwszych powojennych latach na

Środkowym Nadodrzu przywołuje Beata Halicka, ma podwójne znaczenie: z jednej strony akcentuje właśnie ową „dzikość” (nieporządek, chaos, niepewność panującą wśród przesiedleńców), z drugiej – współbrzmi z konwencją westernową i apeluje do narracji przygodowo-awanturkowej, przy udziale której tworzone mit zdobywców nowych terenów. Sporo już na ten temat napisano, dlatego nie rozwijając tego wątku, wspomnę tylko o tym, że uprawiany tu regionalizm – podobnie jak regionalizm uprawiany na całym obszarze tzw. Ziemi Odzyskanych zdecydowanie różnił się od tradycyjnych polskich regionalizmów. Sytuacja tzw. neoregionów, jak przez pewien czas nazywano tereny przyłączone do Polski po wojnie, była w dużym stopniu uzależniona od decyzji władz centralnych i kolejnych zmian administracyjnych, a ich status do dziś, na co warto zwrócić uwagę, pozostaje wątpliwy i nieustabilizowany. Znamienne, że niekiedy traktuje się te obszary jako „jeden region o wielu cechach wspólnych” i stąd na określenie powstającej tu literatury używa się (i używało w przeszłości) wspólnych pojęć, takich jak „literatura Ziemi Odzyskanych/ tzw. Ziemi Odzyskanych”, „literatura Ziemi Północnych i Zachodnich” czy literatura polsko-niemieckiego pogranicza, a w ostatnim czasie ciekawą propozycję terminologiczną zgłosiła Joanna Szydłowska, proponując nazwę „narracje pojałtańskiego Okcydentu”. Na charakter powstającej tu po wojnie literatury (a warto pamiętać, że na Ziemi Lubuskiej zaczęła ona powstawać stosunkowo późno, bo dopiero od połowy lat 50.), oddziaływały w dużym stopniu zobowiązania polityczno-społeczne. Uprawiana tu twórczość miała utwierdzać polskość nowo przyłączonych obszarów, choć oczywiście istniała też pewna swoboda ekspresji, a przebywający tu pisarze nie tylko „z obowiązku”, ale też „z potrzeby serca”, w sposób niejako naturalny zapisywali doświadczenie czasu i miejsca, w jakim się znaleźli. Czesław Miłosz swego czasu apelował, by literatura odpowiedziała na to jedyne w swoim rodzaju doświadczenie wielkiej migracji, ale wydaje się, że dopiero dzisiaj, dzięki odtabuiwowaniu pamięci, a także za sprawą pewnego dystansu, który mamy do tamtych wydarzeń, można o tym pisać. To bardzo interesujące tematy.

Czy chciałaby Pani coś zmienić w sposobie uprawiania badań regionalistycznych? Czy powinny one być bardziej otwarte, wyjść poza mury uczelni? Czy może przeciwnie?

Niewątpliwie marzeniem każdego badacza, nie tylko literaturoznawcy, jest, by jego badania wyszły poza wąski obszar akademickiej recepcji. W przypadku badań regionalnych to przekroczenie ma szczególne znaczenie, gdyż mamy tu do czynienia z wiedzą w pewnym sensie praktyczną – przydatną i potrzebną społecznie. Badania tego typu wzbogacają region, zarówno w jego wymiarze geograficznym, jak i kulturowo-społecznym, np. w ten sposób, że przyczyniają się do gromadzenia i powstawania wiedzy na temat regionalnej przeszłości czy też do integracji społeczności regionalnej. Mogą też uczestniczyć w wytwarzaniu przestrzeni kulturowej regionu, w konstruowaniu jego kapitału kulturowego, aktywizowaniu konkretnych działań kulturalnych, budowaniu tożsamości regionalnej. Podobne oczekiwania wpisane są nie tylko w badania nad literaturą regionalną. Zgodnie z formułą Regional Science, zaprojektowaną przez Waltera Isarda, wiedza regionalna stanowi naukę stosowaną, zaangażowaną w sferę praxis i nastawioną – pisze o tym Zbyszko Chojnicki – na „wyjaśnianie, rozumienie, diagnozowanie, prognozowanie, podejmowanie decyzji w zakresie polityki społecznej, gospodarczej i ekologicznej”. Z pewnością region wiele by zyskał na wprowadzeniu do szkół czy też kulturalnych instytucji (np. do mediów lokalnych) wiedzy z zakresu literatury regionalnej, przy czym zakładam, że korzyści byłyby tu obopólne, bo każde wyjście poza uczelnię, „w region” mogłoby otwierać nowe perspektywy, nowe możliwości badawcze.

Wiele osób do tej pory kojarzy badania regionalistyczne z folklorem i małymi ojczyznami. Jak przeciętnemu czytelnikowi najprościej wytłumaczyć różnicę między starym i nowym regionalizmem?

Folklor i małe ojczyzny to istotna część regionalizmu, na oba te zjawiska patrzemy dziś jednak

inaczej niż jeszcze parę lat temu. W Polsce Ludowej obowiązywało przekonanie o jednorodności etniczno-kulturowej Polski, dlatego zjawiska regionalne promowano jako przejaw polskiej tradycji ludowej. Publicznie eksponowaną formą regionalizmu był tradycyjny folklor, reprezentowany przez zespoły ludowe, takie jak „Śląsk” czy „Mazowsze”, popularyzowany przez „Cepelię” i łowickie wycinanki, który promował regionalizm folklorystyczny jako element oficjalnej kultury masowej PRL-u. Profesor Andrzej Zawada zwraca uwagę na to, że tak traktowany folklor tracił m.in. swoją funkcję obrzędową czy magiczną, przestawał być folklorem, a stawał się jego imitacją, folkloryzmem. Literaturę regionalną, która była utożsamiana z tym nurtem, traktowano jako endemiczny obszar tradycji ludowej, ostoję myślenia tradycyjnego i część folklorystycznego skansenu, jako relikwiny będący przedmiotem zainteresowania etnografów i dialektologów. Natomiast małe ojczyzny to późniejsza przygoda literatury regionalnej, która – patrząc z dzisiejszej perspektywy – też nie przysłużyła się regionalizmowi. Nurt małoobjętny oskarżano o eskapizm, o nostalgiczne sięganie do przeszłości, „intelektualną łatwinę”, brak „przepracowania problemu”, minimalizm poznawczy i artystyczny, powtarzanie tych samych chwytów i schematyzm – takie zarzuty formułował m.in. Robert Ostaszewski w głośnym artykule znacząco zatytułowanym *Hodowcy lokalnych korzeni*. Różnicę między starym i nowym regionalizmem można by wyjaśnić, pokazując dystans, z jakim współcześni badacze regionalni odnoszą się do obu tych koncepcji, przy czym nie chodzi bynajmniej o ich deprecjonowanie, ale o próbę opisu i wyjaśnienia fenomenów tego typu.

Mówi się obecnie o dwóch głównych gałęziach badań noworegionalnych – w skrócie: jedna nawiązuje do praktyk Kennetha White’a i wiąże się z geopoetyką, a druga – do prac Edwarda Saïda i odwołuje się do takich kategorii jak postzależność, polityka miejsca itd. Czy współcześnie pojawia się coś jeszcze, co mogłoby zmienić to binarne myślenie?

Wszystkie tego rodzaju binarne uporządkowania noszą w sobie piętno uproszczeń, choć rzeczywiście jest tak, że we współczesnych badaniach regionalnych najbardziej wyraziście rysują się te dwie opcje: z jednej strony pytania o związek człowieka z przestrzenią, o „aurę miejsca”, poetyckie zamieszkiwanie i związany z tym aspekt przyrodniczy, ekologiczny, z drugiej – o uwarunkowania społeczne, historyczne, polityczne miejsca, kojarzone z tzw. polityką miejsca. Obok nich pojawia się jednak w ramach badań regionalistycznych dużo innych ciekawych propozycji. Jedną z takich propozycji są – mające już długą tradycję – badania z kręgu *memory studies*, dotyczące mechanizmów pamięci, postpamięci i miejsc pamięci, tabuizacji, zapominania, polityki pamięci czy też biopamięci, czyli pamięci zapisanej w nazwach roślin – podczas ostatniej konferencji noworegionalnej ciekawy referat na ten temat przedstawiła Elżbieta Rybicka. Są też inne interesujące możliwości badawcze, np. bioregionalizm czy autobiografizm wraz z inspirującą kategorią miejsc autobiograficznych, zaproponowaną przez prof. Małgorzatę Czermińską. A pozostając w kręgu badań spod znaku zwrotu topograficznego, można by wskazać różne możliwości badania przestrzennych aspektów regionu, np. jego geografii wyobrażonej, w ramach której można analizować krajobrazy kulturowe, motywy i mity spacialne czy też „literackie figury przestrzeni”. Można wreszcie pójść w kierunku badania relacji „swój – obcy” i związanych z tym zagadnień z zakresu etnopoetyki czy też zwrócić się ku badaniom transkulturowym/transgranicznym.

Nowoczesne badania regionalistyczne uruchamiają różne odczytania literatury, korzystają z wielu XX-wiecznych teorii. Panuje tu dosyć duża dowolność. We wstępie *Regionalizmu literackiego w Polsce* pisze Pani, że o regionalizmach należałoby mówić cały czas jako o zjawisku niegotowym. Jak to rozumieć? Czy przedmiot badań nadąża za metodologią?

Jest dokładnie odwrotnie! To metodologia nie nadąża za przedmiotem badań. Regionalizm wciąż wymyka się porządkującym, naukowym ujęciom.

Okazuje się pod tym względem absolutnie niezdiscyplinowany. Jest z jednej strony bardzo różnorodny, ma wiele rodzajów i odmian, wiele różnych „oblicz”, by sięgnąć po określenie Jacka Kolbuszewskiego, który pisał o „obliczach literackiego regionalizmu”, przy czym nieustannie zmienia się i przeobraża w relacji do zmieniającej się historii i polityki, a także przemian ekonomicznych, kulturowych i społecznych. Z drugiej strony regionalizm jest zjawiskiem szerokim, nie dającym się objąć za pomocą perspektywy oferowanej przez jedną dyscyplinę badawczą. Także literaturoznawstwo pozostaje wobec regionalizmu w pewnym sensie bezradne, sytuuje on bowiem twórczość pisarską w szerokich kontekstach i wobec różnorodnych zagadnień z zakresu sztuki, edukacji, administracji, polityki, ekonomii, gospodarki, handlu. Dlatego literackie badania regionalistyczne wymagają wyjścia poza obszar „czystej literatury”, potrzebne są tu ujęcia metodologiczne obejmujące różne dziedziny badawcze, „inter-” i „transdyscyplinarność” oraz podejście polimetodologiczne. Sądzę jednak, że dzisiaj znajdujemy się jako badacze literatury regionalnej w sytuacji lepszej niż kiedykolwiek wcześniej, gdyż metodologiczna nieokreśloność, która cechuje literacką refleksję regionalistyczną, przestaje być balastem i okazuje się modelowa dla współczesnego literaturoznawstwa, doświadczanego kryzysem wzorców uprawiania nauki. Dlatego propozycje płynące ze strony nowych orientacji, które pojawiają się w nauce o literaturze oraz – szerzej patrząc – w naukach humanistycznych, a myślę tu przede wszystkim o kulturowej teorii literatury i tzw. nowej humanistyce, są również odpowiedzią na ów permanentny kryzys regionalistyki. A odwracając perspektywę, można by powiedzieć, że w świetle nowej humanistyki badania regionalistyczne, przez wiele lat sytuowane na marginesie i w ogonie nauk, zjawiają się niczym humanistyczna awangarda, pośredniczą bowiem między tym, co lokalne i globalne, instytucjonalne i prywatne, badawczo-opisowe i performatywne; integrują różne obszary dyscyplinowe i otwierają się na szerokie konteksty kulturowo-społeczne; a wreszcie stanowią rodzaj wiedzy usytuowanej i afirmatywnej, zasilanej przez regionalistyczny witalizm, o którym pisała niegdyś Stefania Skwarczyńska.

Czy warto byłoby uściślić współpracę uniwersytetów i szkół po kątem badań regionalnych? W jakim kierunku mogłoby to pójść?

Z pewnością warto. Myślę, że przyniosłoby to wiele pożytków, o niektórych z nich była już mowa. Tu trzeba jeszcze dodać, że współpraca tego typu mogłaby się przyczynić nie tylko do lepszego poznania regionu, jego geografii, kultury, historii etc., ale też do zgłębienia swoich korzeni czy rodzinnych historii. Pamiętam, ile satysfakcji dawało studentom, piszącym prace magisterskie i licencjackie na temat literatury lubuskiej, odkrywanie „nieznanego kraju”, który znajduje się na wyciągnięcie ręki. Niektórzy z nich dopiero zajmując się literaturą osadniczą, zaczęli odkrywać i poznawać historie swoich dziadków – przesiedleńców, to może być naprawdę fascynująca przygoda. Idealnie by było, gdyby w szkołach odbywały się osobne lekcje dotyczące historii, kultury (w tym literatury) regionalnej, gdyby uczniowie byli włączani w projekty badawcze pozwalające lepiej poznać i zrozumieć region – przy czym nie chodzi o jakieś wielkie odkrycia czy specjalistyczne badania naukowe, ale np. o prace dokumentacyjne, pozwalające zrekonstruować lubuskie mikrohistorie; o wyprawy krajoznawcze, które mogłyby owocować ciekawymi obserwacjami na temat lokalnej geografii, przyrody, historii... Z pewnością współpraca na tym polu uniwersytetu i szkoły mogłaby przynieść bardzo dobre owoce, może też przyczyniłaby się do silniejszego związania młodych ludzi z Ziemią Lubuską, dziś bowiem marzeniem wielu z nich jest, by stąd wyjechać do większych, atrakcyjniejszych ich zdaniem, ośrodków.

Czy dzisiejszy świat potrzebuje regionów?

Jak najbardziej. Zachodzące współcześnie przemiany relacji czasoprzestrzennych i form doświadczania rzeczywistości, usieciowienie, procesy globalizacyjne, rozpad tradycyjnych struktur społecznych i reorganizacja relacji społecznych, które wcześniej

oparte były w znacznej mierze na przynależności lokalnej czy przestrzennej – te oraz inne procesy i czynniki sprawiają, że region pełni dzisiaj dodatkowe funkcje, ale też staje się na nowo potrzebny w sytuacji odczuwanego powszechnie zagrożenia, braku stabilizacji. Dzisiejszy świat na pewno potrzebuje poczucia bezpieczeństwa i region może stanowić dlań taką bezpieczną enklawę, przy czym w postawie eskapizmu zawiera się pewne niebezpieczeństwo. Amerykański literaturoznawca, Roberto M. Dainotto w książce zatytułowanej *Place In Literature. Region. Culture. Communities* stawia niepokojącą diagnozę, interpretując regionalizm jako próbę wskrzeszenia kilku szczególnych nacjonalistycznych ideałów. Jego zdaniem regionalizm tylko na pierwszy rzut oka ma wiele cech wspólnych z dyskursem postkolonialnym i multikulturowym i tylko pozornie przejawia „ten sam opór przeciwko nacjonalizmowi, totalitaryzmowi, hegemonii, to samo nakłanianie do przepisywania map i kreowania »literatury zdecentralizowanej«, w rzeczywistości bowiem w swoim waloryzowaniu etnicznej czystości sięga po ten sam język, te same nacjonalistyczne pragnienia, „zarazem dziecinne i groźne”, jak je nazywa Dainotto, czystości i autentyczności. Między innymi z powodu tych pragnień przedwojenny niemiecki regionalizm został wykorzystany politycznie („literatura krwi i ziemi” stała się jedną z inspiracji ideologii faszystowskiej) i po roku 1945 nie cieszył się dobrą sławą. Warto o tym pamiętać, mimo że w warunkach polskich nie grozi nam, jak myślę, nawet w obecnej sytuacji kryzysu migracyjnego, takie regionalne zamknięcie. Warto także pamiętać o podatności idei regionalistycznej na różnego typu zinstrumentalizowanie. Towarzyszący tej idei „zapęd realizacyjny”, o którym pisała swego czasu Stefania Skwarczyńska w pierwszym studium poświęconym polskiemu regionalizmowi (*Regionalizm a główne kierunki teorii literatury*), można łątwo wykorzystać, ale można go też spożytkować w dobrych celach i najczęściej tak właśnie się dzieje.

Dziękuję za rozmowę.

Franciszek Stroiński

Jubileusz pisarzy – Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza

W piątek wieczorem, 25 listopada 2016 r., w dostojnych murach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, wśród dzieł sztuki, wręczono Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze oraz Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” – fundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry „Winnica”.

Jednocześnie piątkowy wieczór był uroczystością z okazji 55-lecia oddziału ZLP w Winnym Grodzie. W sali witrażowej pojawił się Janusz Koniusz, jeden z sześciu „ojców założycieli”, obecnie najstarszy członek oddziału Związku. Oddział ZLP trwa „na posterunku” już 55 lat i tworzy – w sposób zapewne niezauważalny dla większości mieszkańców regionu i Zielonej Góry – historię tego obszaru. Pisarze, poeci,



Na zdjęciu laureaci Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza: (od prawej) Krzysztof Jeleń, Mirosława Szott, Robert Rudiak, w towarzystwie prowadzącego jubileusz Eugeniusza Kurzawy.

krytycy piszą i wydają książki, które tutaj zostaną na zawsze, bo tworzą i zarazem opisują lokalną rzeczywistość. Mimo niewielkiego dziś szacunku dla słowa pisanego, gdzieś w bibliotekach, archiwach te prace przetrwają. To nasz wkład w rozwój regionu lubuskiego – powiedział prezes oddziału Eugeniusz Kurzawa, prowadzący nie tylko tę uroczystość, ale również organizator – wraz ze swoją żoną Lidią i córką Aleksandrą – dorocznych spotkań w Ogrodzie Sztuk w Wilkanowie pod Zieloną Górą, w tym Andrzejków Waśkiewiczowskich, które odbyły się następnego dnia (w sobotę, 26 listopada 2016). Były one oczywiście poświęcone Andrzejowi K. Waśkiewiczowi – wybitnemu polskiemu poecie, krytykowi, edytorowi, literaturoznawcy, który od 1946 r. związany był z Ziemią Lubuską; zmarł w Gdańsku w 2012 r. Na pewno był wielkim twórcą, najwybitniejszym dotąd pisarzem Ziemi Lubuskiej. Od 1967 r. należał również do oddziału lubuskiego ZLP.

Wspomniane Andrzejki Waśkiewiczowskie, odbywające się corocznie od śmierci poety, to rodzaj prywatnych seminariów literackich z referatami naukowymi, ale też ze wspominkami o twórcy wybitnym i jego związkach z Ziemią Lubuską, jego refleksji o życiu, przyjaźni i literaturze. W 2016 r. poświęcone były najnowszej książce krytycznoliterackiej Waśkiewicza, przygotowanej do druku przez Eugeniusza Kurzawę pt. *O literaturze lubuskiej (szkice, recenzje i inne teksty)*. Rzecz złożona jest z materiałów napisanych przez A. K. Waśkiewicza, które ukazały się w różnych tytułach krajowych i regionalnych, ale głównie w zielonogórskim „Nadodrze”, „Gazecie Chłopskiej”, „Gazecie Zielonogórskiej”. Mowa w nich o jego – czasem starszych, rzadziej młodszych – kolegach po piórze, których drogę literacką obserwował: Papuszy, Zdzisławie Morawskim, Czesławie Sobkowiaku, Eugeniuszu Wachowiaku, Januszu Koniuszu, Zygmuncie Trziszce, Michale Kaziowie, Eugeniuszu Kurzawie, żeby przytoczyć najczęściej powtarzające się nazwiska. Istotną wartością tej pozycji są przedruki licznych wywiadów przeprowadzonych w prasie z A. K. Waśkiewiczem. Inny walor stanowią wiersze, zwykle młodszych twórców, dedykowane A.K.W. Oczywiście cała zawartość książki dotyczy Ziemi Lubuskiej, z którą pisarz był związany przez

33 lata (tyle samo co później z Gdańskiem), została bowiem sfinansowana przez samorząd miejski Zielonej Góry.

Warto tylko uzupełnić, iż publikację otwierają przedruki krajowych debiutów literackich Andrzeja K. Waśkiewicza: poetycki na łamach „Zarzewia” w 1961 r. i krytycznoliteracki na łamach „Współczesności” w 1962 r. Pisarz miał wtedy odpowiednio 20 i 21 lat. Tak wcześniej pokazał swój talent. Jego książka *O literaturze lubuskiej (szkice, recenzje i inne teksty)* została w czasie jubileuszowej uroczystości rozprawiona jako gratisowy prezent dla wszystkich uczestników, którzy byli nią zainteresowani.

Wracając zaś do wspomnianych nagród. Dwie niezależne kapituły zdecydowały o przyznaniu nagród. „Winiarka” – za twórczość dotyczącą bezpośrednio Zielonej Góry i Nagrody Literackiej im. Waśkiewicza dla pisarzy związanych z regionem Środkowego Nadodrza (przyznawanej po raz siódmy). Do „Winiarki” kapituła pod przewodnictwem Janusza Łastowieckiego nominowała trzy osoby: Agnieszką Leśniewską, Halinę Bohutę-Stapel i Alfreda Siateckiego. Ostatecznie „Winiarkę” zabrała do domu A. Leśniewska. Natomiast kapituła Nagrody Waśkiewicza, działająca pod kierunkiem Janusza Koniusza nominowała: Mirosławę Szott, Roberta Rudiaka i Krzysztofa Jelenia. Laury wywalczył R. Rudiak. Nagrodę im. Waśkiewicza wręczyli: jego żona Anna Sobecka, Janusz Koniusz oraz przewodniczący Sejmiku Lubuskiego Czesław Fiedorowicz.

Uroczystości w muzeum towarzyszyła wystawa zdjęć A.K. Waśkiewicza z ostatnich lat jego życia autorstwa pisarki z Białegostoku Krystyny Koneckiej. Fotogramy te autorka postanowiła podarować bibliotece wojewódzkiej w Zielonej Górze, a konkretnie istniejącemu tam od roku klubowi Pro Libris imienia A.K. Waśkiewicza.

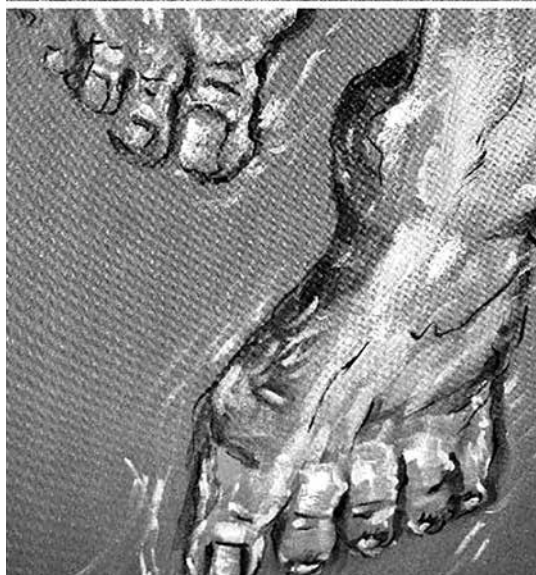
Spotkanie zakończył monodram pt. *Edith Piaf – ptak smutnego stulecia* w wykonaniu Joanny Rawik, która zresztą dzień wcześniej – ale jako pisarka – uczestniczyła w spotkaniu autorskim w Ogrodzie Sztuk, gdzie rozmawiała i podpisywała swoje książki.

Wśród oficjalnych gości jubileuszu 55-lecia oddziału obecny był prezes Zarządu Głównego ZLP w Warszawie Marek Wawrzkiwicz, który przywiozł

przyznane przez ministra kultury odznaczenie Gloria Artis dla prof. Jana Kurowickiego, członka oddziału ZLP (tenże jednak nie przybył i nie odebrał wyróżnienia; zdecydował bowiem nie przyjmować żadnych wyróżnień od obecnego ministra kultury), a także dyrektorka gabinetu marszałka województwa lubuskiego Iwona Kusiak, która w imieniu pani marszałek Elżbiety Anny Polak wręczyła laureatom nagrody specjalne – pióra. Prezes Wawrzekiewicz życzliwie ocenił oddział zielonogórski jako jeden z aktywniejszych w Związku, pogratulował aktyw-

ności i życzył weny twórczej członkom. W spotkaniu uczestniczyli również koledzy zielonogórzan po piórze z oddziału ZLP w Gorzowie Wlkp., którzy oprócz życzeń przywieźli do Winnego Grodu skrzynkę piwa „Gorzowiak”.

Sumując, E. Kurzawa powiedział do zgromadzonych: „Liczę, że w przyszłym roku nasze spotkanie zostanie wzbogacone o punkt: odsłonięcie w Zielonej Górze tablicy z nazwą ul. Waśkiewicza”. O to ZLP wspólnie ze stowarzyszeniem dziennikarzy zabiega (jak dotąd bezskutecznie) w radzie miasta od 2012 r.



Czekając na barbarzyńcę, czyli kilka refleksji po Konkursie Literackim „Winiarka” 2016

„Tak naprawdę nie wiadomo, czy wypada po tylu latach pisać o tym, co się przeoczyło” – pisano w jedynej znanej mi recenzji debiutanckiego tomu Agnieszki Leśniewskiej *Dwie rzeczy*. To symptomatyczne, że recenzja książki ukazała się 6 lat po premierze wydawniczej (2005). Nazwisko Leśniewskiej na nowo powraca na zielonogórską niwę po kilkunastu latach od debiutu. Wszystko za sprawą jednego z literackich konkursów.

Na końcu ubiegłego roku Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” po raz drugi przyznało statuetkę „Winiarki” za tekst literacki poświęcony tematyce miejskiej. Traf chciał, że przewodniczyłem kapitule jurorskiej. Nadesłane prace (na nadmiar

zgłoszeń nie można było narzekać) przedstawiały szeroki wachlarz pisarski. Każdy inaczej rozczytywał tutaj miasto. Przyznam, że zawsze ograniczenie w stylu „wiersz na temat”, „wiersz o” wprawiało mnie w popłoch. Przypominało to pisane na zamówienie, na akademię czy w określonej intencji, utwory o mniej lub bardziej twórczym pochodzeniu. Na miejscu jest więc skojarzenie z pamiętnym wierszem winobraniowym, ocierającym się w znacznej mierze o pean czy laurkę. Zabawa zabawą, ale cel był jasny: wyłowić z odmętów piasku oryginalny kruszec. Pojawiły się nazwiska Haliny Bohuty-Stąpel, Alfreda Siateckiego (nominowani). W wyniku rozmów jury zwycięsko wyłoniła się jednak Leśniewska.

Konkursy rządzą się swoimi prawami. I tym razem nie brakło nużących lektur, prób nie zawsze czytelnych i przenikliwych. Obok nich pojawiły się i przebłyśki udane. Bohuta-Stąpel umiejętnie odczytała Andabate, prowadząc z nim korespondencyjny, wierszowany dialog. Siatecki udowodnił po raz kolejny, że zna z imienia każdą ulicę, a nawet jest w stanie wprawić w życiowy ruch chłopca z konikiem (rzeźba sprzed Palmiarni). Pośród nadesłanych prac pojawił się jednak zestaw, który niejako na przekór chciał pozostać w opozycji. Nie wpisywał się ani w radykalnie zielonogórski trop beletrystyki spod znaku „zachwytu nad”, ani nie rościł pretensji do bycia awangardowym odkryciem (przecież konkursy poetyckie opiewają w mniej lub bardziej trafione eksperymenty). Zestaw Leśniewskiej zainteresował, ponieważ był inny – nie przypominał żadnego z utartych, zielonogórskich szlaków literackich. Atrybut tej poezji zobaczyłem w naostrzonej



Agnieszka Leśniewska

jak nóż ironii, dystansie względem rzucania słów na wiatr rozwleczonych fraz. Z oporem i dystansem słycać tu miejski ton, ograniczony jedynie do przekornego czytania Winnego Grodu: „położona na siedmiu wzgórzach/ a Rzym tylko na dwóch,/ miasto i miastko, ciasno,/ tu wystarczy barbarzyńca jeden”. W laudacji wygłoszonej w Muzeum Ziemi Lubuskiej zaznaczyłem, że do literackiej Zielonej Góry powróciła Leśniewska niczym barbarzyńca (tak jak w tytule cytowanego wiersza: *Zielona Góra czeka na barbarzyńcę*). Taki musiał być chyba warunek nowego, poetyckiego otwarcia. Droga prowadzi tu przez kontrę, wejście pod prąd i trzeźwe napomnienie: „kolejny raz tłumaczę sąsiadowi: jeśli odejdą gołębie, koty/ przyjdą po nas, zjedzą nas szczury”. W obliczu obłędnej manieri pisania miejskich laurek taki rodzaj świadomości poetyckiej sprowadza na właściwe tory rolę i zasadność istnienia poezji lokalnej (choć chcę uniknąć rozróżnień o charakterze centrowo-peryferyjnym). Świadomość bycia „stąd” wcale nie musi iść w parze z popadaniem w mitomanię i kompleks niższości. Z drugiej strony, droga przez hiperbolę i symbolizację miejsca staje się również prostą drogą do kłęski. Leśniewska omija znane wcześniej rozstrzygnięcia i ucieka od natrętnej topografii. Jeśli szukać motywacji regionalnych, wyczuwamy tu jednak świadomość historycznych paradoksów, jakie kryje miasto: „na rudach żelaza, na planie niemieckim,/ przysadzisty ratusz w helmie sowieckim”.

Ponad regionalną otoczkę tych tekstów, które ironicznie reagują w starciu z wymogami konkursowej „zielonogórskości”, wyziera tu aktualny lęk przed radykalizacją świata: „łady leżą bezwstydnie/ odkryte,/ a nasza dusza częściej przypomina/ pięść niż ptaka”. Łamią się topograficzne prawidła, pulsuje tekst, umiera język: „dotarliśmy na brzeg piątego/ oceanu, tu nasze konie spienione padły,/ i zjedliśmy je, dłużej nie będą potrzebne,/ zjedliśmy nawet ich imiona”. Każdy tekst kończy się w momencie ryzykownym, otwierającym pole indywidualnej recepcji i odwagi czytelnika.

Trudno wyczuć w tekstach laureatki nastroje bliskie jej poetyckim rówieśnikom. Leśniewska, urodzona w latach 70., idzie inną drogą od zbliżonych do niej wiekiem Małgorzaty Stachowiak, Beaty Patrycji Klary czy Agnieszki Kopaczyńskiej-Moskaluk. Pojawiały się już przy okazji *Dwóch rzeczy* opinie o złożonej recepcji tych wierszy. Pisano, że poezja ta nie stanowi rzewnego wylewu łez („jeżeli podmiot liryczny płacze, to płacze do środka”), a kontakt z nią musi wiązać się z wyzbyciem swoich, czytelniczych przekonań i emocji¹. Są autorzy, którzy cenzurują warstwę emocjonalną, zamykając się w obrębie konceptu, lingwistycznego wyrachowania. Utwory Leśniewskiej nie uciekają od bólu, nie próbują go sztucznie zasypać poprzez barokowy przesyt. Tak wytyczona ścieżka stwarza szanse na nowe otwarcie i przerwanie impasu w literackich poszukiwaniach pisarzy tego regionu, świadome wyjście poza kalki regionalne.

Miło było usłyszeć pozytywne reakcje na ten werdykt. Spotkałem się z wieloma opiniami, a spośród nich dominującą była ta o odważnym otwarciu nowego rozdziału, twórczym zaskoczeniu i odejściu od sztafety wyróżnianych notorycznie nazwisk. Konkurs na wiersz o tematyce zielonogórskiej okazał się więc jedynie przynętą do odnalezienia poetki, o której już kilka lat temu pisano „przeoczona”. Jury „Winiarki” nie mogło więc pozwolić sobie na powtórne pominięcie. Nie tym razem.

Nadesłane teksty to jedynie projekt większej całości. A ta już niebawem. Obok statuetki „Winiarki” Leśniewska wyda w ramach nagrody tom poetycki nakładem Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry. Przed Leśniewską praca nad całym tomem, a to przecież droga niełatwa. Potrzebny tylko czas. Autorka, wywołując barbarzyńcę w tytule nadesłanego na konkurs wiersza, potwierdziła, że chce zaryzykować. Myślę, że takich prób potrzebujemy – by ciągle się konfrontować, ewoluować i pytać. Dziś zostawiam czytelników „Pro Libris” z dwoma wybranymi wierszami z zestawu, jaki nadesłała Leśniewska.

1 Zob. M. Szott, *Dwie rzeczy nie zdarzają się dwa razy*, „Pro Libris” 2011, nr 3, s. 132-133; też, *„Dookoła łupiny orzecha, w której tkwimy”*. Dom i miasto w wierszach Agnieszki Leśniewskiej, „Świat Tekstów. Rocznik Słupski” 2014, nr 12, s. 45-55; też, *„Mam dom na wyspie z gorącego kamienia”*. Miasto i ekologia w wierszu Agnieszki Leśniewskiej, w *którąkolwiek stronę*, „Refleksje. Zachodniopomorski Dwumiesięcznik Oświatowy” 2013, nr 4, s. 37-41.

lekcja nauczania zintegrowanego

dawno minęły czasy świeżości,
już wszyscyśmy zrobili to pierwszy raz,
świadczą o tym mapy, plamy,
pamiątniki.
lądy leżą bezwstydnie
odkryte,
a nasza dusza częściej przypomina
pięść niż ptaka

dotarliśmy na brzeg piątego
oceanu, tu nasze konie spienione padły,
i zjedliśmy je, dłużej nie będą potrzebne,
zjedliśmy nawet ich imiona,
zabiliśmy wszystkich: buntowników
i dzieci, także tych, którzy przyjęli naszą religię
oni umierali najdłużej.

Zielona Góra czeka na barbarzyńcę

położona na siedmiu wzgórzach,
a Rzym tylko na dwóch,
miasto i miastko, ciasno,
tu wystarczy barbarzyńca jeden.

na rudach żelaza, na planie niemieckim,
przysadzisty ratusz w hełmie sowieckim,
fragmenty murów obronnych jak stendy
podtrzymujące krwi obieg, na wschód
i zachód, na południe kościoły
środkiem teatr – ich wspólne tabernakulum,
opodal Bachus, prawie goły.

kolejny raz tłumaczę sąsiadowi: jeśli odejdą gołębie, koty
przyjdą po nas, zjedzą nas szczury.
kilkoro ciągle tych samych,
ciągnących za sznurek, nasi
górami i chmury,
obojętne chmury.

Od *Piosenki o rozpadzie* do lubuskiego środowiska literackiego i z powrotem

Biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia lekturowe, wydaje mi się, że najbardziej doceniam w literaturze prawdę doświadczenia (nie chodzi mi o realizm, autobiografizm, dokumentalizm – bardziej o autentyzm). Zdarzają się książki, które zwyczajnie poruszają, zadziałają. I wtedy jest taka podskórna pewność, że wyszliśmy z tej lektury odmienieni. To znaczy, że przeszliśmy pewną drogę, podczas której zrozumieliśmy siebie i świat choć o milimetr bardziej. Tak mam z *Piosenką o rozpadzie*, opowieścią zamkniętą w 22 wierszach – jej tematem jest głęboka męska relacja i zapis odchodzenia.

Zupełnie przez przypadek w rozmowie z Małgorzatą Mikołajczak dowiedziałam się o sukcesie młodego zielonogórzanina. Michał Banaszak (rocznik 1988), bo o nim mowa, został laureatem ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Anny Świrszczyńskiej na książkowy debiut poetycki 2016. Poeta studiował we Wrocławiu filologię angielską i prawo, nie posiada żadnych związków ze środowiskiem literackim Zielonej Góry. Obecnie jest studentem filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, pracuje w zielonogórskim sądzie. Bronisław Maj (ten Maj) pisze we wstępie do jego książki: „*Piosenka o rozpadzie* [...] to przejmujący, poruszający (bo doskonale poetycko opanowany!) zapis ludzkiego – poszczególnego, a przecież powszechnego – doświadczenia; zwycięska próba nazwania tego doświadczenia”. Czytając wiersze Michała, mam poczucie, że to, co zawarł w nich, jest też moim przeżyciem, że istnieje wspólny mianownik wszystkiego (to jakiś rodzaj ośnienia). Poezja jest w końcu budowaniem mostów (Borys Róg, o którym zaraz, napisze: „mosty buduje się w Gruncie rzeczy”).

Przejdę do przykładów. W jednym jego wierszu gra przestaje być grą, bo jej reguły wykraczają poza szachownicę. Przegrana P. (P. to główny bohater tych tekstów) zwiastuje rzeczywisty dramat przeciwnika, bo kiedy mistrz słabnie, jego uczeń musi stać się kimś innym, przejąć mimowolnie jego rolę.

Dopiero później, po upływie
kilku lat, to on już stale
przegrywał, a partie kończyły się szybciej.
Pamiętam ciemnozielone (kolor świeżej trawy)
podkładki z filcu, karton, nadruk CIESZYN,
kształt skoczka. Teraz znów w coś gramy,
on – tamten i ja – terazniejszy,
teraz znów jest jak na początku
nauki, jakbym nie pamiętał reguł
[...]
(Gra)

Uwagę zwracają też trzy fragmenty prozy poetyckiej, w której autor potwierdza zmysł obserwatora. Dla przykładu przywołam jedynie parę zdań – w których postać P. umiejętnie przyrównana jest do latarnika:

Rozmieszczono tam kilka włączników światła,
które trzeba było naciskać, co jakiś czas, bo
lampy gasły automatycznie po paru minutach.
[...] W podróży przez piwniczne korytarze naj-
ważniejsze więc było, by nigdy nie tracić z oczu
łuny światła, znaczącej miejsce powrotu. Póki P.
zajmował się czymś w komórce, musiał podtrzy-
mywać oświetlenie. Można powiedzieć, że był
kimś w rodzaju latarnika.

Michał potrafi też sprawnie posługiwać się wyszukaną formą vilanelli (tak otwiera tomik), ma dobre ucho do melodii słów. Píše świadomie. Potrafi uruchomić myślenie naiwne (zawiesić wiedzę o świecie); odbiorca może mieć wtedy złudzenie (wchodząc do tekstu), że zanurza się w wodzie tylko do kostek, żeby zaraz okazało się, że jednak od początku nie miał gruntu.

Dlaczego wcześniej nic o nim nie słyszałam? Dlaczego tu – w Zielonej Górze, gdzie mieszka od dziecka (z przerwą na studia we Wrocławiu) – ten głos się nie przebił, a został doceniony na drugim końcu Polski i wydany w prestiżowym wydawnictwie UNIVERSITAS (kto z lubuskich poetów miał taką szansę?). Wydaje mi się, że odpowiedź wiele mówi o środowisku.

Po pierwsze – sprawy pokoleniowe. Od lat słysząc w rozmowach między piszącymi, że Ziemia Lubuska nie rodzi wieszczów, że czegoś tu brakuje. To jest nawet dość wygodne, bo uzasadnia jakąś egzogenną przypadłość tkwiącą gdzieś na mapie – w każdym razie nie w tych, którzy piszą. Może nawet służy podkreśleniu wyjątkowości. W 1974 r. Andrzej K. Waśkiewicz uznał, że największym osiągnięciem środowiska było „przewyciężenie statusu wyjątkowości” i dodał, że od połowy lat 60. funkcjonuje ono na „normalnych” prawach. Co ciekawe, zauważa on na początku lat 70. obniżenie aktywności i brak inicjatyw młodych (wzrasta średnia wieku, nie obserwuje się dopływu nowych członków grup młodoliterackich) – dopiero zaraz zaczynają działać roczniki 50. (w 1975 r. wydrukowany zostanie pierwszy numer jednodniówki „Faktor”).

Obecnie można odnieść podobne wrażenie – mam nadzieję, że sytuacja jest analogiczna – tuż przed przełomem. Młodych, którzy mają tu coś do powiedzenia, jest coraz więcej (i może to jest właśnie czas na zmianę warty?). Nie chodzi tylko o poezję, bo przebudzenie widać też w gatunkach prozatorskich – powstaje sporo kryminałów (Krzysztof Koziółka cały czas na pierwszym miejscu, ale można też wymienić Monikę Suder, Przemysława Piotrowskiego, Łukasza Kotwickiego). Roczniki 50. (w tym także słynna grupa Studencki Klub Poetycki '54) są w pewnym sensie zafiksowane (wymienię choć kilku przedstawicieli:

Czesław Markiewicz, Eugeniusz Kurzawa, Czesław Sobkowiak, Wojciech Śmigieński). To oni byli pokoleniem najbardziej czynnym w latach 80. i 90. Pierwsi tubylcy. Obecnie cierpiący na brak perspektyw. Zawiedzeni brakiem sukcesu (poza lokalnym). Nawet nie zauważyli późnych roczników 60. i 70. (poza Krzysztofem Fedorowiczem, który ku zdziwieniu większości, zdobył pierwszy Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezji). W poprzednim numerze „Pro Libris” Czesław Sobkowiak aż sześć razy odmienia przez przypadki słowo „legenda” (pisząc np. o Marku Grewlingu, Annie Tokarskiej). Urasta to do rangi jakiegoś fetyszu. To już nie czasy na legendy (i nie chodzi nawet o to, że trudno dziś o Gordona czy Papuszę). To czasy na literaturę. Właśnie taką, jak *Piosenka o rozpadzie* Michała Banaszaka, *Pogodna biel dobrego samopoczucia* Pauliny Korzeniewskiej, najnowsze wiersze Agnieszki Leśniewskiej (które zostaną wydane w 2017 r. jako nagroda główna w II edycji Konkursu Literackiego „Winiarka”), teksty Agnieszki Ginko-Humphries (jej bajki dla dzieci doceniane są w całej Polsce, obecnie autorka przygotowuje tomik poezji), piosenki Andrieja Kotina (bo powieść i poezja nieco słabsze) czy nieśmiałe – a moim zdaniem udane – próby Borysa Roga (który – uwaga wydawcy – ma przed sobą debiut). To są nazwiska z samej Zielonej Góry, ich liczba zostałaby potrojona, gdybym dodała młodych poetów z Gorzowa Wielkopolskiego i okolic.

Ciekawe, że tych pokoleniowo dojrzałych poetów (Janusz Koniusz, Janusz Werstler, Anna Tokarska, Andrzej K. Waśkiewicz) charakteryzuje (charakteryzował – w przypadku zmarłych) zazwyczaj większy dystans i otwartość umysłu niż tych nieco młodszych. A może to tylko potwierdzenie starej zasady, że łatwiej dogadywać się dzieciom z pokoleniem dziadków niż ojców. Kiedy Janusz Koniusz przychodzi prowadzić warsztaty pisania poezji na spotkania Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, to mam niemal namacalny dowód, że on ma cały czas 30 lat. Nie jest nastawiony na siebie, uważnie słucha innych i radzi. I większość za nim nie nadąga. Ale co to za ogromna przyjemność znaleźć kogoś, za kim się nie nadąga. Nasze pokolenie (bo mówię też za siebie) potrzebuje wyraźnego poczucia odręb-

ności. Na pewno nie jesteśmy kontynuatorami pokolenia „Faktora”, rzeczywistość stawia przed nami inne zadania. Nigdy nie będziemy prawdopodobnie zrzeszoną grupą, z programami, manifestami. Nie interesuje nas ani Związek Literatów Polskich, ani Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Raczej nie będziemy mówić o sobie „my”. To nie te czasy – znowu powtórzę.

Druga sprawa to festiwale, imprezy, konkursy. Niektórzy od razu stwierdzą, że to kwestia finansów, dotacji. Jeśli na festiwal przychodzą jedynie stali bywalcy zielonogórskich imprez, to dalej bawimy się sami ze sobą (jak w piaskownicy – nie przybywa nowych zabawek). Z zielonogórskich instytucji kultury chyba BWA z dyrektorem Wojciechem Kozłowskim przyciąga najwięcej młodych zainteresowanych różnymi gałęziami sztuki. Na Festiwalu Puls Literatury w Łodzi spotkałam ostatnio osoby z Warszawy, Wrocławia, Katowic czy Gdańska (przecież to kilka

godzin w podróży). Nagrodami w konkursach na takich festiwalach nie jest koszt słodczy i owoców, ale nagrody pieniężne rzędu od 200 zł do 2000 zł. Program jednego dnia rozpisany jest do późnych godzin nocnych. Organizatorami są ludzie po trzydziestce i koło czterdziestki. Nikt z nich nie jest też zmęczonym bibliotekarzem po godzinach pracy. Tego Łodzi będę zawsze zazdrościć – Domu Literatury, gdzie pracują m.in. poeci, redaktorzy i krytycy literaccy. I jeśli za jakiś czas nadal będę mieszkać w Zielonej Górze – zrobię wiele, żeby powstało tu coś takiego, choćby na powierzchni 20 m², choćby w poczekalni dworca PKP.

Wypada podziękować jury Konkursu im. Anny Świrszczyńskiej za odkrycie dla nas Michała Banasza. Mam nadzieję, że nie przerazi go nieoczekiwany sukces i wysoko ustawiona poprzeczka. Zresztą – być może wszystkie poprzeczki są tylko zbędnym balastem w głowie samego piszącego.



Sprawozdanie z konferencji *Kryminał. Okna na świat*

W dniach 19 i 20 października 2016 r. na Uniwersytecie Zielonogórskim odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa *Kryminał. Okna na świat*. Było to kolejne spotkanie literaturoznawców i studentów zainteresowanych odkrywaniem różnorodności kryminałów. Dwa lata temu rozważano zagadnienia tradycji i nowatorstwa gatunku, tym razem przyszła kolej na przedstawienie go w kontekstach polityki, geopoetyki i popkultury.

Po otwarciu spotkania przez prorektora prof. Wojciecha Strzyżewskiego i dziekana Wydziału Humanistycznego, prof. Sławomira Kufla, rozpoczęła się pierwsza część – *Okna współczesnego kryminału*, w której najpierw wystąpił prof. László Nagy z referatem o węgierskich kryminałach z okresu realnego socjalizmu. Na wybranych przykładach udowadniał karykaturalność kreacji postaci w tych utworach. Winnym zbrodni zawsze był obcokrajowiec, przedstawiciel „zgniłego, imperialistycznego Zachodu”, natomiast detektywem bądź komisarzem prowadzącym śledztwo – reprezentant aparatu bezpieczeństwa. W podobnym tonie było utrzymane następne wystąpienie dr Moniki Samsel-Chojnackiej, która mówiła o próbie rozliczenia Pokolenia '68 w szwedzkich powieściach kryminalnych. Dalekiej Północy nieobca była ideologia komunistycznych Chin, o czym świadczy wydawanie szwedzkich tłumaczeń „czerwonej książeczki” Mao Tse-Tunga. Z lewicowymi ugrupowaniami sympatyzowało również wielu twórców szwedzkich kryminałów, m.in. Stieg Larsson. Choć w dużej mierze właśnie Szwecja kojarzy się z powieściami kryminalnymi, to nie jest jedynym miejscem ich akcji, co zaprezentowano w części *Przestrzenie współczesnego kryminału*.

Konferencja podzielona była bowiem na kilka sekcji tematycznych, co sprzyjało późniejszym dyskusjom. Zatytułowano je m.in.: *Kryminał i kontekst polityczny*, *Przestrzenie współczesnego kryminału* i *Kryminał w cieniu realnego socjalizmu*. Wśród prelegentów pojawili się tacy znawcy literatury, jak wspomniany László Kálmán Nagy – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Monika Samsel-Chojnacka, skandynawistka z Gdańska, mgr Magdalena Żmudziak z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i liczni przedstawiciele Uniwersytetu Zielonogórskiego, także młodszy naukowcy.

Interesujące były wystąpienia dotyczące przestrzeni w świecie przedstawionym polskich kryminałów. O symbolice miasta-labiryntu w powieściach Marka Krajewskiego i Zygmunta Miłoszewskiego mówiła Marlena Berdys. O ile jednak dla słuchaczy obraz miasta jako zbioru splecionych ulic i podziemi był czytelny w kontekście Wrocławia, o tyle zgłaszali zastrzeżenia do interpretowania w ten sam sposób opisu Sandomierza w *Ziarnie prawdy* Z. Miłoszewskiego. Prof. Adam Regiewicz stwierdził, że autor wprowadzić wiernie oddaje szczegóły topograficzne miasta, ale zestawienie tego z widokiem na mapie pozwala stwierdzić, że właściwie każdą inną miejscowość można zdefiniować jako labirynt. Dużo czasu poświęcono również na dyskusję po prezentacji mgr. Piotra Prusinowskiego dotyczącej filmu *Życie i umrzeć w Los Angeles* Williama Friedkina. Zwieńczeniem dnia pełnego wystąpień i refleksji było spotkanie autorskie z Martą Zaborowską.

Drugiego, a zarazem ostatniego dnia konferencji starano się zwrócić uwagę na problematykę geopoetyki kryminałów oraz odbiór tego rodzaju

literatury. Omówieniu zagadnienia posłużył referat mgr. Rafała Chojnackiego o recepcji powieści kryminalnych Henninga Mankella w Polsce. Wystąpienie zostało uzupełnione cytatami z recenzji napisanych do „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, a także wpisami z blogów o tematyce literackiej. R. Chojnacki wyka-zał, że pomimo różnic w poziomie wiedzy literatu-roznawczej nadawcy recenzji dostrzegają istotny aspekt twórczości Mankella: obrazowanie społecznej sytuacji Szwecji. Przykładowo w książce *Morderca bez twarzy* tło dla zbrodni stanowi problem masowego napływu imigrantów i słaba kontrola nad nimi.

Konferencje poświęcone kryminałowi odbywają się cyklicznie na Uniwersytecie Zielonogórskim. Tegoroczna z pewnością zostanie na długo zapamięta-na jako jedna z obfitująca w konteksty kontekstów analizowania i interpretowania literatury, a chwilami również kontrowersyjnych. Łącznie wygłoszono po-nad 20 referatów z siedmiu ośrodków akademickich. Multimedialna forma prezentacji wielu tematów zachęcała do wykraczania poza literaturę, poszu-kiwania inspiracji w kulturze i sztuce. Dawała także okazję do wymiany doświadczeń i wiedzy związanej z pracą badawczą nad kryminałem nie tylko w wą-skim gronie prelegentów.



Jerzego Szewczyka portret pobieżny, acz wnikliwy

Piętnastoletnim dziewczęciem będąc, w chórk szkolnego kabaretu *Kleszcz* śpiewałam: „[...] to widzę po raz pierwszy: / urzędnik pisze wiersze! / Więc biorę tekst i czytam, / a w tekście jest tak [...]”. Była to piosenka utrzymana w rytmie ognistego tanga, a opowiadała o pewnym urzędniku, który pokątnie wieczorami uprawia poezję. Kolejne zwrotki wypełnione były cytatami z owej urzędniczej poezji, ale ich walory literackie były bardzo wątpliwej wartości – spore fragmenty liryki okraszone były niezamierzonym komizmem...

W tym wieku wszelkie prawdy chłonie się niczym gąbka wodę, zatem nic dziwnego, że przez długie

lata żyłam w przekonaniu, iż urzędnicy i poeci to istoty wywodzące się z zupełnie różnych światów. No cóż, nie znałam wówczas jeszcze życiorysów genialnych twórców kabaretowych z okresu międzywojennego, którzy utrzymywali się z posady urzędniczej, a wieczorami, przy aplauzie publiczności, przeistaczali się w artystów estradowych, z powodzeniem prezentujących poetyckie wytwory swojej wyobraźni.

Nie słyszałam wówczas także o Karolu Dedeciusie, który codziennie zasiadał do pracy przy biurku urzędniczym, zaś po godzinach spędzonych na żmudnym urzędowaniu przybliżał niemieckiemu czytelnikowi klasykę literatury polskiej.

Nie znałam wówczas jeszcze także urzędnika-poety, urzędnika-podróżnika, urzędnika-performera Jerzego Szewczyka. Moja głęboka, bo licząca sobie ponad 30 lat zażyłość z Jurkiem przybrała takie rozmiary, że przerzuciła się także na jego żonę Irenę i dziś nie potrafię precyzyjnie wyważyć, kto jest mi bliższy – czy Jerzy Szewczyk, czy jego połowica. Mniemam jednak, że o Jerzym wiem nieco więcej niż o Irenie, gdyż jedna z jego wielu pasji życiowych jest zbieżna z moją – oboje postrzegamy siebie jako taki gatunek czytelnika, który nie tylko lubi czytać, ale jeszcze czasami coś sam napisze. Nie podejmuję się oceniać poczynąń literackich mojego znakomitego Kolegi, chociażby z tego powodu, iż nie stać byłoby mnie na pełny obiektywizm. Ale ponieważ w tym roku przypada okrągła rocznica urodzin Jerzego i Ireny, więc poczułam potrzebę przybliżenia postaci Jurka Czytelnikom tego pisma. I owszem, to będzie laurka, jakżeby inaczej, ale postaram się jej nie przesłodzić, choć trochę lukru dodam, bo wypada.



Jerzy Szewczyk

Mam ogromną przyjemność obserwować proces twórczy Jerzego S. w każdy poniedziałek podczas warsztatów literackich, które prowadzi dla nas Jolanta Pytel, szefowa Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. To, co mnie uderza w zachowaniu Jerzego, to fakt, że na każde zajęcie przybywa zawsze bardzo dobrze przygotowany. Niekiedy obecność pozostałych uczestników warsztatów rozprasza go tak, że wiersz ledwie zarysowany podczas zajęć kończy w zaciszu domowym i po dopieszczeniu wygłasza nam w całości na kolejnych zajęciach. Zawsze stwierdza, że „lekcie ma odrobione” i pragnie zaprezentować nam teraz swój utwór „w całości i po korekcie”. Nasza szefowa często podkreśla fakt, że wykształcenie techniczne jest czynnikiem sprzyjającym sprawnemu pointowaniu wierszy. I Jurek S. świetnie wykorzystuje w poezji tę zaletę swojego ścisłego umysłu.

Inną pasją Jerzego Szewczyka jest pasja podróży, w moim odczuciu zbliżona do literackiej. Jurek zwiedził prawie wszystkie kontynenty (nie był bodajże tylko w Australii), przywożąc z każdej podróży setki zdjęć, które bardzo chętnie prezentuje podczas uroczych, klimatycznych spotkań, połączonych z pogadanką na temat egzotycznych zakątków

naszego globu, do których dane było mu dotrzeć podczas swoich wojaży. Jurek ze swadą i bardzo interesująco przenosi nas w odległe światy, opowiada o napotkanych tam ludziach, opisuje ich obyczaje, niekiedy demonstruje nam należące do nich przedmioty codziennego użytku, a czasami też fragmenty noszonych przez nich strojów. Jurek kiedyś wyznał mi, że najwięcej satysfakcji przynosiły mu odległe podróże odbyte w czasach, gdy zdobycie paszportu było nie lada wyczynem. Siedząc w samolocie obok obywatela któregoś z krajów wolnego świata, odczuwał ogromną satysfakcję ze swojej konsekwencji, determinacji, sprytu i woli podróżowania...

Jurek Szewczyk imponuje mi często dystansem do samego siebie, autoironia nie opuszcza go nawet wówczas, gdy dworuje z własnych przypadłości. Imponuje mi także swoimi poczynaniami performerskimi z pogranicza kabaretu – to właśnie on ustanowił dzień 23 września Dniem Spadającego Liścia. W tym dniu w towarzystwie zjawiskowej Pani Jesieni (w tę rolę wciela się poetka Basia Anielska-Bartuszyńska) wędruje ulicami Winnego Grodu, wręczając napotkanym przechodniom kolorowe, jesienne liście. Niekiedy para ta odwiedza instytucje kulturalne Zielonej Góry



Irena i Jerzy Szewcykowie

czy domy Dziennego Pobytu dla seniorów, budząc zawsze uśmiech i radość wśród tych, których spotyka na swojej drodze.

Ostatnim kabareciarskim pomysłem Jerzego Szewczyka jest ustanowienie przez niego Nagrody Szczęsnej Podkowy, która wręczana będzie różnym osobom, które wytypuje według tylko sobie wiadomych kryteriów powołana w tym celu Kapituła. Regulamin owej nagrody w jednym ze swych punktów zakłada, że jedynym członkiem tej Kapituły jest... Jerzy Szewczyk i że decyzje owej Kapituły są niepodważalne! Jurek przetestował tę nagrodę na mnie, obawiając się reakcji przyszłych potencjalnych beneficjentów. A ponieważ przyjąłem ją ochoczo, (choć powody, dla których Kapituła mi ją przyznała, są mocno na wyrost), więc Jerzy S. ośmiela się teraz obdarowywać nią inne postacie naszego życia kulturalnego. I tak drugim obdarowanym był zielonogórski poeta, pisarz i fotograf Zbigniew Rajche; w 2016 r. Szczęsną Podkowę otrzymała Jolanta Pytel. Nota bene Zbyszek dostał podkowę z czekolady; zapowiedział, że jak się skończy post, to ją zje. Moja podkowa jest, niestety, żeliwna.

Przyznam jednak, że kilka razy miałam ochotę udusić Jurka, a powstrzymała mnie jedynie owa wspomniana zażyłość z jego żoną Ireną, której nie

chciałabym uczynić wdową. Owe mordercze zapędy zawładnęły mną już kilka razy i zawsze nachodziły mnie podczas niektórych wieczorków autorskich, na które dane mi było przybyć wraz z Jurkiem.

Bijąc się w pierś, proszę o rozgrzeszenie! Proszę sobie bowiem wyobrazić taką oto sytuację. Jesteśmy gośćmi spotkania autorskiego, które ciągnie się już drugą godzinę i śmiało zmierza ku trzeciej. Publiczność zatem rada jest wreszcie rzucić się po zakup prezentowanego dzieła lub przynajmniej dorwać się do filiżanki herbaty. A tu Jerzego Szewczyka nachodzi właśnie nieodparta potrzeba wygłoszenia laudacji na cześć autora lub odczytania referatu, będącego wnikliwą analizą całokształtu jego twórczości... Bo Jurek bardzo lubi wygłaszać szeroko rozbudowane mowy pochwalne, on lubi przemawiać!

A zatem ja dziś odwdzczęcam się tym samym – słowo za słowo, oko za oko, uśmiech za uśmiech. No cóż, muzy to istoty kapryśne, ale przypadek Jerzego Szewczyka, wieloletniego urzędnika państwowego dobitnie świadczy o tym, że potrafią one sprawić, by spod pióra urzędniczego wypłynęła poezja w postaci czystej, a nie tylko protokoły, sprawozdania, rozliczenia...

Jurku, a niechże Cię wena twórcza ma w swojej opiece i nie opuszcza przynajmniej do setki przeżytych lat!



Na śmierć Poety

Był czas, kiedy lubuskie środowisko literackie cechowało jakby nieustanne debiutowanie. Wydawało się, że długo nie wejdzie w dojrzałość. Dopisywaliśmy wszyscy swoje nowe kolejne wiersze, nowe tomiki poetyckie i pozycje prozatorskie. Środowisko nie posiadało jeszcze żadnej zarysowanej tradycji literackiej, do której mogłoby się odnieść, zwłaszcza młodsze pokolenie. Lecz niepostrzeżenie przyszły lata i ta tradycja się pojawiła, pojawia się i jest jej coraz więcej. Tradycję stanowią poeci umarli. Można obecnie przywołać już sporo nazwisk.

W Żarach właśnie umarł – 21 grudnia 2016 r. – Jan Janusz Werstler. Miał 77 lat. Debiutował wierszem *Pantofle* w 1961 r. w „Nadodrze”. Pierwszy jego zbiorek *Pytania* ukazał się dość późno, w 1970 r. W tym samym roku, w tej samej serii wydawnictw LTK, również opublikowałem swoje początkowe natchnienia *W białej koszuli*. Takie było nasze pierwsze literackie spotkanie. Potem ukazywały się od czasu do czasu jego kolejne książki.

Wszystkie literackie dokonania Werstlera są związane z Żarami, z którego sprawami się utożsamiał. Przybył do tego miasta w wieku 15 lat. Napisał sporo wierszy osobistych, lirycznych, także zbiór prozy *Krajobrazowo*. Moim zdaniem największej wagi są te, w których odniósł się do życia bieżącego i historii miasta. Opisał jego architektoniczny krajobraz, z imienia i nazwiska przywołał osoby mu bliskie, w topografię Żar wtopił własny oddech, legendę wielu przyjacieli. Nawiązał też do biograficznego bólu wysiedleńczego z Kresów (urodził się w Kałuszu k. Stanisławowa), jak i do bólu oraz rozpacz po poprzednich mieszkańcach-Niemców, którzy to miasto musieli opuścić. Potrafił sobie te krzywdy, te dramaty



JANUSZ WERSTLER

wyobrazić i je wyrazić poetycko, by nie zakłamywać prawdy historycznej. Taką książką wartą pamiętania i czytania przez czytelników w tej żarskiej małej ojczyźnie jest zwłaszcza *Psalm o mieście* (2005). Można powiedzieć, że jest swoistym poetyckim hymnem na cześć najbliższej poecie okolicy. Jestem przekonany, że nikt po Werstlerze już tego miasta w tak szerokim wymiarze nie wprowadził do poezji. Drugi raz się to nie zdarzy. Swoimi wierszami w materii apologii najbliższej prowincji ustalił bardzo wysoki poziom, którego nikt łatwo nie przekroczy. A może nawet nigdy nie przekroczy. I tak to swoje karty wpi-

sał w kształt duchowy Żar. Natomiast spełnienie poetyckie przynosi jego ostatni zbiór *Pożegnanie jabłoni* (2009), zawierający oprócz dawnych także wiersze najnowsze. Po tej książce już raczej jego aktywność twórcza zanikła. Zadanie zostało wypełnione. Czyli „śląd” zapisany.

Nie wynosił się ze swoją poezją. Zachowywał w tym względzie właściwy umiar. O *Pożegnaniu jabłoni* obszerną recenzję opublikował w „Pro Libris” Marek Grewling. Wiem, że jego odczytanie poeta akceptował. Utwory Werstlera cechuje rzeczowość, dyscyplina warsztatowa i – co ważne – wolne są od tromtadrackiego patetyzmu. Charakteryzuje je nie skomplikowana metaforyka, ale żywy język mówiony, eksponujący zwyczajność relacji międzyludzkich. Niektóre z wierszy mają wartość dokumentacyjną, pokazują bowiem podmiotową fascynację i szczerą radość z kulturalnymi wydarzeniami, np. piękny, kronikarski poemat *Na Ogrodowej*, który odzwierciedla intelektualny ferment. Takimi tekstami Janusz Werstler zakorzenił się w tym swoim miejscu-gnieździe, które traktował jak najbliższe sercu, jedyne, czuł się za nie odpowiedzialnym i zatroskanym. Ten

motyw raz po raz w rozmowach z Januszem powracał. Nie mogło być inaczej, gdyż nie kto inny, ale on właśnie tkwił w centrum rodzącego się w latach 60. życia kulturalnego, które wraz z innymi inicjował i współtworzył. Powołał do życia grupę poetycką „Dziewin” (1962), skupiającą miejscowych debiutantów. To stąd w Żarach było dużo poezji. Wtedy i po latach. Dwa almanachy: *Rylcem i piórem* oraz *W dole kamieniotomu* dają piękny obraz narodzin tradycji literackiej w Żarach. Oczywiście jej żywotność różne potem miała koleje. Kolejne pokolenie (Baworowskiej, Zychli, Rozwadowskiej, Lorenc) postanowiło tę grupę reaktywować. Obecnie konkursom poetyckim, organizowanym przez miejscową bibliotekę, patronuje właśnie odnowiona grupa „Dziewin-Młodzi”. Janusz z żalem konstatował, że w różnych momentach o nim – założycielu zapomniano. Nie pozostawał jednak na sprawy literatury lokalnej obojętnym. Wiele razy o tym rozmawialiśmy. Irytowała go niedbałość o kształt tworzywa artystycznego, a w sferze społecznej – upadek moralności. Moje najbardziej owocne kontakty z Żarami, do których mnie Janusz Werstler zachęcił i zaprosił, wiązały się



W żarskim antykwariacie



Janusz Werstler (w środku)

z opatrywaniem posłowiemi tomików miejscowych poetów (w tym również jego kolejnych książek), a także ze współpracą z „Kroniką Ziemi Żarskiej”, świetnie prowadzoną przez Zdzisława Dąbka, już nieżyjącego. W redagowanym tam przez Janusza „Literackim Pulsie Regionu” miałem możliwość sukcesywnie pisywać. Ta współpraca była dla mnie dobrą przygodą. Środowisko stawało się żywotne, aktywne, przybywało nowych nazwisk, więc i czymś bardzo naturalnym, ba, oczekiwanym, była w pewnym momencie coroczna organizacja Spotkań Majowych. Biznesmen Andrzej Wojtaszek – to trzeba docenić – miał swój dobry, sponsorski wkład w ich przebieg. Bywałem z tego powodu często w Żarach. Nie traciliśmy czasu. Zawsze odwiedzałem Janusza, czasem bardzo zamyślnego, w prowadzonym przez wiele lat Antykwariacie. Nie domagał mu już wzrok. Przez duże, powiększające szkło usiłował czytać gazetę. Nie potrafił dbać o swoje zdrowie. Szkoda. Interesowały go moje dokonania, poglądy, zdania o poezji i współczesnym świecie, tym najbliższym i dalszym, i moje życiowe sprawy. Dopytywał, co u Warszawskiego, Ryndaka, co u Koniusza, Pytel,

Tokarskiej, kiedy wyjdzie nowy numer „Pro Libris”, moja nowa książka i czy piszę prozę o ojcu, bo powinienem. Czy miewam jakieś spotkania autorskie? Odczuwałem jego życzliwość i ludzką wrażliwość. Tu zaglądali często jego znajomi i przyjaciele, dzieląc się żarskimi aktualnościami. Tu kroki kierowali także niektórzy żarscy poeci. Gdy z Lublina przyjeżdżał Leszek Mądzik ze Sceną Plastyczną, także Janusza odwiedzał. Wydania jego książek szybko znajdowały odbiorców. Antykwariat to była poniekąd instytucja, miejsce ważnych ocen społecznych, ustaleń towarzyskich, opowieści i zwyczajnych koleżeńskich rozmów. Przychodzili tu również po prostu ludzie z miasta ze swoimi bolączkami. Czasami ktoś chciał antykwariuszowi Werstlerowi coś sprzedać, by mieć na wino lub piwo. Z Antykwariatu kierowaliśmy zazwyczaj kroki do pobliskiego baru, by po rozmowach się posilić. I dalej przy herbacie dywagować o dziwnych losach ludzi i świata. O tych podróżach i spotkaniach pisałem w tomie prozy *Rzeka powrotna*. Żary w jakimś stopniu powoli stawały się także moim miastem. Teraz, po odejściu Janusza, nie są już takie same.



Poeta w otoczeniu zaprzyjaźnionych literatów (J. Werstler siedzi w środku)

Eugeniusz Kurzawa

Żenia



Eugenia Pawłowska

To może trochę zaskakujące, ale im dłużej się znaliśmy, tym bardziej żyliśmy się, choć przecież wraz z zaletami wychodziły również nasze wspólne przywary. Ale kim byliby ludzie bez wad? Gdy więc nagle odeszła, wydało mi się to zupełnie niemożliwe, po prostu nieprawdziwe. Żeni nie ma? Jak to?! Dlaczego? Do dziś mam odruch, jadąc w okolicy ulicy Wrocławskiej, Podgórznej, żeby skręcić w Braniborską. I zajechać do Kombatanta... Jak mogła zrobić taki błąd, takie faux pas, po prostu zmyć się bez słowa, bez pożegnania. To nie w jej stylu. Dlaczego zatem tak się zachowała...?

Nie wiem, co nas tak zbliżyło do Żeni. Moją żonę Lidię i mnie. Do starszej pani, ale i osoby ciągle „na fleku”, jak mawia moja mama. Ciągłe myślenie, aktywnej umysłowo. Przecież znałem ją wiele lat wcześniej z pracy w „Gazecie Lubuskiej”. I nic wielkiego z tego nie wynikało. Tymczasem dopiero później zaiskrzyło i rozwinęła się jakaś forma przyjaźni...

Pamiętam taką sytuację, gdy Andrzej K. Waśkiewicz tuż przed swoimi 70. urodzinami w maju 2011 r. był u nas w Wilkanowie. Wieczorem zasiedliśmy w Domku Ogrodnika przy kominku. Lidka przywiozła Żenię, która miała już wtedy problemy z chodzeniem. Siedziała z nami, z całą rodziną Waśkiewiczów i długo gadaliśmy przy ogniu, wszak z Andrzejem znała się z czasów pracy, jego w „Nadodrzcu”, a jej w „Gazecie Lubuskiej”. Gdy zmęczona odjechała do swego Kombatanta, Andrzej skomentował krótko:

„Ale umysł ciągle jak brzytwa...”. Długo tego nie doceniałem.

Jako student dorabiałem do stypendium w „Nadodrzcu”, „Gazecie Lubuskiej” lub okazjonalnie w „Gazecie Festiwalowej” w czasie Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Musiałem wówczas na korytarzu w gmachu przy Niepodległości 25 mijać znaną Panią Redaktor. Choćby idąc do kasy po skromną wypłatę za wierszówkę. Ale jakoś nie utrzymała mi się. Dopiero po wyjeździe z Zielonej do pracy etatowej w Suwałkach, Eugenia Pawłowska została wpłątana w mój życiorys. A było to tak: rok 1980, tzw. karnawał Solidarności. Jestem od czerwca zatrudniony w tygodniku „Krajobrazy” w Suwałkach, gdzie nie znam nikogo. Siedzę tam sam jak kotek w płocie. Co jakiś czas wydzwaniam „do świata”, do znajomych w Warszawie lub Zielonej Górze. Kiedyś, chyba jesienią 1980, dodzwoniłem się do Jasia Dębka, kolegi z czasów studenckich, jednakże głównie dziennikarza „Gazety Lubuskiej”. I Janek nadaje mi przez telefon. „Ale narozrabiałeś, pewnie przez ciebie Ołasa wyrzucą z roboty” – mówi. Nie wiem, o co chodzi. Zupełnie. Okazało się – a potwierdziła to mniej więcej po 13-14 latach właśnie Żenia Pawłowska – iż na jakimś spotkaniu dyskusyjnym w klubie MPiK zaczęły się publiczne rozrachunki z przedstawicielami władzy. Jak to wówczas było w modzie. Ktoś wyciągnął moje nazwisko. Że był tu taki młody zdolny Kurzawa, a musiał po studiach wzorem innych „emigrantów”

wyjeżdżać z Zielonej Góry na białe niedźwiedzie, bo go nie chcieli zatrudnić w „Gazecie”. Winę przypisywano Zdzisławowi Olasowi, ówczesnemu naczelnemu „Gazety Lubuskiej”, na dodatek prywatnie partnerowi życiowemu Pawłowskiej. A Żenia była, jako dziennikarka, na owym spotkaniu w MPIK-u, gdyż miała chyba napisać relację. Opowiedziała mi po latach. „Wróciłam do domu, rzucam się na Staro i pytam, czy to prawda, że nie chciał zatrudnić tego całego Kurzawy”. „No prawda” – odpowiedział. „I na co ci to było, teraz solidarnościowcy będą się ciebie czepiać, robić zadymy, jeszcze rzeczywiście Komitet cię poświęci i stracisz pracę” – wyłożyła Olasowi swoje argumenty Żenia. „A temu go nie przyjąłem, że nigdy do mnie w sprawie roboty się nie zjawił” – odrzekł spokojnie Olas. I taka była prawda. Po studiach nie chciałem pracować w „Lubuskiej”, zależało mi na pracy w „Nadodrze”, ale tam z kolei Kajan, ówczesny naczelny, mnie nie chciał. Dlatego wyjechałem do Suwałk. Po latach zresztą okazało się, że była to dobra decyzja.

W każdym razie po przyjeździe do Zielonej Góry ze wschodu Polski, z Suwałk i z Białegostoku, gdy w 1992 r. zatrudniłem się w „Gazecie Lubuskiej” i usiadłem raz z Żenią na korytarzu, żeby powspominać, potwierdziła Dębkową wersję tej śmiesznej historii. Ale wówczas, gdy przeszedłem z „Gazety Nowej” do „Lubuskiej”, ona akurat odchodziła na emeryturę. Właśnie wtedy zaczynała tworzyć swą nieśmiertelną – jak się później okazało – Snobkę, bo czuła się życiowo niezbyt zagospodarowana. Ale też i w tym okresie początku lat 90. zaczęła bywać w naszym Ogrodzie Sztuk w Wilkanowie. Nie opuściła żadnego wydarzenia. Zdecydowana większość jej relacji znalazła się potem w felietonach Snobki *I ja tam byłam...*, pisanych pięknie, kunsztownie, znakomitą polszczyzną „jagiellońską” (ukończyła krakowski UJ). Po latach, gdy ze względu na stan zdrowia znalazła się w Domu Kombatanta, przygotowałem na podstawie ok. 500 tychże felietonów książkę Żeni Pawłowskiej. Promocja dzieła w Bibliotece Norwida była dużym wydarzeniem w Zielonej Górze. Wtrąć nieskromnie, iż miałem przyjemność prowadzić to niepowtarzalne spotkanie. Rok później pozycja *I ja tam byłam...* zdobyła bezapelacyjnie Lubuski Wawrzyn Literacki.

Zbliżyły nas zatem wizyty Żeni w wilkanowskim Ogrodzie Sztuk, ale też współpraca w ramach pisma „Komunikaty”, na wydawanie którego pozwalał ówczesny prezes Lubpressu Mirosław Rataj, czyli naczelny „Gazety”. Był to początkowo „organ” klubu dziennikarza „Pod Kaczką”, który z czasem rozrósł się do dość sporego periodyku kulturalnego. Mało tego, za teksty w „Komunikatach” Rataj płacił. A że Żenia potrzebowała na emeryturze trochę grosza, namówiłem ją na pisanie czegoś w rodzaju kroniki kulturalnej. Zatem pisała do „Komunikatów”. I tak to się między nami spokojnie przędło, aż do czasu jej niespodziewanego wylewu, gdy z domu przy dawnej ul. Marksa (teraz Pod Filarami) trafia do wspomnianego Kombatanta. To był graniczny moment w naszych kontaktach. Naszych, czyli żony i moich. Bo Żenia straciła wówczas „apetyt na życie”, była zrezygnowana i bezwładna, także dosłownie. Wymagała opieki lekarza, rehabilitanta, ale również normalnych kontaktów z przyjaciółmi. I chwala tym, którzy jej wówczas nie opuścili, którzy nie wystraszyli się schorowanej, znękaney życiem, momentami kapryśnej kobiety. Główna w tym zasługa mojej żony, Lidii, z którą Żenia dużo wcześniej zaprzyjaźniła się w ramach klubu charytatywnego Kiwanis. Obie przez lata pomagały ubogim dzieciom. Gdy zatem Żenię dopadł ów wylew, Lidka nie opuściła jej i pociągnęła też mnie. W tej właśnie chorobie, po wylewie zacząłem dość intensywnie „nachodzić” starszą koleżankę po piórze, żeby przygotować jej felietony do druku, żeby zrobić z nich książkę. Początkowo niechętna, a dokładniej bezwolna, niezbyt zainteresowana, wycofana z życia, Żenia powoli, powoli zaczęła się jednak wciągać, coś podpowiadać, a z czasem pomagać w pracy nad dziełem jej życia. Później okazało się, że ta cała nasza akcja – czego efektem była mobilizacja wielu przyjaciół i znajomych Żeni, a wreszcie wydanie książki za naprawdę uczciwie zebrane społeczne pieniądze – postawiły redaktor Pawłowską na nogi. Dosłownie. Stała. Ożyła, wyszła i coraz częściej wychodziła z Kombatanta. To było piękne. I mimo dołków, trochę gorszego zdrowia, Żenia w tej formie, postawiona za pośrednictwem własnej książki na nogi, dotrwała do końca. Żal, że nie mogła zostać z nami choć jeszcze trochę... Cholernie mi jej brakuje.

Perełki z felietonów E. Pawłowskiej

- Piszę ten felieton z resztkami brokatu na głowie, bo nie dają się tak łatwo wyczesać [119].
- Publiczność – jak na tak brzydki dzień – dopisała całkiem nieźle. Zaraz koło mnie siedział sennie, razem z tatą, śliczny synek [...]. Nie bardzo wiedząc o co chodzi. Święty chłopczyk [77].
- Lubuskiemu oddziałowi Związku Literatów Polskich stuknęła czterdziestka. Prezes Eugeniusz Kurzawa wbił się nawet w garnitur, chyba ślubny. Na ścianach i wokół literaci. Siedziałam onieśmiona jak rzadko [146].
- Łągów bywały jest w świecie bez ruszania się z miejsca [49].
- Mimo wolnej niedzieli czuję się jak górnik po ciężkiej szychcie [115].
- Święta. Z ich powodu zwariowałam i nabyłam wino papieskie [118].
- Tego roku winobraniowa Zielona Góra wyglądała jak zmokła kura [134].
- Był to pomysł pani Beaty Bartosiewicz. Kabaret miała we krwi po swojej mamie red. Halinie Ańskiej. Teraz chciała „U Jadźki”. A Jadźka – czyli Jadwiga Bocho-Kokot na to sama jak na lato. Sama chciała na scenę. No i żeby jej galeria miała nerw [227].
- Wybory, wybory, aż strach żelazko włączyć. Żeby nie wyskoczył z niego jakiś kandydat z gruszkami na wierzbie [21].
- Wizytę Williama Whartona w Zielonej Górze poprzedza zbiorowa egzaltacja [73].
- O, Boże, Żyd na franciszkańskim festiwalu? – zdziwił się ktoś, jakby to miał być koniec świata [123].
- „No, wystarczy zawadzić czubkiem buta o krawężnik w kiepsko oświetlonym mieście, żeby wyglądać na kobietę upadłą lub z mężem złym” [148].
- Piszę drapiąc się tu i tam. Nie, w żadnych krzakach nie byłam. Weszłam tylko do galerii BWA, żeby poobcować ze sztuką. Żłotniczą [140].

[Cytaty ze zbioru: E. Pawłowska, *I ja tam byłam...*, Ochla 2008]



Romana Kaszczyc (1938–2016)

Romana Kaszczyc, znana też jako Roma Barlinecka, człowiek wielu pasji, wszechstronna artystka i pisarka, urodziła się 25 maja 1938 r. w Kopczyńcach na Podolu. Po ukończeniu w 1962 r. studiów w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych we Wrocławiu, postanowiła na stałe zamieszkać w Barlinku, do którego po raz pierwszy trafiła z teatrem studentkim. Tutaj przy Zakładowym Domu Kultury „Panorama” założyła Ognisko Plastyczne, a w 1975 r. autorską Pracownię Ceramiki Unikatowej dla dzieci i dorosłych. Specjalizowała się w ceramice, tworząc „ciamarajdy”, ale także zajmowała się innymi formami plastycznymi – malarstwem sztalugowym, rysunkiem, grafiką, scenografią, ilustrowaniem książek, tworzyła znaki i projekty graficzne, m.in. logo Pegaza dla kwartalnika „Pegaz Lubuski”.

Była także poetką, pisarką, dziennikarką, autorką tekstów piosenek, animatorką życia kulturalnego w Barlinku, współzałożycielką Towarzystwa Miłośników Barlinka i gazety regionalnej „Echo Barlinka”. Przez długi czas pisała felietony do tego periodyku zatytułowane *Szkice ptasim piórem*. Zadebiutowała literacko w 1984 r. na łamach „Ziemi Gorzowskiej”. Przez lata była związana z lubuskim środowiskiem artystycznym i literackim. Projektowała okładki i ilustrowała książki poetyckie ukazujące się w serii Biblioteki Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, a także własne tomiki poezji oraz zbiory legend i baśni. Jest autorką ośmiu książek i dwóch monografii. Wydała trzy zbiory wierszy, myśli, powiastek prozatorskich: *Dziennik liryczny* (GTK, Gorzów 1988), *Imię czasu* (Rolland, Gorzów 1996), *Nie naprawiajcie zegara* (Wyd. Teatru Kana, Szczecin 2002); zbiory baśni, legend i opowieści:



Romana Kaszczyc

Duchy z puszczy rodem. Legendy i baśnie z Barlinka i okolic (ZMiG Barlinek i WAG Arsenał Gorzów 1996), *Kiedy kruk biały* (Oficyna In Plus, Wołczkowo 2002), *Barlinecka niezapominajkowa legenda* (TMB, Barlinek 2004), zbiór sześciu pojedynczo wydanych w formie turystycznej *Barlineckich legend* (Barlinek 2004), *Baśń o Królowej Puszczy Barlineckiej* (PPHU Zapol, Szczecin 2006) oraz *Przelewickie opowieści. O duchach, diabłach i demonach* (Gmina, Przelewice 2008). Ponadto była autorką monografii – o chórze „Halka” działającym przy Barlineckim Ośrodku Kultury i o Towarzystwie Miłośników Barlinka, wydanej w 2009 r. z okazji 40-lecia powstania TMB.

W jednym z wywiadów artystka powiedziała o swojej twórczości: „Przywiązuję ogromną wagę do dyscypliny artystycznej, ale z drugiej strony na ogół

miałam więcej do powiedzenia niż mogłam wyrazić w ceramice, rysunku czy obecnie w malarstwie. Pewnie właśnie dlatego zaczęłam notować swoje przemyślenia i tak powstał *Dziennik liryczny*. Z tego samego źródła rodzą się moją wiersze”.

Ponad 20 lat temu artystka ze względu na chorobę zarzuciła ceramikę artystyczną i poświęciła się wyłącznie pisaniu, ilustrowaniu i malowaniu. Spod jej pióra wyszło 95 baśni i legend poświęconych miejscowościom, osadom i miejscom obszaru zachodniopomorskiego, pomorskiego i północnego pogranicza województwa lubuskiego.

Jej baśnie oparte były na dokumentach historycznych Barlinka, często nawiązywały do demonologii słowiańskiej, starogermańskich wierzeń czy wspomnień z dzieciństwa spędzonego na Kresach. Stąd w jej utworach pojawiały się demony, leśne duchy, rusałki, nimfy, topielice, utopce, wodnice, wiły, wilkołaki, czarownice, upiory, baboki, mamuny, czarty, guślarze czy koboldy i skrzaty. Opisywane przez Kaszczyc miejsca to najczęściej urokliwe, malowniczo położone oraz pełne grozy i tajemnic jeziora, puszcze, buczyny, wyspy znajdujące się na jeziorach, młyny wodne, głązy i wzgórza, rzeczki i źródła, występujące wokół takich wsi i osad,

takich jak: Brunków, Okunin, Krzynka, Karsko, Lutówka, Wierzbnica, Pótleb, Przelewice, Koszykowy Dwór, Lubniewice oraz większych miejscowości i ich okolic, np. Barlinek, Pełczyce, Recz, Gryfice, Szczecinek, Myślibórz, Darłowo, Pyrzyce i Choszczno. Swoje opowieści zwykle ilustrowała barwnymi rysunkami przedstawiającymi rozliczne demony, duchy, widziały, zjawy, wodniki lub anioły, dusze i postacie ludzkie bądź historyczne. Podobnie czyniła też z tomikami poezji i prozy lirycznej, które ozdabiała metaforycznymi obrazkami i rysunkami w formie czarnej, surowej, niepokojącej kreski, zbliżającej jej technikę do stylu kubistycznego i surrealistycznego.

Za swoją pracę artystyczną Kaszczyc otrzymała wiele nagród i odznaczeń, m.in. Order Uśmiechu, Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski, Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, Medal „Pro Arte”, Nagrodę Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży. Miała w dorobku około 100 wystaw w kraju i za granicą, ponad 100 spotkań autorskich, konferencji i wykładów przeprowadzonych w Polsce i Niemczech. Wzięła udział w ponad 40 audycjach telewizyjnych i radiowych, a zespół *W drodze* nagrał kasety z piosenkami do jej tekstów. Współpracowała z wieloma instytucjami kultury w Polsce i regionie. Była członkiem Narodowej Rady Kultury. W 2011 r. w Europejskim Centrum Spotkań w Barlinku otworzyła swoją galerię z pracownią, a rok później w Barlineckim Ośrodku Kultury obchodziła 50-lecie pracy twórczej, w trakcie którego okrzyknięto ją Królową Barlineckich Artystów. Była bowiem artystką kompletną i twórczo spełnioną.

Roma Kaszczyc po długiej i wyczerpującej chorobie zmarła 22 maja 2016 r., mając 78 lat. Trzy dni później urna z jej prochami została złożona na cmentarzu w Barlinku, w jej ukochanym mieście.

BIBLIOGRAFIA:

K. Kamińska, *Leksykon literatury gorzowskiej*, Gorzów Wlkp. 2003.

Nastawię zegar od nowa – wywiad K. Kamińskiej z R. Kaszczyc, „Ziemia Gorzowska” 1992, nr 41.

R. Rudiak, *Baśń Zielacka na Ziemi Lubuskiej po 1945 roku*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2015 (praca podyplomowa).



Romana Kaszczyc na wernisażu (z lewej)

Jan Muszyński (1932–2017)

Dopiero po śmierci znanych nam osób, już wyzbyci doraźnych ocen, myślimy sprawiedliwiej o ich dokonaniach. Taka jest prawidłowość. Nie da się bowiem wtedy nie pokusić o obiektywny obraz. Zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś, kto odcisnął swój ślad wyrazistą osobowością oraz znaczącym materialnym dokonaniem. Kto zetknął się z Janem Muszyńskim (urodzonym w Gnieźnie, 1932), wieloletnim dyrektorem Muzeum Ziemi Lubuskiej (22 lata), a wcześniej wojewódzkim konserwatorem zabytków, czy sekretarzem LTN-u, ten zapewne przyzna mi rację, że w odniesieniu do niego są to słowa jak najbardziej słusznie. Teraz nastąpił szczególnie czas, bo śmierć (11 stycznia 2017) już zamknęła rozdział życia tego człowieka o bogatej, barwnej biografii. Zresztą, nie od rzeczy będzie zauważyć, że oto jesteśmy świadkami odchodzenia ludzi minionej, mijającej wraz z nimi definitywnie, epoki.

„Wszyscy umierają” – zauważył niedawno w tonie zatrwożenia mój kolega. Tak. Pokolenie urodzone w pierwszej połowie XX wieku, szczególnie w czasie tuż przed drugą wojną światową, właśnie odchodzi. Można rzec: tłumnie. Pełno nekrologów. Ci przeciętni i ci ponadprzeciętni. Jest to bez wątpienia dramatyczny moment, bo wraz z nimi odchodzą wielkie sprawy dziejowych przeżyć, doświadczeń i przemian, w których uczestniczyli. Te życiorysy są niebagatelne. Rozległe najczęściej i skomplikowane. Warte spisania. W nich jest zaznaczony oddech czasu, trud, odwaga, ideały, postawy, często też cierpienie. Czas nigdy nie był łatwy, teraz jest innego rodzaju – też niepozbawiony konieczności wysiłku, mądrości, rozważ, szlachetności, lecz ten już mocno idący w cień przeszłości był szczególnie, bo cechowały go niebezpieczeństwa, trudny cywilizacyjny i ostracyzmy

ideologiczne. Wymagał od każdego człowieka decyzji fundamentalnych moralnie, skomplikowanych strategii życiowych, rozstrzygnięć sumienia. Często decydujących o biologicznym przetrwaniu. Oczywiście można było w nim uczestniczyć. Uczestniczyć, mimo ograniczeń, niekoniecznie oportunistycznie, lecz właśnie mądrze, humanistycznie, na ile się tylko dało zachować swoją prawdziwość, autentyczność i swoje wartości duchowe. Tyle, ile się dało. I dać taką szansę także innym, podobnym sobie. Takim właśnie był Jan Muszyński. I to na polu wydawać by się mogło mało ideologicznie efektywnym, wydawać by się mogło na poboczu publicznego nurtu, nie w wielkim zakładzie produkcyjnym, nie w mediach, nie w polityce, ale w muzeum, o którym zawsze mówiło się, że jest się tam poza czasem, spokojnie, zaciśnie, pośród archiwalnych, pokrytych kurzem eksponatów, i nic się w zasadzie nie dzieje. Czas stoi. Ale w tym Muzeum za jego czasu kształtowały się indywidualności, co przekładało się na rozwój tej placówki. Tu niejeden człowiek rósł, dojrzewał zawodowo. Szedł ku czemuś nowemu. Muszyński budował po temu dobry klimat.

Cechowała go życzliwość dla pomysłów i ambicji. Taką miał opinię. Nie zamykał bowiem, lecz – co było jego najważniejszą chyba intencją – otwierał ludzi, więc zachęcani taką postawą, zwłaszcza artyści, garnęli się do niego. Wchodzili w świat, w myślenie nowoczesne o sztuce, o pracy, a to dawało szansę podwyższania swojej pozycji. On sam był swój, bezpośredni, z poczuciem humoru, dowcipny, błyskotliwy. Racjonalista w każdym calu. I nieprześcigniony w oratorskich popisach, ze znajomością łaciny. Ale i piękne potrafił zaskakiwać – publicznie, prywatnie – gwarą wielkopolską. Z premedytacją

łamał urzędnicze konwencje. Nie usiłował być schematyczny w tej materii.

Nigdy nie przypuszczałem, ani nawet nie wyobrażałem sobie, że na kilka lat trafię do tej właśnie placówki, czyli do okazałego gmachu przy ulicy Niepodległości 15. Stan wojenny skomplikował i moje życie. Po zwolnieniu z „Nadodrza”, zaledwie pół roku miejsce zagrzałem w bibliotece. Gubiłem się w nudnych, nużących bibliografiach. Dano mi tylko pół roku. Skończyło się i to, i znowu był bruk. Nie wiedziałem, gdzie mogę trafić – absolutnie. Za sprawą wstawiennictwa doktor Teresy Gierko, solidnie przez nią zdopingowany, poszedłem do Jana Muszyńskiego. Przyjął mnie. Wiedział, jakie mam poglądy, byłem przecież po solidarnościowej stronie, a on partyjny. Umiął spojrzeć szerzej, bez jakichkolwiek uprzedzeń, a nawet z ledwo skrywaną akceptacją. To mnie zachęciło. Ostrzegano Muszyńskiego, jakiego to człowieka przyjmuje. Z jakimi poglądami. A on na to: „Dobrze, że ma poglądy”. Wiem, bo mi o tym powiedział. W tym samym czasie złądował tu z BWA także Wiesław Myszkiewicz za podobne do moich sympatie polityczne. Myszkiewicz został kierownikiem działu historycznego, a ja niepełnoetatowym pracownikiem, z ustalonym dla mnie zadaniem gromadzenia literackiego archiwum lokalnego życia literackiego. Tak chciałem.

Pewnie Andrzej Buck pamięta, jak go namolnie indagowałem o archiwalne egzemplarze studenckiego pisma „Faktor”, które mi przyniósł. I innych kolegów po piórze indagowałem o różne literackie rzeczy. A ja cieszyłem się, gdy coś zdobywałem, może do

przyszłego muzeum Miasta, o czym przebąkiwano, które jednak nie powstało.

Najpierw mieliśmy z Myszkiewiczem swoje biurka i krzesła w gabinecie, który zajmował zastępca Muszyńskiego Kwapiszewski. Często w nim nieobecny, a z powodu wybuchłej wtedy skandalicznej afery ze starodrukami, starymi mapami i eksponatami muzealnymi o historycznej wartości (antyki) – w końcu zupełnie nieobecny. Z rozpraw sądowych reportaże w „Nadodrze” pisywał Alfred Siatecki, co można sprawdzić. Ja również biegałem na posiedzenia sądowe i zdawałem Muszyńskiemu relacje. Sytuacja była trudna. W tym czasie nasz historyczny kąt został przeniesiony na piętro, do dwóch pokoi na końcu korytarza. Tu już panowała cisza niemal absolutna, ozdabiająca, do woli mogłem przypatrywać się wiosennym rozkwitom zaokiennych kasztanów, jesieniom, zimom, ptakom przysiadającym na blaszanym parapecie. Dobiegały dziecięce głosy z pobliskiego przedszkolnego placu. Czasami udawało mi się nawet coś swojego na kartce napisać.

Każdego dnia pokonywałem schody i długi korytarz. Tu dzwonił do mnie Michał Kaziów w swoich pisarskich potrzebach, kiedyś zajrzał Mietek Warszawski. Czasami szedłem z torbą wypchaną kupionymi dla domu bochenkami chleba. Wzbudzało to „wypchanie” podejrzenie niektórych. Muszyńskiemu doniesiono, by zasiał w nim ziarno nieufności. Ale zostałem wzięty w obronę. Myszkiewicz namiętnie czytał książki, często dyskutowaliśmy na różne światopoglądowe i kulturalne tematy. Naprzeciwko był dział sztuki współczesnej. Tam zaglądałem, a nawet lubiłem



Jan Muszyński (pierwszy z lewej)



Jan Muszyński (pierwszy z prawej)

zaglądać, do tego grona młodych ludzi, ciągle będących w ruchu, gdyż nieustannie przygotowywali jakieś wystawy, gościli artystów, ale mieli do mnie życzliwe podejście, co pozytywnie mnie usposabiało. Poznałem ezoteryczną, wyemancypowaną Anię Ciosk, muzę skandalizującego gorzowskiego malarza Andrzeja Gordona, któremu pozowała do aktów, co można sprawdzić. Wówczas też poznałem Leszka Kanię, dzisiaj będącego dyrektorem tejże placówki, także Armada Felchnerowskiego, który po jakimś czasie z Polski wyjechał do Niemiec, z niewiadomych mi bliżej powodów. I tam działa (chyba) na niwie sztuki.

Klimat był dobry, chłonałem nowe rzeczy, czegoś się tu od ludzi nauczyłem. Zupełnie mimowolnie. Choćby zwykłego spotykania się na korytarzu i wymienia-
nia spojrzeń i kilku zdań. Zupełnie poza nastrojami otaczającego świata. Odwiedzałem ekslibristę, mistrza linorytu Stanisława Parę, przyjazną Danke Cyganek, czasem również Izabelę Koniusz w jej gabinecie obok, zawiadującą działem wydawniczym. Na samym początku zostałem przez Janka (jak to dzisiaj wszyscy mówią) oprowadzony po całym Muzeum. Jego celem było zapoznać mnie z kształtem muzeum poświęconego sztuce, który on wymyślił i przekształcał konsekwentnie według własnej wizji. Czułem, słyszałem w jego głosie, jaki w nim zapał, fascynacja, jaka pewność, że tworzenie piękna to wielka sprawa. Szliśmy od galerii do galerii. To było jego dzieło. O każdej z nich potrafił i chciał w swej narracji coś mi odrębnego przekazać. Nie brakowało mu inwencji. W każdym razie infekował mnie, jeśli tak można rzec, sferą mało mi wtedy znaną. Wcho-

dziłem przy jego pomocy w świat artystów. Poniekąd i w swój świat, tyle że innymi jakby drzwiami.

Najwięcej czasu spędziliśmy w Galerii Maria Kruczka i najciekawsza była jego o niej opowieść. Lubił ją najbardziej. Utożsamiał się z jej przesłaniem. Mówił o tym krakowskim artyście, o jego pracy i obyczajach. Muszyński wskazał na wywyższenie przez artystę codziennych, zwykłych, porzuconych przez ludzi przedmiotów, znajdowanych na śmietniku – i to trafiało do mnie. Czułem, że jestem u siebie. Widziałem tu świątynię ocalałej wiejskości. Sprzęty domowe, końskie uprząże, podkowy, koła, łańcuchy. Z małości uczyniony wielki świat. Niektóre sprawy rozumiałem, a inne nie. Ale to ówczesne, teraz przywołane, wędrowanie po różnych salach potem przydało się i zaowocowało nowym wyzwaniem.

Poza zadeklarowanym w obowiązkach zbieraniem dokumentów literackich, jakichś rękopisów, listów, autografów literackich, fotografii (pojechałem np. do Warszawy po kopie utworów Papuszy) przyszło nowe zadanie. Muszyński wymyślił, że będę sukcesywnie o tych wszystkich galeriach pisał teksty, takie jakie chcę. Że dodam do tego wiersz, że wybrane zostaną fotografie eksponatów. Miałem wolną rękę. I tak powstało kilka folderów, do których dołączyłem wiersze: Tadeusza Nowaka, Urszuli Kozioł, Ewy Lipskiej i innych poetów. Przekraczałem kolejny próg. Foldery drukowane na kredowym papierze dość długo jeszcze po moim odejściu (na bruk) były w użyciu. Kolejna rzecz, która się w tamtych latach urodziła, jedna z piękniejszych, to seria poetycka bogato ilustrowana kolorowymi fotografiami ma-



Jan Muszyński (stoi drugi z lewej)



Jan Muszyński (stoi)

larstwa będącego w zbiorach. Kolorowe zdjęcia do tych wydań w swojej pracowni wykonywał Marek Woźniak. Zrobił mi przy okazji świetne portretowe zdjęcia. Seria była niskonakładowa, numerowana, bibliofilska. Poeci zareagowali natychmiast – Koniusz, Szyłkin, Warszawski, Morawski, Tokarska, Kwapisiewicz, Waśkiewicz. Jakżeby inaczej. Te unikatowe zbiorki były wydarzeniem. Cacka wydawnicze. Z oryginalnymi wstępami Janka Muszyńskiego. Powinno się o tym wszystkim w porządnej monografii napisać. I to jak najszybciej.

Pasja wydawnicza była znakiem radości Muszyńskiego. Mojemu zbiorowi wymyślił tytuł *Pokaż się tobie*, co przyjąłem nieco sceptycznie, gdyż nie od razu dotarła do mnie jego idea. Okazało się, że Armand znalazł notes z wierszami swojego ojca – Klema. I też ukazał się zbiorzek.

Muszyński chciał obcować całym sobą ze sztuką, bo wiedział doskonale, że choć ona jest najsłabsza, to mimo wszystko zwycięża rzeczywistość. Ale też może jeszcze więcej chciał do głębi zapisać siebie. Dotrzeć w ten sposób do swojej pełni. Na tym mu bardzo zależało. Zwracał się więc w stronę słowa. Jego dojrzałość duchowa tego się domagała. Swoje słowo autorskie, bardzo mocno zakorzenione w jego wyobraźni, wiedzy, miłości do artystów, w psychice i w rozmaitych biograficznych doświadczeniach, przenosił na karty także w przygotowywanych i wydawanych katalogach plastycznych. Naznaczonych pietyzmem jego pracy. Tak. Wyrażały te publikacje obcowanie z dziełami artystów, z poetami, ale też jako autor dążył w swojej treści do objęcia jakiejś całości biografii.

Potem do działu historycznego została przyjęta poetka Dorota Kozanowska. I mój czas w muzeum się skończył. W domu na chleb czekało troje małych dzieci. Nieodwołalnie stanęły przede mną nowe wyzwania.

Jak wiemy, zostawił Muszyński po sobie cztery tomy dzienników. Prowadził je w przekonaniu, że coś w ten sposób ze swego życia autentycznie ocala. W czytany zupełnie niedawno blogu, pisanym z rozmachem już na emeryturze, spędzanej u córki w Poznaniu, dostrzegłem tę samą zachowaną dbałość o szczegółowe ukazanie szerokiego obrazu człowieczego losu. Literalnie przytaczał słowa, zda-

nia i dokładnie opisywał zdarzenia. Tak nikt w Zielonej Górze nie potrafił. Miał niezawodną pamięć, jak na dokumentalistę przystało. Rzeczy często drobne nie mogły ująć jego uwadze.

Leszek Kania mówił niedawno, że pracę zamieniał w zabawę, w radość, w fascynację. To prawda. I że czas życia, 22 lata spędzone w Muzeum, były dla Jana Muszyńskiego czasem najradośniejszym. Iluż artystów tu ściągnął, ile dzieł polskich malarzy zostało pozyskanych do zbiorów, ilu ludzi czymś ważnym natchnął. Widać to wyraźnie w tekstach o Felchnerowskim, Łuniewiczzu, Szpakowskim, miejscami brzmących wyjątkowo przejmująco, choćby tylko w dokumentacyjnej warstwie, mającej na uwadze prawdę.

Do tego pobieżnego rysunku jego osoby trzeba koniecznie dodać jego, powiedziałbym, pomnikowe zasługi, polegające na odważnym ocaleniu przed rozbiórką, według komunistycznych dyrektyw płynących z Warszawy, ponad setki zabytków architektonicznych na Ziemi Lubuskiej – pałaców, zamków, kościołów, ratuszy (w Żaganiu, Żarach, Gubinie, Gościkowie, Kożuchowie...). To trzeba pamiętać, bo byłibyśmy dzisiaj z ich wspańiałości haniebnie ogołoceni, gdyby nie mistrzowskie, pełne heroicznego poświęcenia w tej dziedzinie i odważne staranie Jana Muszyńskiego. Mówił o tym pośród śnieżno-świeotlistego krajobrazu styczniowej zimy jego przyjaciel z Gniezna, ze studiów na historii sztuki w Poznaniu, Stanisław Kowalski. Wszystko, albo prawie wszystko, co związane z Muszyńskim, nie było bagatelne.

Był silną osobowością, ale nie wolną od słabości. Miał do ludzi podejście kumpłowskie, lecz potrafił zdecydowanie reagować i szorstko używać swej władzy, gdy jakieś granice zostały przekroczone. Umiał mocno hołubić niektóre swoje ulubione osoby, ale i ostro odsłaniała się druga strona jego osobowości. Potrafił wtedy traktować kogoś obcesowo czy nawet brutalnie. To nie był człowiek jednego, uporządkowanego poziomu emocji lub stylu bycia. Jego duchowe „ja” z lotów w sferze bardzo wysokich sublimacji niekiedy przechodziło w dość niskie poziomy. Więc i opinie o Janie Muszyńskim były i są różne. Jak sam przyznawał: są we mnie diabły i anioły. Moim zdaniem, anioły miały nad diabłami w nim jednak przewagę.

Kolumbijski poeta wśród polskich literaturoznawców i wielbicieli poezji

W październiku 2015 r. Winston Morales Chavarro był gościem WiMBP w Zielonej Górze. W ramach swojej wizyty w Polsce odbył spotkania autorskie także m.in. na Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Podczas spotkania w Poznaniu – na dzień przed wieczorem autorskim w Zielonej Górze – miałam okazję po raz pierwszy zetknąć się z twórczością poety. Dzięki temu, że spotkanie odbyło się na Wydziale Neofilologii, pojawiło się na nim więcej wątków literaturoznawczych niż podczas wieczoru poetyckiego w Zielonej Górze. Autor opowiedział wtedy o swoich literackich inspiracjach, wśród których znajdują się tak wielkie nazwiska poezji latynoamerykańskiej jak Amado Nervo, César Vallejo, Vicente Huidobro, Gabriela Mistral czy Alejandra Pizarnik, a także podkreślił swoje szczególne zainteresowanie kulturą i literaturą polską, zwłaszcza twórczością Wisławy Szymborskiej. Na drugi dzień, po spotkaniu w WiMBP, miałam okazję nawiązać z autorem interesującą i miłą rozmowę odnoszącą się do tematów z dnia poprzedniego. Jak się okazało, był to początek niezwyklej literackiej przyjaźni, która zainspirowała mnie do tego, by zająć się przekładem



Winston Morales Chavarro

poezji. Podczas drugiej wizyty Winstona Moralesa Chavarro w Polsce – w styczniu 2016 r. – miałam zaszczyt być jego przewodniczką po Poznaniu, a także po polskiej kulturze. Niniejsze tłumaczenia są pierwszymi opublikowanymi przekładami dzieł tego poety na język polski.

IX

Gdy wieczór rozszczepia czereśni drzewo
Tylko okno pozostaje,
Przepaść niewielka, co wygląda za horyzont.
Każdy pąk owocu jest jak alkowa na firmamencie,
Okazała sypialnia,
Gdzie drżące mijają lata.
W tych pokojach chłonie się świat,
Woń owoców, co nie więdną,
Co uparcie wciąż perfumują noc.
Z tego okna widzę, jak śpiewają ptaki
I myślę, że życie jeszcze jest piękne, aby z nimi zapłakać.

(z tomu *¿A dónde van los días transcurridos?*)

XVII

Tezeusz

Ariadno,
Co poprzez sen
Labirynty uplotłaś wśród cieni,
Co me ciało cudzoziemca obszyłaś
Tysiącem wątków, komet i dróg,
Domów sto utkałaś, by przeżyć tę śmierć
Co marzy o życiu mniej żmudnym.
Ariadno
Kilometry muzyk i sfer
Wątek, żywic i strof,
Ariadno metaliczna
Tak dla bryzy i deszczu gościnna,
Dla pulsowania gwiazd.
Ty, co poprzez sen
Wierzchem zesłałaś
Kamienie i chrząszczy blask,
Co poprzez język i splot konopny twych furii
Nakreśliłaś wiersze czytelne w tym życiu
I w tym drugim, którym nie żyłaś jeszcze
I w tej śmierci
I w tej drugiej mniej żmudnej
Co wciąż uparcie zwleka.
Ariadna
Córka Minosa, Króla Krety,
Przędka milczeń i ech
Ariadna i jej poszukiwania bezustanne
Czemu uparcie wciąż snujesz opowieść w mej pamięci?

(z tomu *Camino a Rogitama*)

XVII

Śmierć

...Mężczyzna słucha jazzu w swym biurze,
To może być on,
Ale jest kimś innym.

Mężczyzna wyęży słuch,
Wysłuchuje się w śmierć,
Przenika odbicie muzyki prądowej,
Przebrzmiały.

Mężczyzna widzi swą śmierć poprzez muzykę
Autumn Leaves,
Ahmada Jamala.
Muzyka zawsze tak pachnie,
Przywołuje woń,
Esencję,
Brzmienie, co duszę zagłusza.

Muzyka łamie, co nie do pokonania
Burzy, co nie do złamania
Śmierć jest muzyką,
Powrotem tam, gdzie ścieżki.

Mężczyzna słucha jazzu w swym biurze,
Być może to on,
Ale jest kimś innym,
To wie na pewno.

Arpeggio uderza go w twarz,
Kruszy zęby.
Pewna muzyka,
Pewna piosenka,
Pewien mężczyzna.
Śmierć strzeże swych sekretów,
Pyrrusowych zwycięstw...

(z tomu *Temps era temps*)

XX

Sen

Z tej samej materii, z której przędzone są sny
Moje życie jest zawieszone
Na nici światłocienia magicznych wizji.
Tak mówił Szekspir
I Calderón, i Holberg, i Zhuangzi;
Życie jest snem,
Może wielowiecznym odbiciem gwiazdy
Której światło
Tylko w tej nocy godzinie
Nasze świece rozpala
Czy też echa najbardziej milczące.
Nieopodal
W ogrodzie jedwabistych jabłoni,
Gdzie cień i zwierciadło grzęzną
Znajdują się innych zwidzenia
Sny tego, który drzemie,
Trzoda tego, który przędzie za nas.
Czym bardziej czytelny sen
Tym pewniejsze istnienie i obraz Tanatosa.
Nagietki, noc
I wszystko, na co patrzę
Postrzegam poprzez optykę i jej taflę
(kosmiczny i uświęcony kontekst snów).
Rozliczne energie podróży
Nabierają życia na jawie
I mieszają się,
Jak zapach z Golgoty lub z Chin
Którego esencja jest bardziej żywotna
W godzinie Plejad i świerszczy.
Z lekkością totalności,
Z powolnością wieczności,
Z lotnością eteryczności
Tak sen przychodzi do nas:
Semicki ptak
Co czasem przysiąda na ramionach lub głowach
I nasze imiona powtarza
Jakby pamięć
Była Sezamem
Który dawno temu zamknęliśmy.

(z tomu *De regreso a Schuaima*)

w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Anna Kowalczyk

Najmłodsze pokolenie artystów. Ania, uczennica szkoły podstawowej, trafiła do mojej pracowni, by poznawać pierwsze tajniki rysunku i malarstwa. Polubiłam spokojną i cierpliwie wykonującą prace malarskie Anię. Dziś po studiach uniwersyteckich na Wydziale Artystycznym dołączyła do młodych gniewnych. Posiada dużą wrażliwość, stąd mój ekslibris z 2005 r., zachęcający do pracy twórczej.



Aleksandra Mańczak

Poznałyśmy się w nietypowej sytuacji. Dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej, dr Jan Muszyński, połączył w tym samym czasie dwie wystawy autorstwa kobiet, jak sam mówił – dynamicznych i wyrazistych. Co to znaczyło? Ola była prorektorem ASP w Łodzi, a ja byłam dyrektorem BWA w Zielonej Górze. Obie, pomimo wykonywanej funkcji, godziłyśmy ją ze sztuką. Stwierdzam, że był to niezły pomysł Jana Muszyńskiego. Ekslibris wykonałam krótko przed wernisażem naszych wystaw (znalazł się na tableau z setką innych ekslibrisów). Wystawa Oli związana z arboretum – ciekawa i z pewną myślą filozoficzną nasunęła mi pomysł ekslibrisu. Zyskałam mądrą i ciekawą życia koleżankę. W ciągu kolejnych lat nasze losy twórcze przeplatały się.



Andrzej Maciejewski

Warsztat artysty grafika jest inny niż malarza. Nie-wyobrażalnie dużo potrzebujemy przyrządów, by stworzyć obraz w gradacji szarości czy czerni kontrastującej z bielą. Dla mnie cechy dobrego grafika to natchnienie i rzemieślnicza biegłość. Posiada je Andrzej Maciejewski. Pozналиśmy się na plenerze w Smolnicy w 2000 r. Ulubieniec kobiet, wspaniały kolega, zawsze namawiający do ruchu dla zdrowia, zatem sportowiec. Andrzej jest artystą z ciekawą wyobraźnią, poszukującym prawdy i dobrych relacji między ludźmi.

Prezentacje

Małgorzata Gołębiewicz



Urodziła się w 1972 r. w Żarach. Jest absolwentką Liceum Ogólnokształcącego w Żarach. Studiowała w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej (obecnie Instytut Sztuk Wizualnych, Wydział Artystyczny, Uniwersytet Zielonogórski) w Zielonej Górze. Dyplom uzyskała w pracowni rysunku prof. Jana Berdyszaka. Ukończyła także studia podyplomowe: zajęcia artystyczne, plastyka, muzyka na ASP we Wrocławiu, historia na UAM w Poznaniu. Zajmuje się sztuką, dotykając różnych jej obszarów: instalacją, obiektem, malarstwem i rysunkiem. Od zaledwie roku pisze wiersze, które publikowała na Scenie Kultury Niemasowej w „Nowych Myślach” oraz w pierwszym i w drugim wydaniu *Antologii poetów współczesnych (Wiersze sercem pisane i Miłość niejedno ma imię)*. W swojej poezji powołuje się na przestrzenie metafizyczne, w których wyraźnie odczuwa się afirmację życia, miłość do Boga i ludzi. W sztuce inspiracją jest dla niej pamięć przedmiotu, sytuacji, zdarzenia, ulotność chwili, która w niej trwa do momentu, aż znajdzie ujście w stworzonym przez nią fakcie artystycznym. W swoich pracach plastycznych, jak i w słowie namaszcza wszystko odcieniami błękitu, którego poszukiwanie postawiła sobie za cel nadrzędny. W wierszach pojawiają się strofy dotyczące poszukiwania i tęsknoty do abstrakcyjnych osób, miejsc, które nasuwa jej wyobraźnia. W jej twórczości możemy również spotkać się z „błękitnym ojcem”, spojrzeć na przestrzeń, w której dominuje „lazurowy błękit”, przechadzając się po łakach miłości do „horyzontu bez granic”.

Wystawy, warsztaty, obiekty i performances: 1997 – udział w Ogólnopolskim Konkursie na Projekt Warsztatowy pod hasłem ZE SZTUKĄ – WO-BEC SZTUKI, kwalifikacja do dwóch sesji warsztatowych odbywających się w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku; 1998 – *Porzekadło*, performance, Salon Wystaw Artystycznych, Żary; 1997 – wykład w BWA w Lesznie na temat współczesnych form i środków wyrazu w sztuce pod hasłem „Zatrzymane w czasie”; 1998 – *Partytura*, instalacja do zaduszek muzyczno-poetyckich, LUNA, Żary; 1998 – performance *Ecce homo*, klub w podziemiach LUNA, Żary; 1999 – performance *W poszukiwaniu tożsamości III*, Wieża Ciśnień, Bydgoszcz; udział w licznych warsztatach interdyscyplinarnych łączących różne dziedziny sztuki (ruch, światło, dźwięk, obraz) prowadzonych przez wybitnych polskich artystów, m.in.: prof. Leszka Mądzika, prof. Jana Berdyszaka, Janusza Bałdygę; sierpień 2016 – udział w Międzynarodowych Spotkaniach ze Sztuką, instalacje i performance na żarskim deptaku; wrzesień 2016 – wystawa poplenerowa, Salon Wystaw Artystycznych w Żarach; październik 2016 – wystawa indywidualna *Stygmaty błękitu*, Salon Wystaw Artystycznych w Żarach; październik 2016 – publikacja na Scenie Kultury Niemasowej w „Nowych Myślach”; listopad 2016 – wystawa indywidualna *Stygmaty błękitu* w WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze podczas Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej; grudzień 2016 – publikacja w *Antologii Poetów Współczesnych: Wiersze sercem pisane*; styczeń 2017 – publikacja w *Antologii Poetów Współczesnych: Miłość niejedno ma imię*.



Małgorzata Gołębiewicz, *Stygmaty błękitu*, obiekt, Galeria Biblioteki im. C. Norwida w Zielonej Górze



Małgorzata Gołębiewicz, *Stygmaty błękitu*, fragmenty ekspozycji, Galeria Biblioteki im. C. Norwida w Zielonej Górze



Małgorzata Gołębiewicz, *Stygmaty błękitu*, fragment ekspozycji, Galeria Biblioteki im. C. Norwida w Zielonej Górze



Małgorzata Gołębiewicz, *Stygmaty błękitu*, fragment ekspozycji, Galeria Biblioteki im. C. Norwida w Zielonej Górze

Kiedyś, po nas...

kiedyś po nas zostaną
tylko fotografie
sentymentalne śmieci
na dnie starej szafy

kiedyś po nas zostaną
martwe przedmioty
popielaty sweter
i dziurawe buty

kiedyś po nas zostaną
niezawiazane sznurówki
krople czasu w kranie
płaczem wypchane poduchy

kiedyś po nas zostanie
kubek melancholii
brudnej podłogi rozpacz
żał krzesła samotny

kiedyś...
po nas zostanie...
kiedyś będzie po nas...

Błękitny guzik

błękitny guzik naszyłam na serce
delektuję się brudem ziemi

zachwycam się faktem
że starość jest czerstwa
oswajam zapach pleśni

choć rachunków nie lubię
tęczowe sny liczę
napęłniam nimi marzenia

linii horyzontu nieustannie poszukuję
wzrokiem ślepym pytając dlaczego

oczy mam stale
zamglone wierszami
i nie śpią przy mnie cienie

upominają naszytymi guzikami
uciekając przed zapomnieniem

Takie buty

Niebawem w podróż wyruszę,
ale pozwól, że buty wybiorę sama.

Bez znaczenia będzie,
czy przyciasne, czy za duże,
ważne, że błękitne,
jak twój ślubny krawat.

Zamierzam odejść nie dotykając,
ziemi, piachu, ani błota.

Musnę dłonią twoją skroń,
żebyś „do widzenia” wymamrotał.

Jaki to będzie dzień?
Hmmm....
Tego nie wiem...

Może poniedziałek,
może wtorek,
być może środa?

Czwartek, piątek...
Raczej nie!
Prędzej wczesna sobota.

Poranek, w którym
bladym świtem
kogut nie zapieje.

Dzień jak każdy, ale...

Kotu nie dam jeść,
kwiatów nie podleję...

Lazurowy błękit

z lazurowych pastwisk
spłynął wstęgą błękit
owinął
opatrzył
tęczową podał rękę
piorunem uleczył
zacerował serce
sprawił że znów
tańczę
połykam wiatr
oddycham
jestem powietrzem

Niebieski dom

wyobrażasz sobie
jak będzie wyglądał
niebieski dom
jakie zawieszisz
w oknach firanki
gdzie będzie stał piec
czy znajdziesz ten kąt
z jakiego kubka
będziesz pił
jakiego koloru będzie czajnik
w którym nastawisz wodę
jaki smak chleba
czy będziesz potrafił
pokroić go zardzewiałym nożem
czy będzie tam ciepło
czy raczej powieje chłodem
czy w lustrze będzie czekać
czyjeś oblicze znajome
czy masz w sobie taką siłę
wyobrażasz to sobie

W poszukiwaniu tożsamości

Twórczość Małgorzaty Gołębiewicz można umieścić na granicy dwóch rzeczywistości: pierwszej inspirowanej obserwacją świata i ludzi oraz drugiej – duchowej, intuicyjnej opierającej się na odczuciu.

Artystka łączy ze sobą różne formy wypowiedzi artystycznej w jedną całość. Bardzo żywe zdają się być odniesienia do innych dziedzin sztuki: rysunku, malarstwa, działań z pogranicza teatru, performance, instalacji i poezji. Zatarciu ulegają granice pomiędzy poszczególnymi dziedzinami twórczości, w jakich działa. Jej prace, szczególnie najnowsze, mają charakter interdyscyplinarny, a słowo, tekst funkcjonują jako dopełnienie, ale i odrębna wartość.

Gołębiewicz od lat konsekwentnie poszukuje nowych tematów i sposobów przedstawiania podejmowanej problematyki. Inspiracją do powstania prac jest raczej refleksja na temat tego, co w danym miejscu i czasie doświadczyła i przeżyła. Z jednej strony osobisty wymiar prac, ugruntowany poprzez konkretne doświadczenia sprawia, że stają się one bardzo wyraźne emocjonalnie. A z drugiej strony poprzez taki a nie inny dobór elementów, tak a nie inaczej zestawionych ze sobą, artystka sprawia, że nabierają uniwersalnego i zarazem autonomicznego wymiaru. Konstruuje zarówno w przestrzeni otwartej, jak i zamkniętej. Przyglądając się jej poszukiwaniom, mam poczucie, że jej realizacje mają symboliczny wymiar, a zastosowane motywy są traktowane jako urzeczywistnienie konkretnej myśli. Tworząc, przekazuje istotne wartości, nie tylko czysto formalne, ale przede wszystkim będące zapisem zmieniającego się świata, relacji międzyludzkich, kondycji człowieka i jego postawy wobec spraw ostatecznych.

Małgorzata Gołębiewicz poprzez swoje realizacje przywołuje gestem, śladem OBECNOŚĆ. Mówi o rzeczach Nieuniknionych, Nieoczywistych, Niejednoznacznych, o tym, co POMIĘDZY. Już w momencie wyboru tematu zaczyna się inspirująca i angażująca wędrówka poprzez znaki, ekwiwalenty, adekwatne do tematu – wizualizacje myśli.

Oglądamy zatem, a może kontemplujemy wykadrowany odcinek rzeczywistości, który ukazuje w taki sposób, by był pretekstem do refleksji. I choć zdawałoby się, że poruszamy się z pozoru w bezsłownym świecie przedmiotów, układów form, postaci, gestów, błękitów, czerwieni czy czerni i bieli, to możemy jednak posiłkować się słowem pisanym. I nie ma chyba takiej sytuacji, by którakolwiek z warstw przesłaniała inną, np. forma ważniejsza od treści czy kształt od koloru. Prace artystki to nie tylko zapis zmagania z materią rysunkową, malarską – są wnikliwą obserwacją, kontemplacją, w której przypadek, a może i mentalny eksperyment mają także swoje miejsce.

Oglądając jej prace, można odczuwać pewien rodzaj nostalgii i smutku. Ale mam nieodparte wrażenie, że chodzi tu o coś szczególnego – o przestrzeń, która kieruje naszą uwagę w stronę człowieka. Za kurtyną słowno-malarsko-przestrzenną gry kryje się tajemnica i pytanie o naszą tożsamość. Ta sztuka jest wejrzeniem ku wnętrzu i zawiera duży ładunek ekspresji, jest metaforą. Siega do ukrytych znaczeń, nie pomijając napięć, nastrojów, i do najbardziej intymnej sfery, jaką są uczucia. Artystka świadomie przekazuje to, co ulotne i nieuchwytnie. Intuicyjnie wyczuwa najdelikatniejsze stany duszy, nadając im wizualną formę. Z jednej strony efemeryczne,

z drugiej – dramatyczne układy, elementy prac. Żyją własnym życiem zakomponowanym na płaszczyźnie i w wybranej przestrzeni miejsca.

Śledząc od kilkunastu lat twórczość Małgorzaty, wiem, że chodzi o poszukiwanie prawdy, o stan, w którym poczujemy, że potrafimy odnaleźć to, co jest dla nas ważne. Przeżywamy, a sensem staje się to, co niedopowiedziane, niedokończone; „brak” nie oznacza straty, ale kieruje naszą uwagę na istnienie czegoś, czego jeszcze nie znamy, a już odczuwamy...

Artystka porusza się w obszarze materii związanej z przestrzenią i przedmiotem. Myśli kolorem, który wybiera jako wiodący w kolejnych realizowanych cyklach: błękit, czerwień. Czerń i biel pojawiły się jako pierwsze: instalacje, zbudowane były z takich materiałów jak ziemia, mąka, popiół. Gołębiowicz konstruowała obiekty, które w symboliczny sposób dotykały problemu przemijania.

Zaanektowane przestrzenie wykorzystywała totalnie. Wmontowane białe drzwi, lekko uchylone, odsłaniały stojącą za nimi parę butów, tworząc tym

samym granicę, symboliczne przejście, wszystko podkreślone subtelnością grą światła. Kolejna praca – dwa białe drewniane krzesła ustawione w otwartej przestrzeni, jedno lekko pochylone nad drugim leżącym przed nim. To zaś zdemontowane i rozczłonkowane, zawinięte w kawałek przezroczystej folii „oddychało” skroploną parą. Proces trwał nadal – nie był to już tylko statyczny obiekt. Nasuwał jednoznaczne skojarzenia z ikonograficznym motywem piety. Przejmujące działania na zoranym polu, na pachnących grudach czarnej ziemi usypane z białej mąki posłania tworzyły niesamowitą geometryczną kompozycję. Ale nie tylko. Wreszcie nadszedł moment, kiedy sama niczym aktor stawiała się integralną częścią tych działań – performance. A wszystko w poszukiwaniu universum, sacrum. Jej kolejne prace ewoluowały w stronę konstruowania wzajemnych relacji między przedmiotami i ich semantyczną warstwą. Istotą jej twórczości pozostaje więc pamięć przedmiotu, pamięć miejsca i najważniejsza: pamięć OBECNOŚCI.



Zafascynowała mnie przedwojenna Zielona Góra

Rozmowa z filokartystą Sławomirem Ronowiczem

Kolekcjoner, regionalista, miłośnik sztuki czy biznesmen. Jak Pana przedstawić?

Jestem każdym po trochu. Dodałbym jeszcze miłośnik podróży i kibic sportowy.

Skąd się wzięła Pańska pasja? Jaki był pierwszy eksponat w kolekcji?

Ja w swoim życiu zawsze coś zbierałem. W dzieciństwie były to programy meczów żużlowych, znaczki i etykiety zapalczane, trochę później monety, ale tak na poważnie to dopiero pocztówki Zielonej Góry (Grünberg in Schlesien) sprzed 1945 roku. Nie jestem rodowitym zielonogórzaninem i wiele osób dziwi się skąd ta pasja. Pasją tą zarazili mnie moja żona Bożena i syn Jacek. Pierwszą kartkę żona kupiła na targach staroci organizowanych raz w miesiącu w Technikum Elektronicznym w Zielonej Górze. Była to kartka ze Wzgórzem Winnym i domkiem winiarskim (obecnie Palmiarnia). Było to prawie 20 lat temu. Historię Zielonej Góry zainteresował się mój syn i rozpoczął z żoną zbieranie kartek. Po kilku targach staroci w Zielonej Górze powiększyli zbiór do kilku sztuk. Nie wiem, jak to się stało, ale oglądając te stare kartki, zafascynowała mnie przedwojenna



Zielona Góra, jej architektura, mieszkańcy i ich pasje, związane szczególnie z winiarstwem. Zacząłem sam kupować pocztówki. Pomagali mi w tym syn i żona.

Skąd pochodzą kolejne pocztówki? Jak zdobywa Pan obiekty do swojego zbioru?

Zbiór zaczął się szybko powiększać. Kupowałem kartki na aukcjach internetowych (Allegro i eBay niemiecki). Zacząłem śledzić, gdzie odbywają się na terenie Niemiec giełdy starych pocztówek. Pierwszy raz pojechaliśmy z całą rodziną na giełdę do Norymbergi około 15 lat temu. Byliśmy zaskoczeni, bo kupiliśmy tam kilkanaście pocztówek, w tym kilka unikatowych. Tak zacząłem jeździć najczęściej z synem lub sam na giełdy do Niemiec, głównie do Norymbergi i Berlina. Po kilkunastu latach kolekcja powiększyła się do ponad 1000 sztuk.

Proszę scharakteryzować swój zbiór. Jak go Pan nazywa?

Nie mam określonej nazwy, ale najbardziej do tego zbioru pasuje nazwa, którą przyjęliśmy, wystawiając zbiór w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej: *Zielona Góra na pocztówkach z przełomu XIX i XX wieku*.

Czy kataloguje Pan swoje zbiory?

To, co robię, trudno nazwać katalogowaniem, ale porządkuję swój zbiór, układając pocztówki według konkretnych ulic, placów i poszczególnych obszarów dawnej Zielonej Góry lub tematycznie, np. litografie. Wszystkie kartki skanuję, nadając im numery. Jeżeli zbiór powiększy się o eksponat np. z konkretnej ulicy, wówczas numeracja się zmienia.

Które z eksponatów ceni Pan najbardziej?

Te, które było trudno zdobyć, które są rzadko spotykane, jak pocztówka przedstawiająca synagogę, seria pocztówek przedstawiających słynne Wino-branie z 1900 r.

Czy miał Pan okazję prezentować swój zbiór szerszej widowni?

Tak. W 2014 r. zorganizowałem w ramach działalności Stowarzyszenia Pro Cultura et Musica im. Edyty Stein kilka wystaw, w bibliotece wojewódzkiej, w Muzeum Ziemi Lubuskiej, w Palmiarni i na placu przed ratuszem. Pocztówki prezentowane były w powiększeniu na dużych planszach z PCV z dokładnym opisem, co się na nich znajduje. Myślę, że wystawy te w sumie obejrzało kilkanaście tysięcy osób. Fragment wystawy prezentowany był w Cottbus i w jednej z zielonogórskich szkół. W tej, w której kupiona była pierwsza pocztówka.

Tworzenie kolekcji wymaga dużych nakładów finansowych, jak sądzę...

No tak! Niestety nie jest to tanie hobby. Wystarczy zajrzeć na aukcje internetowe, aby zobaczyć, jakie ceny osiągają przedwojenne kartki. Ceny najtańszych rozpoczynają się od ok. 30 zł, a kończą...



Rozrastająca się kolekcja to satysfakcja, ale i problem z jej przechowaniem. Jak go Pan rozwiązuje?

Nie mam z tym problemu. W Niemczech można kupić specjalne albumy (klasery) do przechowywania pocztówek. Każda jest w osobnej kieszeni. Na jednej stronie jest ich sześć. Jest to praktyczny sposób przechowywania, a także wygodny podczas oglądania kartek.

Jakie są plany na odległą przyszłość związane z kolekcją? Czy widzi Pan następców, którzy będą kontynuować tę pasję?

Nadal staram się powiększać kolekcję o nowe eksponaty, ale coraz trudniej znaleźć pocztówki, których nie mam. Nie zawsze uda mi się wygrać aukcję internetową, bo kolekcjonerów w Zielonej Górze jest dużo. Cały czas przy kolekcjonowaniu pomaga mi syn, który teraz mieszka w Poznaniu i wiem, że w przyszłości zaopiekuje się zbiorem i będzie kontynuował tę pasję.

Jakie marzenia posiada kolekcjoner Sławomir Ronowicz? Czy jest jakiś obiekt, o zdobyciu którego nie przestaje Pan myśleć?

Zawsze jestem zadowolony, jak uda mi się kupić pocztówkę z obiektem, o którym nie miałem pojęcia, że istniał w Grünbergu, albo z takim, który trudno zlokalizować, ale najbardziej marzy mi się, aby mieć całą kolekcję z Winobrania w 1900 r. Nie wiem tylko, czy jest to możliwe, bo tak naprawdę nikt nie wie, ile ich wydano. Ja posiadam ich 19 sztuk. Widziałem zdjęcia ze zbiorów innego kolekcjonera i wiem, że na pewno są dwie, których nie mam, ale czy to wszystkie?



Mirosława Szott
Robert Rudiak

Lubuskie Wawrzyny

Lubuski Wawrzyn Literacki (1994–2015)

W 1991 r. Alfred Siatecki został prezesem zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich i praktycznie od początku przejęcia tej funkcji wychodził do władz samorządowych i wojewódzkich oraz środowiskowych organizacji i instytucji kultury z różnymi cennymi inicjatywami kulturalnymi. W obliczu zmieniających się po upadku PRL realiów gospodarczych i zmian zachodzących na rynku wydawniczym, także tym lokalnym, a zwłaszcza po likwidacji Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze, zaproponował dyrekcji Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida utworzenie regionalnego wydawnictwa książkowego. W 1993 r. za namową Siateckiego biblioteka uruchomiła pod własnymi auspicjami wydawnictwo książkowe, które trzy lata później przemianowano na Oficynę Wydawniczą Pro Libris.

W 1994 r. redaktor Siatecki, wówczas sekretarz „Gazety Lubuskiej”, wyszedł z kolejnym pomysłem przyznawania regionalnej nagrody dla pisarzy śród-kowo-zachodniego obszaru Polski. Nagroda miała być wręczana autorowi najlepszej książki roku, a stanowić ją miał ze względów oszczędnościowych Lu-



Lubuski Wawrzyn Literacki 1994 (pierwszy z lewej Janusz Koniusz, w środku Krzysztof Fedorowicz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1994 (z lewej Janusz Koniusz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1994 (z prawej Janusz Koniusz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1995 (z lewej Czesław Markiewicz)

buski Wawrzyn Literacki. Zamysł Siateckiego wcieliła w życie ówczesna dyrektorka WiMBP Maria Wasik. Wokół idei skupiono wielu istotnych zwolenników w postaci współorganizatorów finansowych i donatorów, ponieważ sam oddział ZLP nie był w stanie prowadzić imprezy tej rangi, głównie z uwagi na brak w jego strukturze księgowości, brak odpowiedniego lokalu i wyposażenia. Szybko do idei przyznawania nagrody pisarskiej dali się przekonać najważniejsi przyszli mecenasi – dr Andrzej Toczewski, ówczesny dyrektor Wydziału Kultury i Sportu w Urzędzie Wojewódzkim, Edward Mincer – wtedy wiceprezydent Zielonej Góry i Mirosław Rataj – redaktor naczelny „Gazety Lubuskiej”. Zadaniem dwóch pierwszych urzędów było zabezpieczyć środki na nagrody pieniężne w dwóch kategoriach literackich w wysokości średniej krajowej pensji¹, a gazeta miała ufundować złote listki wawrzynu² i zadbać o prezentację nagrodzonych książek roku oraz promocję autorów, biblioteka zaś zapewnić techniczno-organizacyjną stronę uroczystości.

Warto dodać, że kiedy uwolniony został rynek handlu książką, od początku trwały ostre walki między konkurującymi sieciami sprzedawców książek, ich wydawcami, dystrybutorami, pośrednikami czy hurtownikami, traktującymi książkę wyłącznie jako towar. Po zniesieniu cenzury i wydawnictw państwowych książkę wydać mógł każdy, problem jednak tkwił nie w tym jak ją wydać, ale jak sprzedać. Pomóc w tym miały właśnie przyznawane nagrody, które poprzez uhonorowanie twórcy danej publi-

- 1 W 1996 r. zdobywcy Wawrzynów otrzymali po 700 zł brutto. W 1997 r. laureat otrzymał już 1000 zł, w 1998 r. – 1350 zł, w 1999 r. – 1500 zł, w 2000 r. – 2000 zł, w 2002 r. – 2500 zł, w latach 2003-2007 przyznawano po 3000 zł, w 2008 r. – 3500 zł, w 2012 r. – 5000 zł, w 2014 r. – 6000 zł brutto.
- 2 Według projektu Siateckiego każdy Wawrzyn miał mieć symboliczną postać jednego złotego listka wawrzynowego, które skompletowane miały z czasem tworzyć prawdziwy wieniec laurowy i być ukoronowaniem zasług autora. Złoty liść o wartości 500 zł był wykonany przez jubilera, a fundowała go „Gazeta Lubuska” lub jej wydawca „Lubress”. W 2009 r. złoty listek zastąpiono srebrnym, a od 2010 r. zamiast wawrzynowego liścia wręcza się srebrne pióro, które przyznaje się tylko jednemu autorowi najlepszej książki bez względu na rodzaj literacki utworu.

kacji, przysłużyć miały się czytelniczemu popytowi na wyróżnioną książkę, a nagrodzonemu autorowi przynieść splendor³.

W czasach Polski Ludowej prestiżowych nagród literackich w kraju było jak na przysłowiowe lekarstwo. Od 1965 r. przyznawano jedynie Nagrodę Literacką im. Stanisława Piętaka oraz Orle Pióro redakcji „Płomyka” dla autorów książek dla dzieci i młodzieży. W latach 1968-1981 własną Nagrodę im. Wilhelma Macha przyznawał Związek Literatów Polskich za debiut powieściowy. Od 1983 r. przyznawano jeszcze Nagrodę im. Kazimierza Iłakowiczówny za najlepszy debiut poetycki roku, a rok później także Śląkę, którą wręczał Śląski Klub Fantastyki pisarzom science fiction, identycznie jak Nagrodę im. Janusza A. Zajdla, wręczaną od 1985 r. Również od 1988 r. swoje laury przyznawał polski PEN Club, czyli Nagrodę im. Jana Parandowskiego i Nagrodę im. Ksawerego Pruszyńskiego⁴. W okresie, kiedy zainicjowano Lubuski Wawrzyn Literacki, następował już powolny wysyp tego typu wyróżnień przyznawanych pisarzom w wolnej RP, np. w 1993 r. popularny tygodnik „Polityka” rozdawał również za dokonania literackie, tzw. Paszporty, które miały ułatwić start młodym twórcom. Rok później pojawiły się także inne laury, np. Nagroda Literacka im. Kornela Makuszyńskiego⁵ przyznawana dla autorów książek młodzieżowych oraz Nagroda Literacka im. Władysława Reymonta.

Warto dodać, że już po ustanowieniu nagrody Lubuskiego Wawrzynu, rozpoczął się istny boom na nagrody literackie, gdyż w drugiej połowie lat 90. pojawiły się m.in. Nagroda Bursztynowego Motyla im. Arkadego Fiedlera dla autorów książek podróżniczych (wręczana od 1996 r.), Nagroda im. Andrzeja Kijowskiego, którą reaktywowano w 1996 r., Nagroda Literacka Nike (od 1997 r.) z pulą 100 tys. zł dla laureata, Nagroda im. Bolesława Michałka przyznawana dla autorów książek o filmie przez miesięcznik „Kino”



Lubuski Wawrzyn Literacki 1995 (z prawej Mieczysław Warszawski)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1996 (w środku Michał Kaziów)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1996 (Czesław Sobkowiak)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1997 (w zastępstwie Mirosława Kuleby nagrodę odbiera matka)

- 3 Tylko w przypadku pierwszej edycji wydawca nagrodzonej książki (czyli oficyna AND) dodrukował banderole na okładki tomiku K. Fedorowicza z adnotacją, że jest to pozycja nagrodzona Wawrzynem, co miało ułatwić jej dystrybucję.
- 4 Nagroda im. K. Pruszyńskiego przyznawana była do 1999 r.
- 5 Nagrodę przyznawała Fundacja „Książka dla Dziecka” i kwartalnik „Guliwer”.



Lubuski Wawrzyn Literacki 1997 (z lewej Wojciech Śmigielski)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1998 (Kazimierz Furman w białym szaliku, po jego prawej stronie Jan Kurowicki)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1998 (scena)



Lubuski Wawrzyn Literacki 1999 (z lewej Zygmunt Kowalcuk)

(od 1997 r.), Nagroda im. Jana Długosza dla książek o tematyce historycznej (od 1998 r.) i Srebrny Glob (od 1999 r.) dla pisarzy fantastyki. Co ciekawe, od 1999 r. w Katowicach ustanowiono nagrodę na wzór lubuskiej, czyli Śląski Wawrzyn Literacki przyznawany przez Bibliotekę Śląską.

Założeniem pomysłodawców Lubuskich Wawrzynów od początku było, aby przyznawano je w dwóch kategoriach – poezji i prozy i wyłącznie autorom lubuskim (Środkowego Nadodrza)⁶ za najlepsze książki ubiegłego roku, które były wydane w nakładzie co najmniej 100 egzemplarzy. Od początku we współfinansowaniu nagród uczestniczyli: redakcja „Gazety Lubuskiej”, Urząd Wojewódzki w Zielonej Górze (fundator Wawrzynu poetyckiego) i Zarząd (później Urząd) Miasta Zielona Góra (fundator Wawrzynu prozatorskiego). Stąd regułą było, że organizator konkursu, czyli Biblioteka do jury powoływała po jednym przedstawicielu urzędów lub osoby (zazwyczaj krytyka lub literata) wskazanej do reprezentowania gazety i ZLP.

W inauguracyjnej edycji Lubuskich Wawrzynów Literackich w 1995 r. – jak mówił regulamin – zadaniem jury było wybranie najlepszych publikacji poetyckiej i prozatorskiej za poprzedni rok⁷. Jurorzy otrzymali do analizy 26 tomików poezji i 4 książki prozatorskie. Po wstępnej selekcji wytypowano 5 książek poetyckich i tylko jedną prozatorską. Jury obradowało w składzie 5-osobowym: prof. dr hab. Jan Kurowicki (przewodniczący), Maria Wasik (dyrektor WiMBP), red. Artur Łukasiewicz (krytyk) z „Gazety Zachodniej”, Eugeniusz Kurzawa (poeta) z ramienia ZLP i red. Alfred Siatecki (prozaik) jako przedstawiciel „Gazety Lubuskiej”. W protokole jurorzy

6 Założeniem twórcy nagrody było, aby obejmowała ona obszar wraz z Głogowem i Wschową, ale też z Wolsztynem i Zbąszyniem, Barlinkiem, Choszczem, Międzychodem, Myśliborzem i Dębem (obszar starego województwa zielonogórskiego w latach 1950-1975 i gorzowskiego w latach 1975-1998). Chodziło tu o autorów zamieszkałych (zameldowanych) na terenie województwa lub tzw. Środkowego Nadodrza.

7 W późniejszym czasie w regulaminie pojawił się zapis, iż Wawrzyn może być przyznany temu samemu autorowi dopiero po upływie dwóch lat od otrzymania nagrody, a od 2010 r. – po upływie trzech lat.

zapropowali, aby przyznawać nagrody w dwóch kategoriach – poezja oraz wspólną za prozę i esej, a także, aby uhonorować najlepszego debiutanta⁸. Laureatem głosami 3 do 2 wybrano Krzysztofa Fedorowicza, autora tomiku *Apokryfy i fragmenty* (Oficyna Wydawnicza AND, Zielona Góra). Jego konkurentem był Wojciech Śmigieński, autor tomiku *Hymn* (WOSW Arlekin, Zielona Góra). Oprócz niego w gronie nominowanych znalazły się także pozycje: ks. Jerzego Hajdugi *Zamilczenia* (Wyd. WiMBP, Gorzów), Agnieszki Kopaczyńskiej *Ze światłem w kieszeni* (AND) i Czesława Sobkowiaka *Wszystko tu jeszcze* (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław). W kategorii prozatorskiej laureatem został Janusz Koniusz za zbiór wspomnieniowy *Kamień z serca* (Wyd. WiMBP, Zielona Góra). Wręczenie nagród laureatom miało miejsce w księgarni zielonogórskiej w lutym 1995 r., co stało się odtąd tradycją⁹.

O sukcesie organizacyjnym pierwszej edycji Wawrzynów zdecydował jednak przypadek, gdyż jak wspomina A. Siatecki¹⁰, to on był w głównej mierze *spiritus movens* tej uroczystości, a wręczenie nagród odbywało się na antresoli biblioteki w czytelnicy czasopism. Na wieczór zupełnie nieoczekiwanie przybył wraz z ówczesnym wojewodą zielonogórskim ambasador RP w Berlinie i to wydarzenie siłą rzeczy podniosło rangę imprezy. Stąd od następnej edycji ceremonię wręczania nagród przeniesiono do przestronnej sali Pro Libris na trzecim piętrze gmachu instytucji.

W drugiej edycji w 1996 r. zgłoszono do konkursu ponad 30 pozycji wydawniczych. Jury, w tym samym

8 W trakcie obrad jury zaproponowało, aby przyznawać nagrodę w dwu kategoriach: poezja oraz proza (w tym esetyka), a to z uwagi na zbyt małą liczbę książek prozatorskich ukazujących się wówczas na Środkowym Nadodrzu. Prace zbiorowe lub publikacje wydane pod redakcją autorską od początku konkursu nie były brane pod uwagę. Udział w nim mogły wziąć tylko dzieła indywidualne lub pozycje książkowe wydane przez duet autorski. Warunkiem zgłoszenia do konkursu było przesłanie przez autora lub wydawcę organizatorom trzech egzemplarzy książek.

9 Gala wręczania Wawrzynów odbywa się rokrocznie w ostatni czwartek lutego w trakcie cyklicznej imprezy literackiej ph. Czwartek Lubuski, organizowanej od 1956 r.

10 E-mail od A. Siateckiego z dnia 30 czerwca 2015 r.



Lubuski Wawrzyn Literacki 1999 (zaproszona publiczność)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2000 (Krzysztof Fedorowicz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2000 (Alfred Siatecki)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2001 (z prawej Janusz Werstler)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2001 (Anna Tokarska odbiera nagrodę)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2002 (Czesław Sobkowiak)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2002 (z prawej Mieczysław Warszawski)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2003 (Eugeniusz Kurzawa)

składzie jak rok wcześniej, zdecydowało, aby wybrać najlepsze książki roku spośród pięciu nominowanych – dwóch prozatorskich i trzech poetyckich. Wawrzyni otrzymali wówczas – Mieczysław Warszawski za zbiór bardzo osobistych liryków *Cztery ściany bezdomności* (wyd. WiMBP) i Czesław Markiewicz za tom kontrowersyjnych i epatujących brutalizmem opowiadań *Made in life* (AND). Nominowane były zaś książki: Kazimierza Furmana *Wiersze* (Klub Myśli Twórczej „Lamus”, Gorzów Wlkp.) i Roberta Rudiaka *Herodiada* (Wyd. IBIS, Warszawa) oraz zbiór reportaży Mirosława Kuleby *Odstłony wojny* (wyd. Alpha, Zielona Góra), opowiadający o konflikcie jugosłowiańskim w 1993 r. oraz wojnach w Abchazji i Czeczenii.

W roku następnym jury w składzie: prof. dr hab. J. Kurowicki (przewodniczący), A. Łukasiewicz („Gazeta Zachodnia”), E. Kurzawa (ZLP), J. Koniusz („Gazeta Lubuska”), M. Wasik (WiMBP) w obu kategoriach nominowało do nagród już siedem pozycji książkowych, z czego pięć stanowiły tomiki poezji, a dwie zbiory opowiadań. Najwyżej oceniono *Wybór wierszy* (Miniatura, Kraków) Czesława Sobkowiaka, a w dziedzinie prozy książkę Michała Kaziowa *Piętna miłości* (Pro Libris, Zielona Góra), na którą złożyło się jedenaście (w większości wspomnieniowych bądź autobiograficznych) opowieści dotyczących pokolenia autora doświadczonego – jak pisał Siatecki – drugą wojną, ludową ojczyzną oraz wolną i niepodległą już III RP¹¹. Książkami, które otrzymały nominacje, były tomiki debiutantek: Marii Jolanty Fraszewskiej *Wio w snach* (AND) i Ewy Pietrusiak *Tak cię rozpoznam spośród* (AND) oraz Wojciecha Śmigieckiego *Wiersze wybrane* (Miniatura, Kraków). Z kolei w dziedzinie prozy nominowany był tom opowiadań Alfreda Siateckiego *Drugie przykazanie miłości* (Pro Libris). Trzecia edycja Wawrzynów sprawiła, że nagrody dla pisarzy lubuskich zaczęły nabierać rozmachu organizacyjnego i medialnego rozgłosu. Nagroda traktowana była niemal jak środowiskowy Nobel, będąc dla zwycięzców swoistą nobilitacją¹².

11 A. Siatecki, *Wawrzyny rozdane*, „Gazeta Lubuska” 1997, nr 44, s. 1.

12 Tenże, *Wawrzyn lubuski*, „Gazeta Lubuska” 1997, nr 21, s. 3.

Ceremoniom towarzyszyła coraz liczniejsza grupa mediów telewizyjnych, radiowych i prasowych, dzięki czemu Wawrzyny zyskiwały popularność. W trakcie gali odbywały się recitale muzyczne i występy artystyczne, a fragmenty nagrodzonych utworów czytali aktorzy teatralni.

W 1998 r. doszło do istotnej zmiany w dokonywaniu oceny najlepszych publikacji roku, gdyż jury zastąpiły kapituły¹³. Pierwszą, tzw. małą kapitułę stanowili dotychczasowi laureaci Wawrzynów (o ile w danym roku autor nie ubiegał się o nagrodę), a dużą – 5-osobowe¹⁴ gremium powołane przez organizatorów, które miało za zadanie wskazać najlepszych autorów spośród nominacji zaproponowanych przez małą kapitułę, która zwykle rekomendowała od 5 do 8 tytułów. Miała ona więcej pracy, gdyż wybierała kilka książek ze wszystkich zgłoszonych do konkursu, duża kapituła zatem mogła wybierać laureatów tylko spośród wybranych przez małą. Przewodniczącym dużej kapituły w 1998 r. podobnie jak w latach wcześniejszych był Jan Kurowicki, natomiast obok niego w dużej kapitule zasiadali praktycznie ci sami jurorzy, co w latach ubiegłych: Janusz Koniusz z ramienia ZLP, Alfred Siatecki z „Gazety Lubuskiej”, Artur Łukasiewicz z „Gazety Zachodniej” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) i dyrektor biblioteki – Maria Wasik. Mała kapituła w 1998 r. nominowała do nagród osiem pozycji, w tym pięć w poezji i trzy w prozie, a z tej liczby ostatecznego wyboru miała dokonać duża kapituła. Za lubuskie książki 1997 r. uznano: tom liryków Wojciecha Śmi-



Lubuski Wawrzyn Literacki 2003 (z lewej Jolanta Pytel)



LWL 2003 (laureaci z prezydent Zielonej Góry B. Ronowicz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2004 (z prawej Zbigniew Kozłowski)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2004 (z prawej Witold Niedźwiedzki)

13 Duża i mała kapituła działały w latach 1998-2005. Skład dużej kapituły tworzyli: J. Kurowicki (w 1998 i 2000 r.), A. K. Waśkiewicz (od 1999), A. Łukasiewicz (1998), J. Koniusz (1998 i 2002), A. Siatecki (1998-2000 i 2002-2004), M. Wasik (wszystkie edycje), B. Kochańska (w 1999), J. Przybecki (2000-2002), R. Rudiak (2001), M. Mikołajczak (2003), E. Kurzawa (2003 i 2005), I. K. Szmidt (2004-2005) i S. Kufel (od 2004). W ramach małej kapituły obradowali: M. Kaziów (w 1998 r.), C. Sobkowiak (1998-1999, 2001-2002, 2004-2005), C. Markiewicz (1998-2002), W. Śmigielski (1999-2000, 2003-2004), M. Warszawski (1999, 2001-2002, 2004-2005), J. Koniusz (1999-2000, 2003 i 2005), M. Kuleba (1999 i 2001-2005), ks. Z. Kowalczyk (2001-2002 i 2005), A. Tokarska (2003-2004), J. Werstler (2003-2004), A. Siatecki (2004), J. Pytel (2005) i K. Furman (2005).

14 Skład jurorów w 2009 r. zredukowano do 3 osób.



Lubuski Wawrzyn Literacki 2006 (Henryk Wawrzyniec Kordoń)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2007 (Janusz Koniusz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2007 (Ludwik Ireneusz Lipnicki)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2008 (Eugenia Pawłowska)

gielskiego *List do samego siebie* (Pro Libris) i powieść wojenną Mirosława Kuleby *Niezlomna Czeczenia* (Arcana, Kraków). Kontrkandydatkami tych pozycji były zbiorki poetyckie: Jacka Katarzyńskiego *Dada rzyje, czyli To co było, jest i wcale nie musi być dada* (AND, Zielona Góra), Marii Sidorskiej-Ryczkowskiej *Naczynie wieczności* (AND), Ewy Soroko *Światło ze snu* (Organon, Zielona Góra) i Anny Tokarskiej *Moje wiersze posiwiały* (Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra) oraz opowieść autobiograficzna Kazimierza Ostrowskiego *Kazachstańczyk* (wł. sumptem, Gubin) i zbiór opowiadań Mieczysława Warszawskiego *Bezrobotny Syzyf* (Pro Libris).

W kolejnym roku nastąpiła poważna zmiana w obsadzie jury, gdyż rolę przewodniczącego dużej kapituły przejął na dziesięć lat Andrzej K. Waśkiewicz z Gdańska, znany w kraju krytyk i poeta, redaktor naczelny „Autografu” oraz członek Zarządu Głównego ZLP, który do 1978 r. mieszkał na Ziemi Lubuskiej. A stało się tak dlatego, gdyż dotychczasowy przewodniczący sam ubiegał się o Wawrzyn. Wówczas w składzie dużej kapituły znaleźli się również: A. Siatecki (ZLP), M. Wasik (WiMBP) oraz Barbara Kochańska z zielonogórskiego magistratu i poeta Czesław Sobkowiak reprezentujący Urząd Wojewódzki. Do głównych nagród nominowano sześć pozycji wydanych w 1998 r., po trzy w każdej kategorii. Wawrzyny przyznano Kazimierzowi Furmanowi za zbiór wierszy *Odmienne stany obecności* (wyd. Fundacja Kresowa Polonia, Gorzów) i Janowi Kurowickiemu za szkice krytycznoliterackie *Igraszki ze świętym spokojem. Eseje i czytanki* (AND, Zielona Góra). Natomiast wśród nominowanych znalazły się pozycje: Romualda M. Jabłońskiego *Z sercem w obłokach* (AND), ks. Zygmunta Kowalczyka *Dwa nieba* (Wyd. WAM, Kraków) w dziedzinie poezji oraz felietony Henryka Ankiewicza (ps. Andabata) *Zielona noc* (Wyd. RCAF, Zielona Góra) i wspomnienia Stefana Wachnowskiego *Okruchy pamięci* (Wyd. Tenez, Gorzów-Zielona Góra).

W 2000 r. w obradach dużej kapituły pod przewodnictwem wspomnianego już A.K. Waśkiewicza uczestniczyli: M. Wasik (WiMBP), A. Siatecki (Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego), J. Kurowicki z ramienia ZLP i redaktor naczelny „Lubu-

skiego Nadodrza” Jerzy Przybecki, reprezentujący Urząd Miasta. Na konkurs wpłynęła podobna liczba pozycji co w latach ubiegłych, a więc nieco ponad 30 (z czego 16 publikacji wydano w Zielonej Górze, pięć w Gorzowie, trzy w Żarach, jedną w Wolsztynie a pozostałe sześć poza województwem lubuskim)¹⁵. Oceniając ówczesny rynek wydawniczy, Alfred Siatecki na łamach „Gazety Lubuskiej” konstatawał:

Ciągle książkę łatwiej wydać niż ją sprzedać. Niestety, ani wydawcy, ani księgarze nie potrafią dotrzeć z literaturą współczesną do czytelnika. Wcale to nie wynika z tego, że współczesne dzieła są gorszej jakości. Większość wydawców lubuskich nawet się nie stara o rozpowszechnianie swoich produktów, bowiem przed przystąpieniem do druku książki gromadzi tyle pieniędzy, żeby pokryć wszelkie koszty. Autorzy zazwyczaj nie otrzymują żadnych honorariów, jeśli nie liczyć pewnej ilości książek, które mogą sami sprzedać. Dlaczego więc właściciele wydawnictw drukują książki współczesnych autorów lubuskich? Na to pytanie nie otrzymamy odpowiedzi póty, póki wydawcy swoją działalność będą traktowali jako hobby lub dodatek do zaszczytów¹⁶.

Spośród książek wydanych w 1999 r. nominowano tylko pięć, w tym trzy poetyckie i dwie prozatorskie. Wawrzyny przypadły ks. Zygmuntowi Kowalcukowi za tomik wierszy *Po tamtej stronie księżycy* (wyd. WAM) i ponownie Mirosławowi Kulebie za powieść reportażową *Dziennik snajpera* (wyd. Fundacja Odysseum i Ośrodek Dokumentacji Dokonań Polaków na Obczyźnie, Zielona Góra), którą opublikował pod pseudonimem Władysław Wilk¹⁷. Nominacje otrzymali zaś za pozycje liryczne: Czesław Sobkowiak za *Postać w bieli* (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław) i debiutujący Marcin Szrama



Lubuski Wawrzyn Literacki 2008 (z prawej Karol Graczyk)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2009 (Marek Lobo Wojciechowski)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2010 (Konrad Wojtyła)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2011 (Beata Patrycja Klary)

15 Zob. A. Siatecki, *Miedzy szufladą a wawrzynem*, „Gazeta Lubuska” 2000, nr 5, s. 7.

16 Tamże.

17 Autor był w tym okresie korespondentem wojennym w Czeczenii i wołał dla własnego bezpieczeństwa wydać książkę bez ujawniania swojej tożsamości, ale przyznanie mu nagrody literackiej zniweczyło ten zamysł pisarski.



Lubuski Wawrzyn Literacki 2012 (Krzysztof Fedorowicz)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2013 (w zastępstwie nieobecnego laureata Mirosława Kuleby nagrodę odbiera matka)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2014 (gala)



Lubuski Wawrzyn Literacki 2014 (Czesław Sobkowiak)

za *Wczoraj mówiłem inaczej* (AND) oraz redaktor „Gazety Lubuskiej” Henryk Ankiewicza (ps. Andabata) za felietony *Szachy w Łagowie* (Zielona Góra).

Lata następne nie różniły się od poprzednich, zarówno jeśli idzie o natężenie publikacji pojawiających się na lokalnym rynku wydawniczym, jak i skład komisji oceniającej wytwory pisarzy lubuskich. Książki po nominacjach małej kapituły oceniała duża w składzie: A. K. Waśkiewicz (przewodniczący, UMWL), C. Sobkowiak („Gazeta Lubuska”), R. Rudiak (ZLP), J. Przybecki (Urząd Miasta), M. Wasik (WiMBP). Wawrzyny za 2000 r., tym razem oba w dziedzinie prozy, otrzymali: Alfred Siatecki za powieść sensacyjno-szpiegowską *Zmowa pułkowników* (Pro Libris) i po raz drugi Krzysztof Fedorowicz za eseje historyczne o Śląsku *Imiona własne* (Wydawnictwo Literackie, Kraków). Nominowanymi byli natomiast autorzy książek poetyckich: Władysław Klępka za tom wierszy *Borduria z akantem* (Pro Libris), Janusz Koniusz za zbiór liryków *Droga do Hamleta* (Muzeum Ziemi Lubuskiej) i Grażyna Rozwadowska-Bar za tomik *Nie lubię zegarów* (Pro Libris). Jedyną nowością było uhonorowanie najlepszego wydawcy książki (odtąd stanie się to zwyczajem). Doceniono zielonogórskie muzeum, które wydało poezję J. Koniusza.

Z kolei w 2001 r. również wybrano najlepsze książki z grona pięciu nominowanych. Tym razem oba Wawrzyny przypadły za poezję, a otrzymali je Anna Tokarska za tom subtelnych liryków *W biały mieszka anioł* (AND, Zielona Góra) i Janusz Werstler za zbiór *Ocalone w słowie* (Pro Libris). Ich konkurentami były pozycje: tom liryków Wojciecha Śmigiełskiego *Album* (Wyd. Przedświt, Warszawa), wspomnienia z podróży Tomasza Florkowskiego *Witaj Hiszpanio. Impresje architekta* (Pro Libris) i szkic krytycznoliteracki Jana Kurowickiego *Przewodnik po arcydziełach i nie tylko (poradnik konesera)* (Wyd. Atut, Wrocław). Tym razem nagroda dla wydawcy za najlepiej edytorsko przygotowaną pozycję przypadła wydawnictwu bibliotecznemu Pro Libris za antologię poetycką *Mieszkam w wierszu* wydaną pod redakcją Małgorzaty Mikołajczak i Beaty Mirkiewicz. W tej edycji Wawrzynów jurorzy po raz pierwszy postanowili przyznawać też nagrodę za debiut, którą otrzy-

mała Katarzyna Buchwald za tomik poezji *Wkładam głowę pod skórę świata* (AND). Oceny zgłoszonych publikacji dokonało jury w składzie: A. K. Waśkiewicz (przewodniczący z ramienia UMWL), E. Kurzawa (ZLP), A. Siatecki („Gazeta Lubuska”), J. Przybecki (UM), M. Wasik (WiMBP).

W następnym roku pod przewodnictwem Andrzeja K. Waśkiewicza (z ramienia UMWL) obradowali: dr Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski), Eugeniusz Kurzawa (ZLP), Alfred Siatecki („Gazeta Lubuska”) oraz Maria Wasik z WiMBP jako sekretarz. Nominacje uzyskali poeci: Sławomir Gowin za *Estetyczne przyjemności* (AND, Zielona Góra), Ludwik I. Lipnicki za prozę poetycką *Na niebie, na ziemi* (Arsenał), Czesław Sobkowiak za tomik *Rozmowa z Rimbaudem* (Muzeum Ziemi Lubuskiej), Mieczysław J. Warszawski za poezję *Zaledwie niczyj* (Pro Libris) oraz Konrad Wojtyła za *Fri low* (Pro Libris). Przyznano dwie równorzędne nagrody. Zwycięzcami zostali Czesław Sobkowiak (którego książkę wyróżniono także ze względu na walory edytorskie) oraz Mieczysław J. Warszawski. Kapituła postanowiła także wyróżnić debiutancką książkę Joanny Szpak *Ja, Eurydyka* (AND).

W konkursowym jury, które oceniało książki wydane w 2003 r., zasiadali: Andrzej K. Waśkiewicz (UMWL) – przewodniczący, dr Sławomir Kufel (UM), Ireneusz K. Szmidt (ZLP) – po raz pierwszy juror z Gorzowa, Alfred Siatecki (GL) i sekretarz Maria Wasik. Nagroda główna przypadła w udziale dwóm książkom poetyckim. Były to tomiki Eugeniusza Kurzawy *Wciąż nowa prywatność* (Kropka, Zielona Góra) oraz Jolanty Pytel *Włócznie słońca* (Pro Libris). Pozostałymi nominowanymi do nagrody byli: Teresa Borkowska za *Listy do pana K.* (Lamusa, Gorzów Wlkp.), Regina Dachówna za *Tango z motylem* (Europa, Wrocław) oraz Irena Zielińska za *Nagą rękę* (Arsenał). Ponadto książka Zielińskiej została uznana za najlepiej wydaną w 2003 r. Specjalnym dyplomem został też uhonorowany Janusz Koniusz za wybór wierszy *Nic nie było* (Pro Libris) z okazji 70-lecia urodzin.

W 2005 r. nominacje do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za 2004 r. otrzymały tylko trzy książki: wspomnienia Edwarda Dębickiego *Ptak umarłych*



Inga Iwasiów ogłasza werdykt jury LWL 2015



Lubuski Wawrzyn Literacki 2015 (Beata Patrycja Klary)

(STiPKC-Biblioteka Narodowa, Gorzów-Warszawa), *Skarb atamana* (Pro Libris) Zbigniewa Kozłowskiego oraz *Sodoma* (Arsenał) Witolda Niedźwieckiego. Spośród tych trzech laury otrzymali Zbigniew Kozłowski i Witold Niedźwiecki. Książka Dębickiego została wyróżniona ze względu na walory edytorskie oraz wybitne wartości poznawcze. Dostrzeżono też debiut poetycki Beaty Patrycji Klary *Witraże* (książka wydana własnym sumptem, Gorzów). Kapituła pozostała niemal bez zmian; Alfreda Siateckiego w jury zastępował z ramienia „Gazety Lubuskiej” Eugeniusz Kurzawa, a do organizacji imprezy w 2005 r. włączył się także powstały rok wcześniej oddział gorzowski ZLP.

Kolejny rok przyniósł istotną zmianę, rozszerzyła się bowiem formuła konkursu. Obok Literackiego Wawrzynu zaczęto też przyznawać Wawrzyn Naukowy. Do pierwszej edycji zgłoszono aż 19 publikacji wydanych w 2005 r. – tyle samo, co do Wawrzynu Literackiego. Oceny nadesłanych prac dokonały dwie niezależne komisje. Od tego czasu w jury konkursu

literackiego nie ma już podziału na dużą i małą kapitułę. W nominowaniu nie brali już udziału laureaci z poprzednich lat. W jury zasiadali: Andrzej K. Waśkiewicz (UMWL), dr Sławomir Kufel (UM), Janusz Koniusz (ZLP), Alfred Siatecki (GL) oraz sekretarz Maria Wasik (WiMBP). Do Wawrzynu zgłoszono 19 pozycji (w tym 7 wydanych w Zielonej Górze, 3 – w Gorzowie i 3 – w Kozuchowie). Laureatami zostali: Ireneusz K. Szmidt za książkę *Ludzkie pojęcie* (Arsenał) i Jacek Uglik za tomik poetycki *Jeszcze nie całkiem umarli* (Portret). Jury postanowiło wyróżnić dyplomem honorowym aż trzy znakomite debiuty poetyckie: *Dwie rzeczy* (Organon) Agnieszki Leśniewskiej, *Noc jest bezwstydy* (Arsenał) Małgorzaty Prusińskiej i tomik Małgorzaty Stachowiak *O czymś* (Liberum Arbitrium).

W 2007 r. jedyną zmianą w obrębie składu jury była obecność Grażyny Rozwadowskiej-Bar (reprezentantki ZLP). Przewodniczącym był A.K. Waśkiewicz z Gdańska. Do konkursu nadesłano 20 zgłoszeń wydanych w 2006 r. Laureatem został Henryk Wawrzyniec Kordoń, autor powieści historycznej w trzech tomach *Kmieć Sokolic z roli* (Poligrafia Wyższego Seminarium Duchownego, Rzeszów). Nominację otrzymał także Tadeusz Firlej za poezję *Z wierszy zbudowany jest ten świat* (FTF Wydawnictwo Prywatne, Gubin). Jury postanowiło wyróżnić debiut poetycki Agnieszki Moroz *Każdy idzie do nieba* (Arsenał) oraz uhonorować Małgorzatę Mikołajczak za dokonania krytycznoliterackie i za przygotowanie kolejnej antologii poezji lubuskiej pt. *Od słowa do słowa. Antologia poezji lubuskiej* wydanej przez Oficynę Pro Libris.

W XIV edycji Wawrzynu Literackiego jury pod przewodnictwem Andrzeja K. Waśkiewicza (UMWL), w składzie: dr Sławomir Kufel (UM), Jolanta Pytel (ZLP), Eugeniusz Kurzawa (GL) i Maria Wasik (sekretarz WiMBP) uznało, że najlepszymi książkami wydanymi w 2007 r., spośród 32 nadesłanych na konkurs, były: *Po wyjściu z arki* (Organon, Zielona Góra) Janusza Koniusza oraz *Pan Iko: opowieść na wtorek* (Arsenał, Gorzów) Ludwika I. Lipnickiego. Nominacje ponadto otrzymali: Beata Igielska za *Bon voyage i inne opowiadania* (Arsenał), Katarzyna Jarosz-Rabiej za *Dorosnąć do bólu* (Orga-

non), Bronisława Raszkiewicz za *Welon na wiśniach* (nakł. aut., Zielona Góra) i Marzena Więcek za *Grę w cyrkiel* (Pro Libris). Dodatkowych wyróżnień nie przyznano.

W 2009 r. w jury zasiadali: członek Zarządu Głównego ZLP Leszek Żuliński z Warszawy (były redaktor „Tu i Teraz”, „Kultury”, „Literatury” i „Wiadomości Kulturalnych”), prof. dr hab. Piotr Michałowski z Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Andrzej K. Waśkiewicz z Gdańska, redaktor naczelny „Autografu”. Spośród kompletu książek wydanych w 2008 r. wybrano dwoje laureatów. Nagrodzono Karola Graczyka za tomik poezji *Osiemdziesiąt cztery* (Arsenał) oraz Eugenię Pawłowską (ps. Snobka) za zbiór felietonów *I ja tam byłam* (Kropka). Ponadto przyznano dyplom honorowy krakowskiemu Wydawnictwu Miniatura za starannie wydaną książkę Jerzego Hajdugi *Rozerwanie nieba*.

W 2010 r. nastąpiła zmiana dyrekcji w zielonogórskiej Bibliotece. Funkcję dyrektora ksiąznicy objął dr Andrzej Buck. Wówczas też zaszły zmiany regulaminowe – zaczęto przyznawać jeden Wawrzyn Literacki dla autora najlepszej książki mieszkającego na Środkowym Nadodrzu, bowiem celem konkursu była właśnie promocja nagrodzonych pisarzy i ich dzieł. Rok ten wiązał się też z istotną zmianą w obrębie jury. Przewodniczącym został Sergiusz Sterna-Wachowiak z Poznania, będący od 2008 r. prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Pozostałymi członkami były: dr hab. Małgorzata Mikołajczak (Uniwersytet Zielonogórski) i dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska (PWSZ w Gorzowie), a sekretarzem – Joanna Wawryk z WiMBP. Główną nagrodę otrzymał Marek Lobo Wojciechowski za tomik *Ektoplazma* (Rivia, Gorzów). Nominacje ponadto otrzymali: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk za *Kochany* (Arsenał, Gorzów), Krzysztof Koziółek za *Świętą tajemnicę* (Kropka, Ochla-Zielona Góra), Czesław Markiewicz za *Majuskuły* (Miniatura, Kraków), Zygmunt Marek Piechocki za *Sytuacje* (Sonar, Gorzów), Henryk Szyłkin za *Wiersze rozproszone* (b.w., Zielona Góra), Mieczysław Warszawski za *Persona non grata* (Organon, Zielona Góra). Przyznano także nagrody dodatkowe. Dyplom za debiut poetycki otrzymała Dorota Grzesiak za książkę *Dla*

(Liberum Atrium, Tuchów). Za najbardziej atrakcyjną pod względem edytorskim książkę uznano publikację *Stąpanie po szkłe* Anny Żłobińskiej wydaną przez WiMBP w Gorzowie Wlkp. Za całokształt twórczości nagrodzono Janusza Werstlera, poetę i publicystę związanego z Żarami, członka Związku Literatów Polskich. W sumie w konkursie oceniono 28 książek 26 autorów.

Przy organizacji następnej edycji zaszczyły kolejne zmiany. Do współorganizowania imprezy wawrzynowej w charakterze partnera zaproszono Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim. W 2011 r. w obradach komisji uczestniczyli pod przewodnictwem Bohdana Zadury z Wrocławia (redaktora naczelnego miesięcznika „Twórczość”): dr hab. Małgorzata Mikołajczak (UZ), Andrzej K. Waśkiewicz – redaktor dwumiesięcznika „Autograf”; sekretarzem była tak jak wcześniej Joanna Wawryk. Jury oceniło 32 zgłoszone na konkurs książki. Nagrodę otrzymał Konrad Wojtyła za książkę *Może boże* (Instytut Mikołowski) wydaną w 2010 r. Na liście nominacji znaleźli się: Krzysztof Fedorowicz za *Podróż na zachód, podróż na wschód* (Muzeum Regionalne w Świebodzinie), Beata Patrycja Klary za *Szczekanie głodnych psów* (WiMBP w Gorzowie Wlkp.), Krzysztof Koziółek za *Miecz zdrady* (wyd. Krzysztofa Koziółka, Nowa Sól) i Alfred Siatecki za *Drugi klucz do bramy* (Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra). Dyplom za debiut literacki przyznano Alicji Łukasik za książkę *Przebudzenie* (Rivia, Gorzów). Za walory edytorskie nagrodzono *Listy hipotetyczne* Zygmunta Marka Piechockiego wydane przez gorzowskie Wydawnictwo Sonar. Nagrodą za całokształt twórczości uhonorowano Czesława Sobkowiaka. Istotne, że od 2011 roku zaczęto także przyznawać Lubuską Nagrodę Literacką ZLP.

Kolejny rok przyniósł następne zmiany w składzie jury. Przewodniczącą została Małgorzata Mikołajczak, a członkami: Sergiusz Sterna-Wachowiak i Bohdan Zadura. Sekretarzem była tak jak dotychczas Joanna Wawryk. Biblioteka gorzowska stała się

obok zielonogórskiej ksiąźnicy współorganizatorem wszystkich Wawrzynów, natomiast zielonogórski oddział ZLP – partnerem organizacyjnym. Spośród wydanych w 2011 r. książek zakwalifikowanych do konkursu jury przyznało nominacje: Beacie Patrycji Klary za *Zabawę w chowanego* (Zeszyty Poetyckie, Gniezno), Andriejowi Kotinowi za *Motyle w motelu* (Pro Libris, Zielona Góra), Eugeniuszowi Kurzawie za *Ćwiczenia z rozpacz* (b.w., Wilkanowo), Czesławowi Markiewiczowi za *80. Urodziny Marilyn Monroe* (Tawa, Chełm), Henrykowi Urbankowi za *Iskierki* (Wyd. „Drzewo Laurowe”, Zielona Góra) i Jerzemu Beniaminowi Zimnemu za *Rubinosę* (Okolice Poetów, Poznań). Lubuski Wawrzyn Literacki otrzymała Beata Patrycja Klary. Uhonorowano także dyplomem za debiut literacki Paulinę Korzeniewską, autorkę książki poetyckiej *Usta Vivien Leigh* (Bramasole, Rzeszów). Dostrzeżone zostało wydawnictwo Atelier RED FROG w Deszcznie, otrzymało ono dyplom za walory edytorskie książek poetyckich: Jolanty Pytel *Nad urwiskiem*, Jadwigi Amroziak *Moje mieszkanie*, Barbary Konarskiej *Malowanka jesienna*, Władysława Łazuki *Słowa wśród wydm*, Haliny Bohuty-Stapel *Igły i widły*. Za całokształt twórczości nagrodzono Andrzeja K. Waśkiewicza. Z powodu choroby nie mógł on osobiście odebrać nagrody, ale przesłał list, w którym pisał:

Ja dorastałem i dorastało, a właściwie przekształcało się, według siebie właściwych mechanizmów, środowisko literackie. Mogłem, będąc wewnątrz, jednocześnie te mechanizmy śledzić i opisywać. Będąc przecież tyleż ich przedmiotem co podmiotem. [...] Do rzeczy i spraw, które dziś traktuje się albo jako zwykłe, albo nawet z pewnym poczuciem wyższości, mam stosunek ciepły i serdeczny, wiem bowiem, jak niełatwo było sprawić, by mogły się realizować. Tyle z nich było po prostu pierwszymi¹⁸.

W 2013 r. skład jury był następujący: Sergiusz Sterna-Wachowiak z Poznania – przewodniczący;

18 List Andrzeja K. Waśkiewicza napisany 22.02.2012. Przesłany do WiMBP i odczytany podczas gali wręczenia Lubuskich Wawrzynów.

dr hab. Małgorzata Mikołajczak, prof. UZ; Bohdan Zadura z Wrocławia – członkowie jury; Małgorzata Domagała – sekretarz z ramienia WiMBP w Zielonej Górze. Laureatem (to już trzecia nagroda dla tego autora) został Krzysztof Fedorowicz, autor powieści *Grünberg* (Libron, Kraków). Wśród nominowanych znaleźli się: Dorota Grzesiak za poezję *Kiedy grasz* (Druk-Ar), Jerzy Hajduga za *Powieki wieków* (Nowa Pracownia, Poznań), Agnieszka Moroz za *Aneks do gier* (Sonar, Gorzów Wlkp.), Czesław Sobkowiak za *Powieść ze snu* (Aprint, Zielona Góra). Przyznano także trzy dodatkowe nagrody. Dyplom za debiut literacki – Arturowi Wodarskiemu za książkę *Chrzęszczenie* (Miniatura, Kraków), dyplom za całokształt twórczości – Kazimierzowi Furmanowi, dyplom za walory edytorskie książki wydanej w 2012 r. otrzymał Zygmunt Marek Piechocki, autor pomysłu wizualnego i wydawca książki własnego autorstwa *W pobliżu rozumienia: tryptyk okazjonalny* (Sonar, Gorzów Wlkp.).

Od 2013 r. obok Wawrzynu Literackiego (XX edycja) i Wawrzynu Naukowego (IX edycja) zaczęto też przyznawać Wawrzyn Dziennikarski¹⁹. W skład komisji przyznającej nagrody literackie wchodził: Sergiusz Sterna-Wachowiak (przewodniczący); dr hab. Małgorzata Mikołajczak, prof. UZ; dr Katarzyna Taborska z PWSZ w Gorzowie. Sekretarzem była Małgorzata Domagała z zielonogórskiej WiMBP. Tym razem do konkursu zgłoszono 44 książki. Laureatem został Mirosław Kuleba za monumentalną książkę zawierającą eseje na temat historii zielonogórskiego winiarstwa *Enographia Thalloris* (Fundacja Gloria Monte Verde, Zielona Góra)²⁰. Nominowani byli także: Jerzy Fryckowski za *Chwile siwienia* (Tawa, Chełm), Maria Sidorska-Ryczkowska za *Klucze do rzeki* (Novae Res, Gdynia), Czesław Sobkowiak za *Rzekę powrotną. Zapiski i małe prozy* (Wrocławska Drukarnia Naukowa) i Małgorzata Stachowiak

-Schreyner za tomik *Jestem, która Jesteś* (Organon, Zielona Góra) ilustrowany akwarelami Anety Godyń. Dyplom honorowy za całokształt twórczości otrzymał pośmiertnie Zdzisław Morawski (odebrała żona, Maria Morawska) w związku z ukazaniem się tomu *Rzecz o dorzecznosci. Wiersze 1959-1992* (Sonar/ZLP, Gorzów Wlkp.). Za najładniejszą edytorsko książkę uznano nagrodzoną już publikację *Enographia Thalloris* wydaną przez Fundację Gloria Monte Verde (książka jest bogato ilustrowana, a jej objętość przekracza 1000 stron).

Do XXI edycji Lubuskiego Wawrzynu Literackiego wpłynęło aż 55 zgłoszeń w dziedzinie poezji, prozy i dramatu. Skład jury nie zmienił się. Nagrodę główną (po raz trzeci) otrzymał Czesław Sobkowiak za tomik poetycki *Światło przed nocą* (Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego) ilustrowany akwarelami Adama Bagińskiego, książka ta otrzymała także dyplom za najlepiej wydaną w 2014 r. Nominacje do lauru uzyskali także: Renata Diaków za powieść *Artysta Zmartwychwstały. Żywot w piętnastu stacjach* (Novae Res, Gdynia), Zygmunt Marek Piechocki za *Czerpanie z pustki. Poezje wybrane* (Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp.), Jolanta Pytel za tomik poetycki *Poza czasem* (Organon, Zielona Góra). Dyplom honorowy za całokształt twórczości przyznano pośmiertnie Annie Tokarskiej w związku z ukazaniem się tomu *Wiersze wybrane* (Pro Libris, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”). Za najlepszy debiut roku uznano książkę Marka Jurgońskiego *Mniejsza epopeja* (Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”).

Rok później dokonano ważnej zmiany regulaminowej. W poprzednich edycjach do konkursu mogły przystąpić osoby wywodzące się z województwa lubuskiego, obecnie zamieszkujące jego

19 Partnerem w organizacji konkursu był Lubuski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. W skład pierwszego jury wchodziły osoby: Marian Bugajski (przewodniczący), Ryszard Zaradny, Grzegorz Nieć, Małgorzata Grelak (sekretarz). Nagroda była przeznaczona dla dziennikarzy prasy, radia, telewizji i mediów internetowych, twórców najlepszych utworów dziennikarskich odnoszących się do obszaru województwa lubuskiego.

20 Zdarzały się w środowisku głosy, że książka ta nie powinna startować do Wawrzynu Literackiego, gdyż bliżej jej do eseju historycznego. Por. *Lubuskie Wawrzyny 2013*, „Pegaz Lubuski” 2014, nr 1, s. 20.

teren. Od 2015 r. ten punkt regulaminu przewiduje, że uczestnikami konkursu mogą być tylko osoby mieszkające na terenie województwa lubuskiego. W XXII edycji literacko zatriumfował Gorzów Wielkopolski. Jury w składzie: prof. dr hab. Inga Iwasiów ze Szczecina, prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak z UZ i Leszek Żuliński (ZG ZLP) z Warszawy uznało *Obiekty totemiczne* (Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin) autorstwa Beaty Patrycji Klary za najlepszą książkę 2015 r. Wśród nominowanych byli także: Karol Graczyk za tomik poetycki *Przełomy* (Instytut Mikołowski, Mikołów), Mirosława Szott za prozę poetycką *Anna* (Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”), Krzysztof Koziołek za kryminał z akcją osadzoną w krajobrazie regionu pt. *Furia rodzi się w Sławie* (Manufaktura Tekstów, Nowa Sól) oraz Renata Paliga za wiersze w tomie *Ośluchiwanie* (Fundacja Światło Literatury, Gdańsk). Ponadto przyznano aż cztery dodatkowe dyplomy: laur za debiut literacki otrzymała Dana Newelska, autorka książki pt. *Paracynamon* (Manufaktura Tekstów, Nowa Sól), za walory edytorskie nagrodzono *Ad Libitum* (wyd. własnym sumptem) Zygmunta Marka Piechockiego, a dyplomy honorowe za całokształt twórczości trafiły do Ireneusza Szmidta oraz pośmiertnie do Mieczysława J. Warszawskiego. Po raz pierwszy też impreza wawrzynowa odbyła się poza murami Biblioteki, a za miejsce uroczystej gali wręczenia dorocznych nagród pisarzom, naukowcom i dziennikarzom obrano wyremontowany obiekt Centrum Nauki Keplera-Planetarium Venus.

Lubuski Wawrzyn Literacki jest uznawany za najważniejszą nagrodę literacką regionu. Dzień jej przyznawania to prawdziwe święto literatury lubuskiej, a także okazja do spotkań w gronie nie tylko literatów, ale także – w związku z rozszerzoną formułą konkursu – regionalnych naukowców i dziennikarzy. Nie ulega wątpliwości, że ponad dwudziestoletnia tradycja sprawiła, że wzrosła ranga Wawrzynu, co związane jest nie tylko z wymiarem finansowym, ale także z wartością całego przedsięwzięcia. Walor artystyczny, prestiż i marka społeczna spowodowały, że nagroda stała się cenna w środowisku piszących i przyczyniła się do promocji samych autorów i ich książek.

Lubuski Wawrzyn Naukowy (2005–2015)

Przyznawanie Lubuskiego Wawrzynu Naukowego zostało zainicjowane w 2004 r. przez Edwarda Mincera, byłego redaktora „Gazety Nowej” i wiceprezydenta miasta Zielona Góra, będącego wówczas dziennikarzem Radia Zachód, który zgłosił swój pomysł w trakcie jednej z imprez cyklicznych organizowanych przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze pn. Czwartek Lubuski. Pomysł szybko podchwyciła Maria Wasik – dyrektor WiMBP i od następnego sezonu ustanowiono nową nagrodę regionalną za publikację o charakterze naukowym lub popularnonaukowym. W zamyśle pomysłodawców i organizatorów Wawrzyn Naukowy miał być nagrodą za najlepszą książkę roku o tematyce regionalnej, a przede wszystkim uhonorowaniem autora pracy dotyczącej dziejów i współczesności regionu, zwłaszcza za jej walory naukowo-edukacyjne i popularyzatorskie.

Pierwsza edycja ogłoszona była w 2005 r. Od samego początku w tym wydarzeniu brał udział Uniwersytet Zielonogórski (przewodniczącym jury został rektor Uniwersytetu Zielonogórskiego, który sponsorował złoty, a od 2010 r. srebrny liść wawrzynu). Poza księżnicą i uczelnią organizatorami byli też: Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego (fundator nagrody pieniężnej, która wynosiła co najmniej średnią krajową płacę), Archiwum Państwowe w Gorzowie Wielkopolskim, Archiwum w Zielonej Górze i Radio Zachód. Każda z tych instytucji posiadała przedstawiciela w jury.

Warunkiem udziału w konkursie było nadesłanie książki, której tematyka dotyczy dziejów lub współczesności regionu. Wawrzyn przyznawany był za walory naukowo-edukacyjne i popularyzatorskie. Członkami jury pierwszej edycji zostali: prof. dr hab. Czesław Osękowski (Uniwersytet Zielonogórski) jako przewodniczący, dr hab. Wojciech Strzyżewski (WiMBP), dr Mieczysław Jerulank (Urząd Marszałkowski), mgr Juliusz Sikorski (AP w Gorzowie), mgr inż. Edward Mincer (Radio Zachód) i dr Tadeusz Dzwonkowski (Archiwum w Zielonej Górze). Do pierwszej edycji konkursu zgłoszono 19 publikacji wydanych w 2005 r. Jury przyznało główną nagrodę Dariuszowi A. Rymarowi za książkę pt. *Gorzów*



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2005 (z prawej Dariusz A. Rymar)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2005 (nominacje)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2006 (Tadeusz Dzwonkowski)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2007 (Tomasz Andrzejewski)

Wielkopolski. w latach 1945-1998. Przemiany społeczno-polityczne (wyd. Dokument, Gorzów Wlkp.-Szczecin). Wśród nominowanych znaleźli się: Mirosław Kuleba za *Ampelografię Zielonej Góry* (Pro Libris, Zielona Góra), Wacław Nycz za *Nietoperek. Stare i nowe dzieje* (Urząd Miejski, Międzyrzecz) oraz Marlena Magda-Nawrocka i Tomasz Struk za książkę *Krosno Odrzańskie przez wieki. Territorio de Crosse* (bw, Krosno Odrzańskie).

W skład jury II edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego weszli: prof. dr hab. Czesław Osękowski (UZ) – przewodniczący, prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski (WiMBP), prof. dr hab. Dariusz Dolański (UMWL), dr Dariusz A. Rymar (AP w Gorzowie) oraz mgr inż. Edward Mincer (Radio Zachód). Zgłoszono mniej książek (13) niż w poprzednim roku. Nagrodę za 2006 r. otrzymał Tadeusz Dzwonkowski za pracę pt. *Zielonogórski Klub Inteligencji Katolickiej w latach 1981-2006* (KIK, Zielona Góra), a nominację uzyskali Krystyna Kamińska i Ireneusz Szmidt za książkę *Byliśmy w Teatrze. 60. lat Teatru im. J. Osterwy* (Arsenał, Gorzów Wlkp.).

Kolejny rok przyniósł zwycięstwo Tomaszowi Andrzejewskiemu za książkę (opublikowana praca doktorska) *Rechenbergowie w życiu społeczno-gospodarczym księstwa głogowskiego w XVI-XVII wieku* (Uniwersytet Zielonogórski). Jury w prawie niezmienionym składzie (doszedł laureat poprzedniego Wawrzynu – dr T. Dzwonkowski, dyrektor Archiwum Państwowego w Zielonej Górze) nominowało do nagrody jeszcze trzech badaczy, którzy wydali swoje prace w 2007 r.: Wojciecha Eckerta za książkę *Fortyfikacje nadodrzańskie w procesie rozwoju nowożytnej sztuki fortyfikacyjnej w XVII-XIX w.* (Uniwersytet Zielonogórski), Jarosława Kuczera za pracę *Szlachta w życiu społeczno-gospodarczym księstwa głogowskiego w epoce habsburskiej 1526-1740* (Uniwersytet Zielonogórski) oraz Edwarda Rymara za *Klucz do ziem polskich, czyli dzieje Ziemi Lubuskiej aż po jej utratę przez Piastów i ugruntowanie władzy margrabiów brandenburskich* (WiMBP, Gorzów Wlkp.). W sumie jurorzy ocenili 16 nadesłanych publikacji książkowych.

W 2009 r. do konkursu zgłoszono 14 pozycji. W obradach jury uczestniczyli: prof. dr hab. Czesław

Osekowski (Uniwersytet Zielonogórski), prof. dr hab. Dariusz Dolański (Urząd Marszałkowski), dr Tadeusz Dzwonkowski (Archiwum Państwowe w Zielonej Górze), mgr Juliusz Sikorski (Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp.), mgr inż. Edward Mincer (Radio Zachód) oraz dr Przemysław Bartkowiak z WiMBP jako sekretarz. Funkcja sekretarza polegała głównie na koordynowaniu działań członków jury, oraz – w przypadku sekretarza Wawrzynu Naukowego – brał on udział w głosowaniu jury. Lubuski Wawrzyn Naukowy 2008 otrzymał Radosław Skrycki za pracę *Dzieje kartografii w Nowej Marchii do końca XVIII wieku* (wyd. DiG, Warszawa). Wśród nominowanych znaleźli się: Zbigniew Czarnuch za książkę *Ujarzmianie rzeki. Człowiek i woda w rejonie ujścia Warty* (Arsenał, Gorzów Wlkp.) oraz Leon Okowiński za książkę *Sulechów 1945-2005. Przemiany gospodarczo-społeczne* (b.w., Sulechów).

W V edycji konkursu na najlepszą książkę naukową za 2009 r. o tematyce regionalnej uznano pracę Wojciecha Strzyżewskiego pt. *Herby i tytuły. Pieczęć szlachecka w księstwie głogowskim (XVI-XVIII wiek)* (wyd. DiG, Warszawa). W tym roku zmianie uległ skład jury. Przewodniczącym pozostał tak jak dotychczas prof. dr hab. Czesław Osekowski z UZ. Pozostałymi członkami byli: prof. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska – rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wlkp. (uczelnia od tego czasu stała się partnerem organizacyjnym LWN), mgr inż. Edward Mincer, mgr Konrad Stanglewicz – obaj z Radia Zachód oraz dr Przemysław Bartkowiak – sekretarz jury z ramienia WiMBP. Wyróżniono nominacjami trzy osoby: Lucynę Giesen za *Architekturę secesyjną w Gorzowie* (WiMBP, Gorzów Wlkp.), Dariusza A. Rymara za *Radio „Solidarność” w Gorzowie Wielkopolskim w latach 1982-1989* (IPN, Szczecin) oraz Ryszarda Zaradnego za książkę *Władza i społeczeństwo Zielonej Góry w latach 1945-1975* (Uniwersytet Zielonogórski).

Jury Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2010 obradowało po raz pierwszy pod przewodnictwem prof. dr hab. Wojciecha Strzyżewskiego (UZ). W jego składzie nie było już przedstawiciela Radia Zachód. Współorganizatorem LWN została biblioteka gorzowska, a partnerami szkoły wyższe w Gorzowie



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2008 (w środku Radosław Skrycki)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2009 (Wojciech Strzyżewski)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2010 (Dariusz A. Rymar)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2011 (Daniel Koteluk)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2012 (Przemysław Bartkowiak)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2013 (Anna Zielińska)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2014 (Małgorzata Konopnicka)



Lubuski Wawrzyn Naukowy 2015 (Edward Rymar)

(PWSZ i ZW KF AWF od 2011 r.) i Sulechowie (PWSZ). Po raz pierwszy do jury zaproszono też przedstawiciela nauk ścisłych: prof. dr. hab. Mariana Miłka – rektora PWSZ w Sulechowie. Pozostałymi członkami byli: prof. dr. hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, dr Przemysław Słowiński (oboje z PWSZ w Gorzowie), dr Przemysław Bartkowiak z WiMBP (sekretarz). Laureatem został po raz drugi Dariusz A. Rymar za książkę *Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność w Regionie Gorzów Wielkopolski w latach 1980-1982* (Region NSZZ „Solidarność”, Gorzów Wlkp.), a nominacje otrzymali: Andrzej Toczewski za *Bitwę o Odrę w 1945 roku* (Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra) oraz Marceli Tureczek za *Zabytkowe dzwony na Ziemi Lubuskiej* (Arcanum, Zielona Góra). Ponadto po raz pierwszy wyróżniono dyplomem za najlepszą pracę popularnonaukową (odtąd będzie to już zwyczajem) Tomasza Czyżniewskiego, autora książki *Zielona Góra przełomu wieków XIX/XX* (Wyd. „Księży Młyn”, Łódź), z dodatkami: reprintem planu Zielonej Góry z połowy lat 20. XX wieku oraz płytą DVD z filmowymi wędrowkami po przedwojennej Zielonej Górze. Nagroda finansowa dla laureata Wawrzynu wynosiła wówczas 3500 zł. W roku następnym jej wartość wynosiła już 4000 zł, a w latach późniejszych 5000 zł.

W kolejnym roku w obradach gremium nie uczestniczył już dr Przemysław Słowiński. Jego miejsce zajął dr hab. Tomasz Jurek prof. AWF (rektor Zamiejscowego Wydziału Kultury Fizycznej poznańskiej AWF w Gorzowie Wlkp. – która to placówka także stała się partnerem LWN). Laur przyznano Danielowi Kotelukowi za książkę *W nowych realiach. Wieś zielonogórska w latach 1945-1956* (Eternum, Zielona Góra). Nominacje otrzymali: Robert Skobelski i Ireneusz Wojewódzki za pracę *Z prądem i pod prąd. Historia zielonogórskiej Elektrociepłowni* (Uniwersytet Zielonogórski i Elektrociepłownia SA „Zielona Góra”), Anitta Maksymowicz za dysertację *Emigracja z pogranicza Brandenburgii, Śląska i Wielkopolski do Australii Południowej w latach 1838-1914* (Uniwersytet Zielonogórski) oraz Dariusz Dolański za publikację *Zielonogórska droga do uniwersytetu: 10-lecie Uniwersytetu Zielonogórskiego, 46-lecie zielonogórskiego środowiska akademickiego* (Uni-

wersytet Zielonogórski). Wiesław D. Łabęcki i Stefan Pilaczyński – autorzy pracy *Alfabet gubińskich ulic. Alphabet der Gubiner Straßen* (Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Gubińskiej, Gubin) zostali uhonorowani dyplomem za najlepszą książkę popularnonaukową wydaną w 2011 r.

W VIII edycji konkursu główna nagroda za książkę naukową wydaną w 2012 r. przypadła Przemysławowi Bartkowiakowi za monografię *Dzieje harcerstwa na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1989* (WiMBP im. C. Norwida, Zielona Góra). Jego miejsce jako sekretarza jury zajął dr Paweł Liefhebber z zielonogórskiej WiMBP i taki skład jury pozostał niezmieniony aż do 2016 r. Przewodniczącym kapituły był prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Wśród nominowanych byli: Dariusz A. Rymar (nominacja po raz czwarty) za książkę „Odblokować zakład!”. *Strajk w Zakładach Mechanicznych „Gorzów” w Gorzowie Wielkopolskim w dniach 15-16 grudnia 1981 roku – geneza, przebieg i następstwa* (Region NSZZ „Solidarność”, Gorzów), Dorota Bazuń, Izabela Kaźmierczak-Kałużna i Magdalena Pokrzyńska za *Matki Sybiraczk – losy i pamięć. Polskie kobiety zesłane w głąb ZSRR* (Uniwersytet Zielonogórski). Za najlepsze książki popularnonaukowe uznano: *Nad Wartą i wśród lasów. O dawnych i współczesnych mieszkańcach witnickich wsi* (MDK, Witnica) Zbigniewa Czarnucha oraz *Żarska porcelana 1888-1945 Sorauer Porzellan* (Drukarnia K. Raczkowski, Żary) autorstwa Ireny Gatys i Romana Gatys.

Lubuski Wawrzyn Naukowy 2013 został przyznany Annie Zielińskiej (pierwszy raz uhonorowano nim badaczkę) za książkę *Mowa pogranicza: studium o językach i tożsamościach w regionie lubuskim* (Ślawistyczny Ośrodek Wydawniczy, Warszawa). Nominowani byli także: Miron Urbaniak za *Kolej Skwierzyna – Stare Bielice: kolejowy modernizm w Polsce* (Wyd. „Księży Młyn”, Łódź) oraz Radosław Skrycki za *Prace kartograficzne w dolinach Odry, Warty i Noteci w okresie fryderycjańskim* (Uniwersytet Szczeciński). Dyplomami za najlepsze książki popularnonaukowe wyróżniono Zbigniewa Czarnucha za pracę *Posmakuj Witnicy: opowieści o sztuce warzenia piwa w ogóle, a piw lubuskich*

w szczególności (Wyd. Browar, Witnica) oraz Tadeusza Marcinkowskiego za *Skarby pamięci* (RCAK, Zielona Góra). Obradom kapituły ponownie przewodniczył prof. W. Strzyżewski z UZ.

Jubileuszowy, X Lubuski Wawrzyn Naukowy otrzymała Małgorzata Konopnicka za publikację *Oficer – urzędnik – dworzanin. Kariery szlachty śląskiej w państwie pruskim (1740-1806)* (Uniwersytet Zielonogórski). Jej książce przypadł też dyplom za walory edytorskie (przyznany po raz pierwszy). Wśród nominowanych byli: Marcelec Tureczek, autor książki *Ziemia Lubuska. Społeczny wymiar dialogu o przeszłości i tożsamości* (PTH, Międzyrzecz-Wschowa-Zielona Góra) oraz ks. Dariusz Śmierchalski-Wachocz, autor dysertacji *Duchowieństwo rzymskokatolickie na Pomorzu Zachodnim, Środkowym i Ziemi Lubuskiej w świetle dokumentów państwowych lat 1945-1989* (Uniwersytet Zielonogórski). Najlepszymi książkami popularnonaukowymi za 2014 r. okazały się dwie pozycje: *100 lat Parku Róż. Park miejski od Cesarza Wilhelma do dziś* (SPK, „Kamienica”, Gorzów Wlkp.) Roberta Piotrowskiego, a także *Siedlisko przez wieki. Z dziejów Zamku Karolat* (Wyd. Rekl. „Martinus”, Siedlisko) Tomasa Andrzejewskiego. Przewodniczącym jury LWN był kolejny raz prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski (UZ), członkami: prof. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska (PWSZ w Gorzowie Wlkp.), prof. dr hab., inż. Marian Marian Miłek (PWSZ w Sulechowie), dr hab. Tomasz Jurek, prof. AWF (ZWKF w Gorzowie Wlkp.) i sekretarzem dr Paweł Liefhebber (WiMBP w Zielonej Górze)

W 2016 r. jury, któremu przewodniczył prof. dr hab. W. Strzyżewski (UZ), przyznało Lubuski Wawrzyn Naukowy Edwardowi Rymarowi za publikację *Historia polityczna i społeczna Nowej Marchii w średniowieczu (do roku 1535)* (WiMBP im. Z. Herberta, Gorzów Wlkp.). Nominacjami wyróżniono Marcelega Tureczka za książkę *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku* (Uniwersytet Zielonogórski) – praca nagrodzona dyplomem za walory edytorskie oraz Jolantę Skierską za książkę (opublikowany doktorat) *Ludność Zielonej Góry w latach 1652-1766 w świetle ksiąg metrykal-*

nych (Uniwersytet Zielonogórski). Dyplom za pracę popularnonaukową otrzymał ks. Dariusz Gronowski, autor publikacji *Biskup Wilhelm Pluta. Biografia* (Instytut Bpa W. Pluty, Gorzów Wlkp.), a nagrodę ufundował rektor PWSZ w Sulechowie. Nagroda finansowa dla laureata Wawrzynu wynosiła wówczas 3500 zł. W roku następnym jej wartość wynosiła już 4000 zł, a w latach późniejszych 5000 zł.

Lubuski Wawrzyn Naukowy jest przyznawany od 11 lat. Przez ten czas wyróżniono w konkursie ponad 40 najlepszych książek naukowych i popularnonaukowych o tematyce regionalnej, co pokazuje, jak ważne i różnorodne stały się badania o tematyce regionalnej (zwycięstwa przypadały przede wszystkim publikacjom historycznym, dotychczas bowiem nie nagrodzono książki spoza dziedziny humanistyki). Nagroda ta przyznawana przez jurorów reprezentujących cztery najważniejsze szkoły wyższe w województwie lubuskim (Uniwersytet Zielonogórski, Akademia Gorzowska im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp., PWSZ w Sulechowie i gorzowski Wydział Zamiejscowy AWF im. Eugeniusza Piaseckiego w Poznaniu) stała się wyróżnieniem bardzo cenionym w świecie ludzi nauki, o czym świadczyć może zwiększająca się co roku grupa naukowców biorących udział w konkursie. Jest w niej liczne grono młodych naukowców, przeważnie doktorantów, ale też osób ze stopniami naukowymi – doktorzy, doktorzy habilitowani, profesorowie uczelniani i belwederscy, jak też pracownicy naukowo-dydaktyczni uczelni, wykładowcy, nauczyciele, pedagodzy i teoretycy z instytucji naukowych, ośrodków badawczych i placówek szkoleniowych, istniejących w województwie lubuskim.

Lubuski Wawrzyn Dziennikarski (2013–2015)

Wawrzyn Dziennikarski jest najmłodszą nagrodą w lubuskim środowisku ludzi pióra. I mimo że żurnaliści od lat otrzymywali i nadal otrzymują nagrody

za swoją pracę²¹, to przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Tadeusz Krupa wyszedł z propozycją organizacji i przyznawania Wawrzynu także redaktorom, parającym się sztuką dziennikarską, co konsekwentnie wdrożył dyrektor WiMBP Andrzej Buck. W zamyśle organizatorów Lubuski Wawrzyn Dziennikarski miał być nagrodą za najlepszy utwór dziennikarski – reportaż, publicystykę, esej, felieton, artykuł polemiczny, dyskusyjny bądź z zakresu innego gatunku dziennikarskiego. Celem konkursu była i jest promocja lokalnych dziennikarzy prasy, radia, telewizji i mediów internetowych z naszego regionu, twórców najlepszych utworów odnoszących się do obszaru województwa lubuskiego. Nagroda Wawrzynu ma uhonorować przede wszystkim tych dziennikarzy, którzy najlepiej promują region. Warunkiem zgłoszenia prac do Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego jest dostarczenie czterech różnych publikacji dotyczących województwa lubuskiego, opublikowanych lub wyemitowanych w danym roku kalendarzowym. Partnerem organizacyjnym LWD był od początku oddział lubuski Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej z siedzibą w Zielonej Górze, które ufundowało nagrodę główną w pierwszej edycji, a od następnej sponsorem nagród był Arkadiusz Olszowy, wywodzący się z Zielonej Góry, były działacz opozycyjny i dziennikarz Radia Wolna Europa, a obecnie biznesmen prowadzący w Warszawie biuro podróży (nagroda dla triumfatora konkursu w gronie dziennikarskim wynosiła 5000 zł).

W pierwszej edycji konkursu jury pod przewodnictwem prof. dr. hab. Mariana Bugajskiego z Uniwersytetu Zielonogórskiego wespół z dr. hab. Ryszardem Zaradnym, prof. UZ i dr. Grzegorzem Nieciem z Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie oraz sekretarzem jury Małgorzatą Grelak z WiMBP, przyznało Wawrzyn Cezaremu Galkowi, redaktorowi Radia Zachód za audycje i reportaże *Opowieść prowincji*.

21 Do 2012 r. lubuski Okręg Stowarzyszenia Dziennikarzy RP przyznawał coroczną nagrodę „Dziennikarz Roku” w kilku kategoriach, np. społecznej, gospodarczej, kulturalnej czy dla fotoreportera i wyróżniającego się młodego dziennikarza. Ponadto od 2010 r. SDRP razem z Lubuskim Oddziałem Wojewódzkim Narodowego Funduszu Zdrowia organizuje konkurs dla lubuskich dziennikarzy podejmujących temat ochrony zdrowia. Od 2016 r. wprowadzono także pierwszą edycję konkursu „Samorząd lubuski w mediach”, którą przeprowadzili wspólnie SDRP i samorząd województwa lubuskiego.

cjonalna, *Wiersz dla Emilki, Historia dwóch Marii i Przodem do przodu*. Nominację otrzymało zaś jeszcze trzech innych dziennikarzy: redaktor telewizyjny i realizator filmowy Jacek Katarzyński z Regionalnej Telewizji Lubuskiej za audycje telewizyjne, Leszek Kalinowski – publicysta „Gazety Lubuskiej” za artykuły prasowe i Wojciech Kuska z lubuskiego oddziału TVP za filmy dokumentalne. Dyplom dla wyróżniającego się młodego dziennikarza przypadł Agacie Żralce z lubuskiej mutacji „Gazety Wyborczej”. Na edycję wpłynęło ponad 20 zgłoszeń, także od dziennikarzy spoza regionu lubuskiego.

Do drugiej edycji konkursu napłynęło 16 zgłoszeń. Jury w składzie prof. dr hab. Marian Bugajski (przewodniczący), dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i redaktor naczelny tygodnika „Przegląd” Jerzy Domański oraz sekretarz jury dr Robert Rudiak z WiMBP postanowiło przyznać główną nagrodę redaktorowi Radia Zachód Donatowi Linkowskiemu za audycje radiowe wyemitowane w 2014 r., a poświęcone regionalnej muzyce ludowej: *Ziemia i Pieśń I, Ziemia i Pieśń II, Na swojską nutę i Donata swojskie klimaty*. Ponadto nominacje do Wawrzynu otrzymali: Leszek Kalinowski z „Gazety Lubuskiej” za artykuły publicystyczne i reportaże, Maja Sałwacka z „Gazety Wyborczej” za reportaże prasowe, Artur Wiszniewski z TVP Gorzów za reportaże telewizyjne i Marzena Wróbel-Szała z Radia Zachód za reportaże radiowe. Jury postanowiło przyznać także dyplomy – za całokształt twórczości otrzymał D. Linkowski, a dla wyróżniającego się młodego dziennikarza przypadł M. Sałwackiej.

Trzecia edycja Wawrzynu dla regionalnych żurnalistów rozstrzygnięta została w lutym 2016 r. w Planetarium Wenus, a udział w niej wzięło 14 redaktorów, którzy nadesłali łącznie 56 propozycji. Kapituła w składzie dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, profesor UJK (przewodnicząca), prof. dr hab. Bogusław Nierenberg z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr Grzegorz Nieć z Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie i sekretarz dr Robert Rudiak przyznało Wawrzyn za 2015 r. Michałowi Szczęchowi, dziennikarzowi „Tygodnika Regionalnego” i „Gazety Wyborczej” za



Lubuski Wawrzyn Dziennikarski 2013 (z prawej Cezary Galek)



Lubuski Wawrzyn Dziennikarski 2014 (z prawej Donat Linkowski)



Lubuski Wawrzyn Dziennikarski 2015 (Paweł Szczęch)

cztery artykuły prasowe: *Blood and Honour* (Mury Polskie), *Ćwierć miliona ruskich, Niemiecki las żywi nas. Grzyb to pieniądz* i *Wszyscy jesteśmy winni*. Nominowanymi do nagrody byli także: Dariusz Chajewski z „Gazety Lubuskiej” i Karolina Kamińska z Radia Zachód. Jurorzy przyznali także dyplom za całokształt twórczości D. Chajewskiemu, a dyplom dla wyróżniającego się młodego dziennikarza do 35 lat K. Kamińskiej.

W ciągu trzech edycji najmłodszego z Lubuskich Wawrzynów nagrody otrzymało trzech dziennikarzy – dwóch radiowych i jeden prasowy, nominowanych zaś było ośmioro redaktorów. Wręczono również dwa dyplomy za całokształt pracy i trzy dyplomy dla młodych dziennikarzy. Nagroda, jaką stanowi Lubuski Wawrzyn Dziennikarski, z roku na roku zdobywa w świecie dziennikarzy coraz większy

prestż, o czym świadczy atrakcyjna formuła konkursu, otwarta dla redaktorów różnorodnych mediów, a także rosnący poziom nadsyłanych na konkurs prac dziennikarskich.

Ponadto organizację Lubuskich Wawrzynów znacząco wsparły finansowo: Wojewoda Lubuski, Zarząd Województwa Lubuskiego oraz Miasto Zielona Góra i Gorzów Wielkopolski.



RECENZJE I OMÓWIENIA

Zaprzeczanie światła. O nowej książce poetyckiej Czesława Sobkowiaka

Czesław Sobkowiak, *Kilka wierszy*, nakładem własnym, Kraków 2016, 54 s.

Czesław Sobkowiak to autor przenikliwych diagnoz, stawianych na gruncie niewymuszonej, здава́ć by się mogło, od niechcienia prowadzonej obserwacji. Cenię spokojny, niekrzykliwy nurt jego prozy, w której zapisuje swoje arcyelne, acz niearbitralnie formułowane spostrzeżenia. W poezji cechowało go dotąd dążenie do przeniknięcia realnego wymiaru rzeczy, a opisy stanowiły nierzadko asumpt do próby dotknięcia tego, co kryje maska rzeczywistości. Wiele takich obrazów spotykamy w obszernym zbiorze *Światło przed nocą*, który przesiąknięty jest czułością do zwyczajności i wrażliwością na nieoczywiste piękno świata.

„Nie był dla poety ten rok” – taka konkluzja otwiera ostatni zbiór poezji zielonogórskiego twórcy, wydany w krakowskiej oficynie w nakładzie zaledwie 40 egzemplarzy. Czytam tę frazę jako klucz do zrozumienia zawartości *Kilku wierszy* – tomu, w którym zauważamy wyraźne przesunięcie akcentu z tonacji jasnej na ciemną. Poeta odchodzi od tak dla niego charakterystycznej, mocno obecnej w poprzednich zbiorach afirmacji życia. Zapisane tu nastroje można pojmować jako naturalną konsekwencję zmiany postawy mówiącego podmiotu. Można odnieść wrażenie, że podjął wreszcie próbę nazwania po imieniu własnych rozczarowań i klęsk, jakby przestał poszukiwać tego, co tak łatwo zauważał w poprzednich tomach. Ironia i refleksja wzięły tu górę nad wcześniejszymi zachwyty. Bohater Sobkowiaka

uświadamia sobie, że życie jest tym, czym jest, i nie będzie niczym więcej. Tu już nie ma eksplorowania widzialnego poziomu bytu w poszukiwaniu złożoności kosmosu, kosmos okazał się bowiem mniej zadziwiający, niż można było przypuszczać. Pokładane w losie nadzieje nie przyniosły niczego, czego podmiot oczekiwał. Uporczywa wiara w piękno i dobro zawiodła. Poeta, pogodzony z tym, odchodzi od poszukiwania tego, co warunkuje o promienności świata. Tak jakby przyjął ostatecznie jego ponurą perspektywę:

Kiedyś czyli wcześniej niż później
Wszystkie znaki odciski i ślady
[...]
Pokaże przychylna do lustra wody twarz
Złożona w dłonie i jednak samotna

Adorowana i eksplorowana w poprzednich tomach zwyczajność konkretnego jest tu elementem drugorzędny. Poeta nie szuka już transcendencji, nie zawiesza głosu w oczekiwaniu na cud. Stało się to, co przeczuwane, złudzenia odeszły, a uczciwość wobec siebie wymaga, by i tę prawdę wyrazić. Epifanijne refreny, które tak wyraźnie wybrzmiewały w nagrodzonym Wawrzynem tomie *Światło przed nocą*, ucichły.

Poświadczeniem tej zmiany perspektywy są wiersze naznaczone zwiększonym dystansem i nie-

ufnością wobec rzeczywistości. Zarysowane rozczarowania współgrają z językowo-konstrukcyjną stroną tekstów. Poeta staje się w tym zbiorze bardziej enigmatyczny, swoje spostrzeżenia ujmując w formy naznaczone większą kondensacją i dyscypliną. Na pewno rezygnuje z ornamentyki typowej dla klasycznego liryzmu. Mniej tu leksykalnego rozmachu, więcej wnikliwości i rzeczowego skupienia. Trudno przecież mówić z euforią czy emfazą o końcu złudzeń. Załamanie jasnej wizji świata wymaga użycia innej formuły. Poeta, który do tej pory wyostrzał wzrok na jasne strony świata, przekierowuje uwagę na jego mroczne zakamarki. Dziś jedyne, co ma sens, to osławianie opuszczonych miejsc, w których pozostały tylko wspomnienia dotyków i zapachów, a o puste ściany odbija się cisza. Poeta nie delektuje się tu już wschodami słońca, jego poranki zdają się coraz częściej tonąć w mroku. Dlatego, odrzucając pokusę upiększania rzeczywistości, zadaje pytanie:

Jednak czy można
Bez wdawania się w szczegóły
Porankiem nazwać ciemność
W której ostatnio coraz więcej
Światła doznaje zaprzeczenia

W swoim zbiorze zamieszcza spostrzeżenia o świecie, którym rządzi miałość, a hałaśliwe dni biegają donikąd. Jednak unika jednoznacznych konkluzji, kontestacja obserwowanej rzeczywistości nie ma formy agresywnie wyrażonego sprzeciwu, jest raczej cichą skargą: „Nie bój się życia/ Nie ma dla ciebie/ Nowych wiadomości”.

Rezygnacja z nadziei jest tu na pewno jedną z mocniej wyartykułowanych postaw. Świat, w którym doświadczamy relatywizacji wartości, w którym „błędy nieco inaczej udekorowane można pomylić z zaletami”, trudny jest przecież do przyjęcia. Poeta upomina się tu o tych, których wyrzucono za burtę, bo ich istnienie było za mało efektywne, a swoje prawdy ogłaszali zbyt nieśmiało; tęskni za czasem zwyczajnych barów, które przeminęły jak nadzieja na to, że życie jednak okaże się dobre. „Gdzie są ludzie prawdziwi i co robią” – dramatycznie pyta (*W tym barze*).

Niknące piękno życia, resztki jego blasku zdaje się upatrywać w sacrum natury, niespiesznych rozmowach, wspomnieniach jasnego dzieciństwa. Reminiscencje beztróskiego czasu nie są jednak tak częste, jak bywało to we wcześniejszych zbiorach. Bez wątpienia jeszcze tylko „Ciało kobiety/ Rozświetla wszelkie/ Ciemności”. Pierwiastek kobiecy jawi się niekiedy jako uszczęśliwiający, ale także często prowadzi też do bezdennej rozpacz.

Nie ma już tych, których zastanowić by mogło, „do jakich krawędzi podążają zwykłe dni”. Zapisuje więc poeta także doświadczanie świata, który wyparł ze świadomości śmierć, który z cynizmem traktuje każdą głębszą myśl, w którym należy się wstydzić natchnienia, bo można być posądzonym o pozę. Trudno jest jednak, co z nieśmiałością wyznaje, wyzbyć się pragnienia czułości, na którą można czekać choćby wieczność.

W jednym z wierszy poeta przywołuje cykliczną koncepcję czasu, przeplatając jasne kadry przeszłości z przecuciem mających nadejść komplikacji życiowych, które jednak przyjmuje z pokorą:

Wołam po imieniu psa
Którego przyjdzie mi utracić
Ojciec pracuje żeby chleb
Był na stole ale złożony chorobą
Leży na twardej ławce [...]

Można odnieść wrażenie, że zwerbalizowany w tym tomie pesymizm wezbrał w poecie, który wreszcie dojrzał do tego, żeby tę utratę nadziei ośwoić. Konstatuje, że zarówno miłość, jak i śmierć, powszechnie ukazywane jako opozycje, w jego świecie są jednakowo głuche i nie odpowiadają na żadne pytania (*Cafe życie*).

Choć „rzeczy, sny i blaski się rozpadają”, nie należy zadawać sobie bólu, stawiając niepotrzebne pytania. Może lepiej pozostać w dialogu z sobą? Pochylenie karku i czoła uszlachetniło człowieka, który zrozumiał, że trzeba przyjąć i tę prawdę. To momenty, jak mówi, „z kategorii ciężkich”, ale nic z tym nie można zrobić. Cierpienie jest jak ciało obce, które z czasem staje się naszym własnym, a piękno świata przestaje być siłą motywującą

do życia (*Mlec*). Radości przestają równoważyć narastający ból.

Swoją kontestację życia zamyka poeta obserwacją „głupawych mężczyzn o zasobnych portfelach i kobiet udających piękno”. Niestety, należy pogo-

dzić się z tym, że w tym świecie szlachetne twarze i rozumiejące oczy muszą „milczeć w służebnym ukłonie”.

Anna Dominiak

A jeśli otworzy się piekło?

Leszek Żuliński, *Pani Puszczalska*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2016, 46 s.

Po *Suchych tanach*, wydanym w 2015 r. tomie Leszka Żulińskiego, otrzymujemy książkę stanowiącą w pewnym sensie kontynuację poprzedniej, ale traktującą już nie tyle o minionym czasie, co o przemierzaniu się do nieuchronnego, co poeta określił jako próbę „prześwietlenia mroku”. Przyznać trzeba, że wśród natłoku poważnie, a niekiedy przerażająco patetycznie brzmiących tytułów wydawanych w ostatnim czasie zbiorów poetyckich, rzecz zwraca uwagę frywolną nazwą. Do tego zaskakuje, bo zawartość tomu nie licuje z jej pikantnym tytułem. *Pani Puszczalska* bowiem to książka o rzeczach ostatecznych, zawierająca refleksje, które literatura, zdawać by się mogło, wyeksploatowała już do imentu. Dziś rozważać w poezji problem przemijania i śmierci, nie wpadając przy tym na mieliznę patosu i banału, to prawdziwa sztuka. Tutaj rozmyślenia o kresie ujęte zostały w konwencję groteski. W wierszu otwierającym zbiór Leszek Żuliński (trudno oprzeć się pokusie utożsamienia podmiotu z samym autorem) w bezpośredni, autoironiczny sposób przedstawia własne doświadczenie *vanitas*, gdy z rozrzewnieniem wspomina czasy, jak to „pisał traktaty i bałamucił dziewczęta”. Wylicza przy tym, nie szukając eufemizmów, określenia konotujące rozpad:

[...] pokryłem się łuską,
zasnułem patyną, zrogowaciałem
i zaśniebiałem, rdza mnie toczy,
murszeję

(*Marzenie*)

Ale szamocząc się z cielesnymi ograniczeniami, nie przestaje pragnąć i marzyć, nie tylko o zatrzymaniu zmysłowych rozkoszy, ale także o tym, by „wzrokiem sowy, myślą mędrca” objąć całość własnego doświadczenia. I zbiór ten jest właśnie taką próbą objęcia poezją tego, co składa się na doświadczenie istnienia. Ogarnięcia, podsumowania, rozliczenia, z pełną świadomością kurczącego się coraz szybciej czasu.

Jeszcze raz podkreślę, że trudno oprzeć się tu wrażeniu, że jest to wyznanie wyjątkowo osobiste (autor sam przecież zwykł nazywać siebie tetrykiem, jakkolwiek mocno mielibyśmy ochotę z tym polemizować). Kolejne chwile spędzone na lekturze wierszy z tego tomu jeszcze bardziej umacniają nas w przeświadczeniu, że mamy do czynienia z niezwykle ujęciem znanej i wyczerpanej już w liryce tematyki i jakkolwiek mało odkrywczo brzmiałaby ta myśl, trzeba ją tu wyartykułować raz jeszcze: Leszek Żuliński zdaje się przekonywać, że dopiero z perspektywy lat możemy zbliżyć się do prawdy o sobie i o świecie, zweryfikować spojrzenie na ważne i błahe (choć często błahe są tylko na pozór) sprawy wypełniające życie. W wirze przeżyć, ekstazie istnienia trudno jest bowiem objąć umysłem to, co stanowi jego esencję.

Rozmyślaniami o kresie towarzyszą rozważania natury, i tu wypada użyć tego słowa: metapoetyckiej. To, co wydaje mi się najciekawsze w tym tomie, to właśnie refleksja o tworzeniu zawarta w cyklu tekstów, których podmiotem, a zarazem przedmiotem jest sam wiersz. Autor rekapitułuje w nich swoje poglądy na temat języka, zaznaczając, że szczególnie dojmującym, co oczywiste w przypadku poety,

jest problem słabnącej mocy języka – kodu, którym w wyrafinowany sposób pozwala porozumieć się ze światem. Z przymrużeniem oka opisuje postępującą afazję, przeprowadza remanent słów, a o języku mówi z prawdziwą czułością, antropomorfizując go i wyposażając w zdolność myślenia; w jego ujęciu przestaje on być tylko kodem, a staje się niezależnym, mentalnym bytem:

[...] słowa nie do wypowiedzenia,
słowa stające kością w gardle,
słowa, które zagłuszamy w sobie od lat

język ich się boi, nie dopuszcza do głosu,
a my z zasznurowanymi ustami
zabierzemy je do grobu

(*Tabu języka*)

Perspektywa kresu wzmaga w poecie potrzebę przeprowadzenia rozrachunku ze słownikiem, gdy natrętnie dają o sobie znać leksemy zapomniane i te, które nazywają nigdy niezaakceptowaną, obcą rzeczywistość:

[...] mocuję się też ze słowami, których nie rozumiem

na przykład: debet, eutymia, trychotomia,
tryumf, zbawienie, purpurat

(*Słowa*)

Sporo uwagi poświęca w tym tomie także naturze poety i „osobowości” wiersza, który – upersonifikowany czy też tożsamy z jego autorem – manifestuje swój narcyzm (choć przecież nigdy się do tego nie przyzna). Jednak, jak z serdeczną ironią zauważa poeta, zdumiewające jest, że tak niewiele trzeba, by artysta poczuł się spełniony: „potęga wiersza jest oczywista, / trzeba tylko trafić na spragnionego człowieka” (*Potęga wiersza*).

Lata twórczych zmagani doprowadzają do wniosku, że niestety, większość wysiłków idzie do kosza, że wiersze, dotknięte ułomnością, muszą być skaza-

ne na eutanazję przez samego twórcę i tylko te dobre są nieustępliwe „nie dają się przegonić” (*Kłęska wiersza*). Poeta kwestionuje tu topos nieśmiertelności artysty i jego dzieła. Wyraża ambiwalentną refleksję o wielkości, ale też ulotności słów, przeczuwa raczej ich marność niż nieśmiertelność. W *Wierszu agnostycznym*, stopniując wynikające z nasuwających się skojarzeń napięcie, budzi namysł nad niepojmowalną niczością („kiedy już zrozumiemy, dalej nie rozumiemy niczego”). Ta z pozoru lekceważona przyszłość poza kresem jest jednak frapująca, wywołuje jakiś trudny do nazwania niepokój:

myślę, że na końcu będą muśliny
albo mgła [...]
potem otworzy się niebo [...]
a jeśli otworzy się piekło?

(*Muśliny*)

Ta napisana językiem nieaspirującym do tonów wysokich książka pod wspomnianym kostiumem groteski ukrywa próbę całkiem poważnego zmierzenia się z nieodwołalnie nadchodzącą niewiadomą. Każdy powinien taką próbę podjąć, Leszek Żuliński przeprowadza ją, co istotne, w momencie gdy potrafi jeszcze dać rzeczom właściwe imiona, gdy stać go jeszcze na uśmiech, mimo przeczucia nieuchronności wyroków natury.

A może człowiek kultury, poeta uczony, swobodnie i z wdziękiem pływając z Panią Mors, potwierdza myśl Epikura, że nie należy jej się bać, bo przecież czym może być dla nas, skoro tak naprawdę nigdy jej nie spotkamy? Swój intymny, a przecież nietrudny do uniwersalizowania stosunek do niej przedstawia z perspektywy kogoś, w kim dokonał się (lub dokonuje się wciąż) cud ustąpienia mroku przed światłem. Oswajaniu tego przejścia towarzyszą wspomnienia jeszcze nie tak dawnych uniesień, szaleństw, namiętności, które pozwalają z błogim poczuciem spełnienia przymierzyć się do zamknięcia ostatniego rozdziału. Aspektem odchodzenia jest również, jak się okazuje, doświadczanie antynomii: grawitacji i lewitacji, sacrum i profanum; to karkołomny taniec na linie, która prowadzi od *ars vitae* do *ars moriendi*.

Poeta konstatuje, że śmierć ma tylko wtedy sens, gdy zanikamy totalnie. Pokazuje też, że jej bliska perspektywa uwarściwia na detal, którego kontemplacja może odwracać uwagę od tego, co się ponad wszelką wątpliwość z jednej strony oddala, a z drugiej – przybliża. Im bliżej kresu – artykułuje wyraźnie – tym bardziej prawdziwa wydaje się analogia pomiędzy naszym życiem a jednodniowym losem jętki.

To oczywiście tylko niektóre z zarysowanych tu problemów. Trudno jest w krótkim tekście dotknąć

całego bogactwa kulturowych skojarzeń, aluzji, cytatów, gier z formą, treścią, wątków, które zgromadził w swojej niedużej rozmiarami, a jednak ważnej i poruszającej książce Leszek Żuliński.

Na koniec jeszcze jedno – perspektywa piękła istnieje. Przeczuwa ją agnostyczny umysł i między wierszami przeświełającymi mrok, wyraźnie to sygnalizuje.

Anna Dominiak

Dziedzictwo czasów wojny

Leszek Adamczewski, *Berlińskie wrota. Nowa Marchia w ogniu*, Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2012, 344 s.

Druga wojna dawno już się zakończyła, ale nadal odtwarzane są jej nieznane epizody. Teksty reporterskie Leszka Adamczewskiego tworzące tom *Berlińskie wrota. Nowa Marchia w ogniu* odstawiają niejedną wojenną tajemnicę skrywaną w naszym regionie na terenach wokół Odry. Autor koncentruje się głównie na etapie tuż przed rozpoczęciem decydujących walk o stolicę Niemiec.

Tytułowa Nowa Marchia to ziemie pogranicza zachodniopomorsko-wielkopolskiego o bogatej historii sięgającej czasów wczesnego średniowiecza. Po drugiej wojnie światowej większość jej obszaru (z wyjątkiem miasta Cottbus) znalazła się na terytorium Polski, wchodząc w skład województw: lubuskiego i zachodniopomorskiego. Podczas wojny teren ten miał ogromne znaczenie strategiczne: jego zdobycie przez Armię Radziecką otwierało prostą drogę na Berlin. Jak wiadomo, po zakończeniu drugiej wojny światowej wiele się na tych ziemiach zmieniło. Na tym terenie, po 1945 objętym przez administrację polską, dokonana się narodowościowa wymiana na ogromną skalę – na miejsce wysiedlanych na Zachód Niemców przybywali Polacy z terenów wschodnich kresów.

Berlińskie wrota to kolejna już książka w dorobku Leszka Adamczewskiego, wytrawnego reportera

i tropiciela tajemnic drugiej wojny światowej. Autor opisuje w niej liczne epizody, które pod koniec wojny rozegrały się na terenie Nowej Marchii. Nie jest to w żadnej mierze sucha rozprawa historyczna, ale barwna i obfitująca w zaskakujące dramatyczne szczegóły seria reporterskich opowieści. Leszek Adamczewski występuje tu w roli popularyzatora historii, próbując – zresztą z powodzeniem – odwoływać się do emocji czytelnika, inspirując go do innego spojrzenia na miejsca, w których od lat mieszka bądź które odwiedza jako turysta.

Wszystkie teksty powstały na podstawie historycznych ustaleń i relacji świadków (do większości z nich docierał na przestrzeni lat sam autor). Koniec książki wieńczy spis źródeł, wykorzystanych podczas pisania. Leszek Adamczewski wielokrotnie odwiedzał opisywane przez siebie miejsca. Dzięki temu piarstwo autora nabiera unikalnego akcentu osobistego. Cennym elementem są w książce liczne fotografie – czarno-białe i kolorowe, zarówno archiwalne, jak i współczesne, wykonane osobiście. Stanowią one istotne uzupełnienie i dopowiedzenie tego, co znajdujemy w tekstach.

Adamczewski urodził się w Szczecinie, studiował i pracował jako dziennikarz w Poznaniu – znakomicie wyczuwa więc klimat polsko-niemieckiego pograni-

cza, skazanego w ciągu ponad tysiąca lat na trudne sąsiedztwo, czego bolesnym „ukoronowaniem” była druga wojna światowa. Bliskie autorowi są osobiste przeżycia mieszkańców tych ziem i ich ówczesne niepokoje. Na niemiecko-polskie pogranicze wdziera się też bezlitośnie radziecki „wyzwoliciel” – Leszek Adamczewski w wielu miejscach swojej książki podkreśla niespotykaną brutalność żołnierzy Armii Czerwonej, przypominając, że rabunek i gwałt był ich niechlubnym „znakiem firmowym”.

Autor przypomina, że ogromna część kulturowego dziedzictwa na opisywanych przez autora terenach została zniszczona za sprawą idących na Berlin jak burza wojsk radzieckich. Tak stało się z Gorzowem Wielkopolskim, zniszczone zostało Guben i Krosno Odrzańskie. Zrównane z ziemią mniejsze wsie czy spalone mosty na zawsze zmieniły krajobraz ziem naszego regionu, podzielonych nie tylko za sprawą rzeki, ale również przez ustaloną na niej odgórnie przez wielkie mocarstwa granicę polsko-niemiecką.

Wyobraźnię wielu osób, nawet tych, które nie specjalnie interesują się historią, rozpalają opowieści o poniemieckich kosztownościach, które rzekomo nadal czekają na odkrywców. Niejedną taką historię znajdziemy w *Berlińskich wrotach*. Swój zaginiony skarb miał Landsberg – Gorzów Wielkopolski, kosztowności były też podobno ukryte pod gubińskim kościołem farnym. Być może są to opowieści spod znaku „złotego pociągu”, na temat których sceptycy mają oczywiście swoje zdanie, ale nie zawadzi przecież przeczytać tych świetnie opowiedzianych historii z dystansem i zastrzeżeniem, że skoro nie wiemy czegoś na pewno, to nic nie jest przesądzone. Pamiętajmy, *Berlińskie wrota* to nie rozprawa historyczna, ale książka sytuująca się w kręgu popularnej literatury faktu. Nieodparty jest poza tym urok pióra Leszka Adamczewskiego, piszącego zawsze z zaangażowaniem i pasją – oraz stawiającego w rozsądnym miejscu granicę spekulacji, fantazji i hipotez.

Okazuje się, że nie wszystkie skarby Nowej Marchii zostały bezpowrotnie zaginione. Rozdział *Witraże wróciły do Marienkirche* opowiada nam o pewnym szczęśliwym zakończeniu. Kościół we Frankfurcie nad Odrą został zniszczony na tyle do-

tkliwie, że dopiero niedawno zdołano go odrestaurować. I od 2002 r. można w nim podziwiać zabytkowe unikalne witraże, które zrabowali Rosjanie podczas wojny, a niedawno zwrócili.

Tropiciele mniej znanych epizodów z czasów drugiej wojny światowej zainteresuje z pewnością tekst pt. *Człowiek, który wstał z grobu* – o wizycie Hitlera na froncie wschodnim (w Bad Freienwalde) w marcu 1945 r. Adamczewski zwraca uwagę, że był to jeden z jego ostatnich wyjazdów poza Berlin. Co ciekawe, ze względu na widoczne złe samopoczucie Führera, hitlerowska propaganda bardzo niechętnie i wyrękowo odnotowała ten fakt w kronikach filmowych, zamiast wzmacniać morale Niemców obecnością „ukochanego przywódcy” wśród żołnierzy.

Jestem przekonana, że niejeden mieszkaniec wymienionych w *Berlińskich wrotach* miejscowości ze zdziwieniem odkryje, ile niezwykłych rzeczy zebrało się na tych ziemiach podczas drugiej wojny światowej, ile pozostało po niej śladów, jak zawile są tropy historii. To doskonały punkt wyjścia, by dalej poznawać i zgłębiać historyczne i kulturowe dziedzictwo zamieszkiwanych przez siebie terytoriów. Tym bardziej cenna to inspiracja, gdyż – jak wiemy – lata Polski Ludowej nie sprzyjały poznawaniu prawdy o trudnych czasach wojny na terenach wchodzących w skład tzw. Ziemi Odzyskanych. Obecnie natomiast nastąpiło w tej dziedzinie znaczne ożywienie – tak że dlatego, że edukacja regionalna staje się coraz silniejszym filarem edukacji historycznej.

Berlińskie wrota pozostawiły mnie z jeszcze jedną refleksją. Chodzi o namacalne ślady drugiej wojny światowej, które są jeszcze widoczne szczególnie na terenach opisywanych w niniejszej książce. Nasz region, chyba jak żaden inny w Polsce, obfituje w pozostałości tego, co Leszek Adamczewski nazywa „architekturą śmierci”: sztolnie, tunele, lochy, piwnice, zapomniane, zrujnowane fabryki, magazyny, fortyfikacje, betonowe konstrukcje o nieznanym przeznaczeniu. Ich przykładem może być tajemnicza żelbetonowa budowla z wieżą, znajdująca się w Cigacicach, o której Adamczewski pisze w rozdziale *Baza U-Bootów nad... Środkową Odrą?*

Te różnorodne, często dziwaczne, ale nieraz budzące grozę elementy „architektury śmierci” to

„świat, który pozostawił po sobie hitleryzm”, jak ujmuje to autor. Świadek strasznych czasów wojennego przemysłu, nastawionego na szerzenie zagłady i zniszczenia. Zbyt kosztowna, nawet w dzisiejszych czasach, byłaby ich likwidacja. I dlatego te budowle do dziś niszczą, straszą, szpecą, lecz

niezmiennie inspirują do historycznych badań lub poszukiwania skarbów. To także smutny krajobraz naszego regionu, odziedziczony po okrutnych latach wojny.

Joanna Kapica-Curzytek

Kieszonkowe historie Zielonej Góry

W. Hładkiewicz, A. Janecki, D. Nowak, E. Jakubowski, *Zielona Góra – miasto Winobrania*, Zielona Góra 2016, 64 s.

Na pewno nie jest to standardowy przewodnik po okolicy ani książka naukowa. Raczej broszurka. Ale ta skromna formuła wcale nie działa na jej niekorzyść. Chciałoby się przeczytać coś takiego, siedząc w kolejce u dentysty (zamiast ulotek o próchnicy czy implantach). *Zielona Góra – miasto Winobrania* to zbiór kilkunastu mikrowypowiedzi (bo esejami raczej trudno je nazwać) o Winnym Grodzie, odwołujących się do historii Zielonej Góry. Jej autorami są: Wiesław Hładkiewicz, Andrzej Janecki, Danuta Nowak oraz Edward Jakubowski – wszyscy bezpośrednio związani z Zieloną Górą oraz Uniwersytetem Zielonogórskim. Publikacja została wydana w 2016 r. z okazji corocznego święta Winobrania. Przyznać trzeba, że nie ma chyba lepszej okazji, żeby powstało coś o Grünbergu. Zwłaszcza, że historia tego miasta – jak zapowiadają autorzy – jest kopalnią potencjalnych tematów. Mały format, przejrzystość, prosty język, zachęcają do sięgnięcia po książkę. To swoisty „życiorys” Zielonej Góry, który z pewnością zaintryguje nawet młode pokolenie. Ważne, że autorzy postanowili na końcu sporządzić spis literatury. To przydatna wskazówka dla dociekliwych odbiorców.

Ciekawe opisy m.in. osady, którą kiedyś było to miasto karczmi i zabaw, palenia czarownic w drugiej połowie XVII wieku, pozwalają poznać Zieloną Górę od zamierzchłych czasów. Na pewno fascynującymi wątkami są te, które opisują początki założonego grodu, np. dwie zarazy i sposoby leczenia (okładanie się wymionami i trzewiami zwierzęcymi) lub zakła-

dy dotyczące smaku i mocy zielonogórskiego wina (octu). Książka zawiera teksty Hładkiewicza, ale także wiersze Ryszarda Białogreckiego, które zachęcają do wglębnienia się w lekturę i są w pewnym sensie spoiwem całości. Już pierwszy wiersz tego poety pt. *Moje Miasto* (choć nie jest to poezja najwyższych lotów) pokazuje lokalne przywiązanie do miasta: „To moje miasto Zielona Góra/ Jest mi tu dobrze na przekór innym/ Nie musisz wierzyć lecz spróbuj przeżyć/ Chociaż dzień jeden w mym grodzie winnym”. Książka jest dobrze opracowana graficznie. Uwagę przyciąga ciekawa okładka (projekt Teresy Grzesiak) ze zdjęciem bachusika toczącego z mazołem beczkę. Z drugiej strony dostrzec można drobne mankamenty techniczne (jakby powstawała w pośpiechu) oraz językowe – np. nieprzestrzeganie zasad interpunkcji, zbyt dużo powtórzeń, które wielu czytelnikom mogą przeszkadzać, np.: „Najważniejszą osobą w mieście był wójt. To on nadzorował budowę miasta, był też najważniejszym urzędnikiem. Podobnie jak sołtys we wsi był też właścicielem gruntów [...]”. Niedopatrzeniem wydawcy jest to, że dwie strony powtarzają się.

Reasumując, autorzy dzieła wykazali się „lekkim piórem”, czyli umiejętnością zwięzłego i interesującego formułowania myśli. Zielona Góra została opisana w sposób nadzwyczajny, dlatego warto, za namową Waldemara Śługockiego, wglębnąć się w tę niezwykłą historię – historię urokliwego miasta, jakim jest Zielona Góra. Kto wie, może wielu uzna, tak jak Wiesław Hładkiewicz, że: „Dzisiejsza Zielona Góra

jest owocem wiary człowieka we własną zaradność, przekonaniem, że siłą woli można odwrócić nie tylko kierunek biegu rzek”. Nie jest to pierwsza i nie ostatnia książka o Winobranii. Kolejnym wyzwaniem – jak ujawnia Hładkiewicz – będzie stworzenie

publikacji na temat życia codziennego mieszkańców Środkowego Nadodrza. Nie zostaje nic innego – tylko czekać.

Sandra Mikołajewicz

Czy koniec literatury jest bliski? *Od pióra do sieci* z nadzieją dla bibliofilów

***Od pióra do sieci. Zmienne media literatury*, red. P. Michałowski, Uniwersytet Szczeciński, Szczecin 2016, 297 s.**

Co stanie się z literaturą? Czy mimo pojawiających się nowych mediów słowo pisane przetrwa? Czy koniec krytyki literackiej jest bliski? Odpowiedzi na te oraz wiele innych pytań możemy znaleźć w książce napisanej pod okiem Piotra Michałowskiego, który wraz z badaczami z Uniwersytetu Szczecińskiego oraz Uniwersytetu Zielonogórskiego podjął temat wpływu mediów na literaturę.

Autorzy za podstawowy cel stawiają sobie pytanie o to, w jaki sposób współczesne mass media ingerują w pisarstwo. Próbuje dociec, czy Internet sprawił, że aktualnie tekst drukowany traktujemy w sposób negatywny bądź pozytywny. Już na początku rozprawy zostaje obalona teoria, iż za sprawą szybkiego rozwoju mediów literatura staje się gatunkiem zagrożonym, który w najbliższych latach może otrzymać miano Świętego Graala. Dwunastu badaczy w swoich artykułach nie analizuje dużych obszarów powiązanych z omawianym zagadnieniem, ale szczegółowo skupia się na wybranej problematyce. Nie ma miejsca na dygresje, które mogłyby wprowadzić chaos w poszczególnych tekstach. Dochodzą oni do wielu ciekawych refleksji, które mają swoje poparcie w konkretnych przykładach. Z ich badań można wywnioskować, że Internet jest ambiwalentnym medium, gdyż z jednej

strony ma wpływ na rozwój oraz promowanie literatury, natomiast gdy spojrzysz na to z innej perspektywy, to sprawia on wrażenie wynalazku, który może zniszczyć słowo pisane. Jedną z głównych konkluzji, która wynika z lektury publikacji, jest teoria mówiąca o tym, że bez literatury środki masowego przekazu mogłyby w ogóle nie powstać. W opinii badaczy ludzie nie są świadomi tego, jak wiele zawdzięczamy dorobkowi literaturoznawstwa. Zdaniem autorów nie należy debatować nad tym, czy Internet stanie się bezkonkurencyjnym zwycięzcą w „walce” o status najważniejszego medium XXI wieku, przez co społeczeństwo zapomni o druku. Zespół autorek i autorów pozostawia bibliofilów w optymistycznej wizji przyszłych lat, które nie zwiastują szybkiego końca literatury w tradycyjnej formie.

Od pióra do sieci przedstawia interesujące postulaty, a także różne spojrzenie na obecny świat mediów i jego symbiozę ze słowem pisanym. Jest to otwarta debata nie tylko dla literaturoznawców, ale dla każdego czytelnika, bowiem książka dostarcza nie tylko wiedzy *stricto* naukowej, ale zachęca do własnych przemyśleń.

Dorota Mleczak

Dwie książki i okładka

Alfred Siatecki, *Porq̄bany*, Oficynka, Gdańsk 2016, 420 s.; Krzysztof Koziółek, *Furia rodzi się w Sławie*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2015, 296 s.; Alexis Ragougneau, *Madonna z Notre Dame*, Sonia Draga, Katowice 2016, 240 s.

Alfreda Siateckiego oraz Krzysztofa Koziółka nikomu przedstawiać nie trzeba. Sylwetki i dorobek twórcy obu pisarzy są dobrze znane nie tylko w regionie, ale również w kraju. Dali się poznać jako tzw. kryminaliści, czyli twórcy literatury z wątkiem detektywistycznym.

Na portalach społecznościowych ich dzieła zbierają oceny dobre, bardzo dobre, a tam gdzie się da, nawet jeszcze wyższe. Ostatnio przeczytane przeze mnie książki: *Porq̄bany* A. Siateckiego oraz *Furia rodzi się w Sławie* K. Koziółka potwierdzają opinie społeczności recenzentkiej.

Porq̄bany to kolejny tom z cyklu o Danielu Jungu, który specjalizuje się w dziennikarstwie śledczym (tu warto wspomnieć, że poprzednia książka z cyklu, *Postrzelony*, doczekała się wznowienia, a dodatkowym atutem jest także odświeżona oprawa graficzna całej serii o zadziornym dziennikarzu). Tym razem tłem historii jest ukochany przez zielonogórczan żużel. W mieście czarnego sportu ginie dwóch dziennikarzy z redakcji gazety, w której pracuje Jung, a on sam zostaje przeniesiony do działu sportowego. Według ustaleń grupy policjantów dowodzonych przez komisarz Mrozińską, która uważa, że „nie ma zbrodni doskonałej i nie istnieje żelazne alibi”, wszystkie tropy prowadzą do środowiska kierowców żużlowych, więc redaktor, chcąc nie chcąc, zaczyna prowadzić własne śledztwo. Jak zawsze, A. Siatecki rozbudował tło obyczajowe, a na pierwszy plan spośród postaci wysuwa się złośliwa i cyniczna Monika Chuda – wiceszefowa gazety. Zgrabnie skonstruowana narracja przedstawiająca ciąg śledztwa, poprzęplana jest ciekawostkami dotyczącymi samego żużla, Zielonej Góry oraz Ziemi Lubuskiej (np. informacja gdzie i w jaki sposób powstała pierwsza cerkiew na tym terenie), ale i tak lubianymi przez czytelników scenkami humorystycznymi, np.:

Na klatce schodowej było brudno. [Jung] Wziął więc szczotkę i gdy zmiatał kłaczki kurzu, papier-

ki, piasek i okruchy, otworzyły się drzwi sąsiadów. Stała w nich mieszkająca tam od niedawna młoda kobieta, spytała, czy jest dozorcą i nie czekając na wyjaśnienie, zrugała go, że sprząta od wielkiego dzwonu. – Mieszkam obok pani – powiedział, pokazując na drzwi za swoimi plecami. – Na korytarzu jest tyle brudu, że nie czekając na dozorczynię, postanowiłem posprzątać przed świętami. [...] – Ja bym nie sprzątała. Nie po to tyle lat się uczyłam. – A gdzie się pani uczyła? – spytał szeptem, udając trochę onieśmielonego. – Na fryzjerkę, proszę pana.

Kolejna książka, która mnie wręcz „wciągnęła”, to *Furia rodzi się w Sławie*. Wojenna codzienność miasteczka zostaje zachwiana przez serię tajemniczych morderstw młodych dziewcząt. Do rozwiązania zagadki kryminalnej oddelegowani zostają żandarm z lokalnego komisariatu Josef Reiner oraz przedstawiciel policji kryminalnej z Głogowa Anton Habicht. Szybko okazuje się, że w zbrodni te w jakiś sposób są wpłątani młodzi kadeci z Hitlerjugend, którzy w Sławie mają swoje centrum szkoleniowe. Z jednej strony K. Koziółek mocno, bardzo mocno, popuścił wodze fantazji, a z drugiej, i to jest największa moim zdaniem zaleta książki, skrupulatnie i wnikliwie przeprowadził dokumentację historyczną, poczynając od dziejów Sławy, a kończąc na tym, jakie strofki mogła nucić przebywająca nad Schlesier See (Jezioro Sławskim) w sierpniu 1944 r. hrabina Franziska von Häften („A kto z sali chce mi towarzyszyć, temu dam w twarz i nadepnę na nogę!” – z piosenki *Jestem wesółą Lola* śpiewanej przez Marlene Dietrich). Również i wyraziście zarysowane postacie, czyli główny bohater Habicht, który – podobnie jak Mock Marka Krajewskiego – ciągle coś pałaszuje, czy wspomniana Franziska zwana Cisią, dodają akcji wartości, ale i uroku. Nie mogę nie wspomnieć o tym, że niektóre dialogi są dowcipne, a obserwacje czy komentarze czynione przez bohaterów celne

i podszyte czarnym humorem. Kim tak naprawdę jest hrabina Franziska? Co wspólnego mają ze sobą czarownice, Zamek Haugwitz, kadeci sławskiej Marine Hitlerjugend, bóle głowy oraz mąka? Tego czytelnik dowie się podczas lektury *Furii*. Ten pełnokrwisty kryminał retro stawia Koziółka na równi z najlepszymi twórcami gatunku.

Na koniec jeszcze kilka zdań o tym, że jak powszechnie wiadomo, piękna okładka nie zawsze odzwierciedla ciekawą treść. Front książki Alexisa Ragougneau *Madonna z Notre Dame* zważył mnie przede wszystkim dobrym projektem, nie zabrakło

też sentencji: „Niezwykły talent!”, „Być może francuska powieść kryminalna ma już nowego króla...”. No właśnie. Nie ma. Ci, którzy znają twórczość Maxime’a Chattama czy Jeana-Christophe’a Grangé, przyznają, że w kraju nad Sekwaną to oni są królami kryminału/thrillera. Zresztą, w myśl zasady, że większość ma zawsze rację, wspomniana *Madonna* na portalu recenzenckim otrzymała zbiorową notę: przeciętna, a na przeciętne książki powinno nam być szkoda czasu.

Alina Polak

Druga płeć wiersza

Paulina Korzeniewska, *Pogodna biel dobrego samopoczucia*, Biblioteka Arterii, Łódź 2016, 36 s.

Z poprzednim zbiorkiem *Usta Vivien Leigh* zielonogórską poetkę Paulinę Korzeniewską łączy w zasadzie tylko jeden czynnik. Takie mam wrażenie po lekturze najnowszego, nie za dużej objętości, zbiorku *Pogodna biel dobrego samopoczucia*. Nie zanadto udany ten tytuł, bo dużo w nim wielosłownej tautologii, ale mniejsza o to, nie tytuły grają w książkach pierwsze skrzypce, lecz to, co w środku znajdzie czytelnik. Tym wspólnym czynnikiem dla obu książek jest tylko ta sama osoba autorki. Reszta to jakby już inny świat, jakby nie pochodzący zupełnie z „ja” podmiotu piszącego. Nagle został wyraźnie od niego oderwany, bo zmieniona została płeć podmiotu lirycznego. Kiedyś był żeńskiego rodzaju, a teraz jest męskiego. To jest główna oś tego zbiorku. Czegoś to ma być świadectwem. Przynajmniej w autorskiej intencji. Poetka sugeruje ironizowanie z tytułowego „dobrego samopoczucia”, ale żadna z męskiej narracji poetyckiej w taki stan się nie zapędza, wręcz przeciwnie. Mamy jedynie do czynienia z jawnie demonstrowanymi niedogodnościami na styku z egzystencją, psychiką, moralnością, np. „kołaczą mi w głowie/ kamienie w kieszeniach/ i strumień/ niemożności” (s. 28).

Główną jednak zaletą zbiorku jest jego niebanalność obrazowa i językowa. Czytam: „pyta w mailu

człowiek/ (siedzi teraz nad gorącym źródłem/ słucha skandynawskiego śpiewu a capella/ rozmyśla o istocie rzeczy/ obserwuje dzikie zmię/ dobrze mi życzę)” (s. 16). Takie skróty i zestawienia mogą działać ożywczo na wyobraźnię. Wywierają bowiem presję na percepcję odbiorcy, bowiem cechuje je dynamika. Tu nie ma stagnacji, są szybkie konkluzje, nie zawsze sensowne, bo wyłącznie popisowe w imię nadawania tempa ciągłemu dzianiu się.

W innym wierszu, dla przykładu: „chtód między nami tężeje/ idź uprawiać seks z mężem” (s. 11). Sytuacje są minorowe, zmienne i mocno naszpikowane erotyzmem – jego gorączkowym pragnieniem bądź czekaniem na miłość: „błagam/ obudź mnie oralnym seksem/ a już nie zasnę” (s. 24). Na takich mocnych, ostrych epatacjach zbudowany jest cały zbiór. Wiem, i to zostało zapisane, że męskiemu narratorowi Korzeniewska nadała prawo posiadania odrębnego świata, pełną autonomię w wypowiadaniu treści. Ona sama zachowuje dystans. Nie ma tu manipulacji. Może co najwyżej jest rozsądkiem podyktowana asekuracja. Ten zbiorek to jakby rodzaj eksperymentu, wynikający z chęci podejrzenia cudzego życia, cudzego losu, wnętrza, jego realiów, myśli, chęć zrozumienia drugiej, męskiej strony. Poetka usunęła się w cień. I nie chce

przekroczyć granicy. Woli, aby kto inny wypowiadał treści, które w niej grają i których chce doznać. Łatwiej np. o demonstrowanie perwersji: „a mogłabyś być/ wiotką, acz bystrą agnieszką hłaski/ z udami umazanymi błotem/ zostawiłbym cię na klatce” (s. 12).

Poetka niemal beznamiętnie, z dystansem, a powiedziałbym także – z jakąś dozą obojętności i uprzedmiotowienia, korzysta z przywilejów postawy obserwacyjnej. Jeśli tak, to już tak musi być. Trzeba pewnie jakiś świat rozdzielić i oddzielić, zyskać odległość, by dokładniej go poznać. Jest w tym posunięciu może chęć, jak to sama na spotkaniu promocyjnym wyjaśniała, przedstawienia drugiej płci, ale i spora dawka chłodu, ba, fascynowania się tym chłodem. Idąc dalej – zapewne też jest niezdolność ujmowania doznań w obrębie istniejącej wspólnoty. Być może nawet odczucia tej wspólnoty już nie ma. Tym łatwiej więc o dystans. Jeśli tak jest, to nie może to być „pogodne” ani „dobre”. Wkrada się samotność i zamiast barwnej prawdy, zamiast ludzkiego żywiołu bycia razem, zaczyna panować egzystencjalna nija-kość „bieli”, w której trudno dopatrzeć się zwyczajnych, emocjonalnych napięć. Perwersja też nie będzie antidotum. Biel nie zna, nie dopuszcza określonych namiętności. Gdyby przedstawić ją można było przy pomocy linii, to byłaby to linia prosta. A w obrębie linii prostej cóż się dzieje? Dlatego każda oscylacja czy nawet zaostrenie nastroju w tych wierszach zyskuje walor podniety. Wzmocnienia głosu. Tego rodzaju napięcia są tu – zdaje się – oczekiwane. Po prostu podmiot poetycki, mężczyzna, sprawdza się i chce sprawdzać się w podwyższonej tonacji. Liryczna, jakby rzecz, czułość jest mu obca i niestosowna, mimo że swoją narrację adresuje do swojej kobiety: „czy masz matkę rodem z chin/ z piekła/ jak ci się układają włosy/ i czy krew menstruacyjna/ nie poplamiała ci spodni” (s. 29). Moim zdaniem te przerwania niczemu nie służą, a są też groteskowe. Na sprawy zwyczajne nie ma w tej narracji miejsca. Kim on jest tak naprawdę? Miałby tu coś istotnego do powiedzenia psychoanalityk? Sądzę, że tak. Nie

będę osobiście ryzykował takiej analizy. Nie trudno dostrzec liryczną inność. Każdy niemal wers jest jej świadectwem. Trudniej, gdy zechcemy pokusić się o wysnuwanie z tego faktu obowiązujących wniosków. Poruszamy się bowiem w delikatnej materii jednak bardzo intymnego świata.

Jeśli porównać ten zbiorek ze wspomnianym wyżej poprzednim, to łatwo zauważyć, że mamy tu do czynienia nie tylko z różnicą płci, ale i z inną liryczną grą, często bardzo efektywną, wyrafinowaną, zmienną, jednak nieuwzględniającą obszaru kobiecego punktu widzenia. Wcześniej zmagala się poetka z kimś, z tym drugim, z mężczyzną, partnerem, który się uobecniał w jej emocjach i w erotyce. W najnowszej pozycji tego nie ma. Narracyjny mężczyzna jest sam ze sobą, z rzeczami, rekwizytami, z odniesieniami literackimi, których stara się celnie używać. Czasami coś deklaruje i coś chce narzucać, zupełnie niezrozumiale, eksponując zawikłanie, popadając w pustostowie (s. 15). I to poniekąd zastanawia. Ten gramatyczny zabieg (użycie rodzaju męskiego) wynika z zastosowania przez Paulinę Korzeniewską liryki roli. A liryka roli nie istnieje bez aktu wcielenia przynajmniej części podmiotowego „ja” w drugą (cudzą) podmiotowość. To ma miejsce w poezji wielu poetów. Ale bywa w użyciu incydentalnie, by opisać inaczej jakiś epizod, człowieka, przedmiot, zjawisko. Żaden autor nie wykona na stałe takiej wolty, która by oznaczała oddanie głosu zewnętrznemu medium, zawieszając np. pierwszą osobę, czyli swój głos, na rzecz głosu w cudzysłowie. I tak – sądzę – będzie również w przypadku Korzeniewskiej. Nastąpi powrót, ale powrót do czego? To może być ważne i interesujące. Czy powrót będzie oznaczał pożegnanie pewnego bagażu doświadczeń? A jeśli tak, to jaki zostanie przyjęty punkt widzenia? Zafundowała sobie poetka moment newralgiczny, liryczny wyskok w nieznane. Zapewne można spodziewać się rozstrzygnięcia za jakiś czas.

Czesław Sobkowiak

Wiersze Aleksandry Kurzawy

Aleksandra Kurzawa, *zbior bzdór*, wydano sumptem rodziny, Wilkanowo 2016, 52 s.

W ostatnim numerze „Pro Libris” (1-4/2015) zwróciły moją uwagę wiersze Aleksandry Kurzawy, szczególnie *Leży Bóg na kozetce*. Młoda poetka uczłowiecza w tym wierszu Boga, który „pociąga nosem i dmie w chusteczkę”. Ten pozornie zażyty, familiarny stosunek do Absolutu pozwala jej stawiać pytania, które zadawano sobie od dawna: „Czy to Bóg sam siebie mianował Bogiem?”. Następne pytanie wydaje się być jeszcze ważniejsze: „Czy on sam postanowił wziąć odpowiedzialność/ za Twój i mój los?”. Co zatem w twoich, moich, naszych rękach, czy jesteśmy już tylko boskimi marionetkami, które na nic nie mają wpływu?

Na ten nieogarniony zakres pytań, jeśli je w tym kontekście potraktować serio, a inaczej nie wolno, nie ma i prawdopodobnie nigdy nie będzie żadnej, racjonalnej odpowiedzi. Zresztą rolą poety, poezji jest stawianie pytań, czasem nawet pozornie irracjonalnych, pozbawionych sensu. Kto ma na nie odpowiedzieć? Filozofia, teologia, nauka?

O pytaniach zadawanych przez Kurzawę ktoś powie, że są banalne, wręcz dziecinne. I że można je stawiać w nieskończoność. Nie możemy zapominać, że każdy poeta, jak dziecko, na nowo odkrywa świat. Odkrywa i próbuje go nazwać. W sposobie tego odkrywania, w nazywaniu go, w drobnych czynnościach, w których dostrzega coś istotnego, tkwi także wartość jego wierszy. A pod jej długopisem, bo tego określenia używa poetka, dzieje się to bardzo ciekawie.

W *Pomniku*, wierszu, który otwiera *zbior bzdór* (z tym błędem), debiutancki tomik Kurzawy, poetka spogląda na swoje dzieło, ale i na siebie, z ironicznego dystansu, z przymrużeniem oka. Wznosi ów pomnik, przypomnijmy, że to motyw wielokrotnie eksploatowany w poezji, jako „niewielki/ bo przedsięwzięcie nie należy do najtańszych/ stoi za to na solidnym/ filologiczno-cementowym cokole/ z domieszką literackiego wodolejstwa/ i lingwistyczną zaprawą”.

Potem już tylko handryczy się z muzami, które nazywa „głupimi małpami”. W tej zabawie z muzami przy okazji obdzieria je z patosu tradycji, zdejmując

z nich szaty i szatki, w które odziała je mitologia. Ukazuje ich nieco inny, humorystyczny wymiar. Wznosząc swój pomnik, strąca je z cokołów. Stają się niepotrzebne. Zamiast roznosić natchnienie, pomagać w „artystycznych wzlotach i lotach”, tylko przeszkadzają. A żarłoczna Polihymnia bez skrępowań wyjadła autorce „drugie śniadanie”. Zaskakuje puenta tego wiersza. Poetce „rzednie mina”. Okazuje się, że pomnik wzniesiono w nikomu niepotrzebnym miejscu, bo „na pustyni”. Kto rozsądny buduje pomnik na piasku, na odludziu? Zatem kapryśne, niesforne muzy miałyby rączę?

Czyżby w tym jednym wersie, przez chwilę, poetka straciła wiarę w sens twórczości? Motyw niepotrzebnie „wzniesionego pomnika” pojawia się w jej kilku wierszach w różnych kontekstach i pod różnymi postaciami, jak chociażby we wzruszającym *Drzewie*. Pielęgnowane przez autorkę drzewo po prostu „panowie w kombinezonach... załadowali.../ na stos świętych marzeń”. To także motyw często spotykany w poezji. Czy to właściwa poetom w każdym wieku obsesja, czy jedynie dobrze znana gra z czytelnikiem? Myślę, że w przypadku Kurzawy jeszcze gra.

Rozpisałem się o *Pomniku*, bo wydał mi się jednym z ciekawszych wierszy debiutanckiego zbioru Kurzawy. Gęsty od znaczeń, łamiący tradycję, nasycony specyficznym, poetyckim humorem, o zaskakującej puencie. Znaczący poezji uważają, że dobry wiersz powinien mieć dobry tytuł, zniewalające oryginalnością wejście. I zaskakującą puentę, która spina całość. I zapada w pamięć. Do tego jeszcze dodałbym pomysł. Dobry wiersz zaczyna się od dobrego pomysłu, zamysłu, poetyckiego, zwarte, spójnego szkieletu. Najlepsze wiersze w naszej historii literatury mają ów pomysł.

W króciutkim *Języku* autorka zastanawia się, w „jakim języku mówi Bóg”. I radzi, żeby „uczyć się języków obcych./ choćby po to,/ by umieć powiedzieć/ NIE”. To „nie” napisano dużymi literami, aby w ten sposób dodatkowo wyartykułować jego znaczenie.

Podoba mi się ta niejednoznaczność, wielowarstwowość wierszy Kurzawy, bo nawet cytowany tu *Język* można różnie rozumieć i interpretować. Poetka daje czytelnikowi duże pole do własnej interpretacji, kiedy to w *Literackim przeziębieniu* – kolejnym wierszu z tomiku – „Temperatura humoru jest niebezpiecznie niska/ ...i jeszcze przez rymy przechodzą dreszcze”.

W *Oczekiwaniu* zastanawia egzystencjalna dojrzałość młodej autorki. Oczekiwanie w naszym życiu wydaje się być ważniejsze, bardziej twórcze niż spełnienie. Do takiej konstatacji dochodzi się zwykle w pewnym już wieku. Ta życiowa dojrzałość młodej poetki ujawniona w wierszu zaskakuje. Ciągłe kogoś, czegoś oczekujemy. W tekście tym autorka oczekuje na „otwarcie się nieba”, aby nasycić się „paskiem błękitu”. Oczekujemy czegoś wielkiego, niemal kosmicznego, a wybieramy rzecz małą. Według poetki upływ czasu to nieustające oczekiwanie na rzeczy drobne, codzienne, przemieszane z oczekiwaniem na otwarcie się przepastnego nieba. Kosmosu. I tak na przemian. W zamkniętym kole naszego istnienia.

Autorka czuje wartość słowa, jego ciężar, ale i lekkość. Bawi się słowami, jak precyzyjnymi zabawkami, i ze słowami. Słyszysz język – to dowód, że posiada słuch poetycki, czego nie należy utożsamiać ze słuchem muzycznym. Myśl, refleksja, doznania, filozofia, stosunek do świata i siebie, do dookolnej przyrody, całe jestestwo poety zawarte jest w języku, w słowach. W metaforze, obrazowaniu, składni. Poetę poznaje się po słowach. Interesujące u Kurzawy jest to obracanie słowa na różne strony. Autorka wie, że w poezji wszystko zawiera się w słowie, w kadencji zdania, a nawet w przerwach pomiędzy wersami, które zaznaczał Julian Przyboś, akcentując podczas publicznego czytania swoich wierszy po prostu wyraźną ciszą. Bawiąc się ze słowem, poetka bawi się sobą i z sobą. Nawet nie podaruje swojemu nazwisku, które wywodzi „z kurzu na podwórzu”

albo z „codziennej wrzawy”. Słuchać tutaj echa poezji lingwistycznej.

Wiersze Kurzawy najczęściej są wyjęte z owego wodolejstwa. W kilku słowach mówi często więcej niż inni w rozwlekłych tekstach. Znaczą tutaj jej filologiczne wykształcenie, ale także filozoficzne zainteresowanie. Dzisiejsza poezja znajduje się pomiędzy poezją a filozofią. Na styku poezji i filozofii. Niektórzy mówią, że na styku poezji a zmetaforyzowanej, zagęszczonej prozy.

Twierdzi się, że o randze poety decyduje jego druga książka. Często na debiucie kończy się przygoda poetycka młodego człowieka. Wszystko co ma, miał do powiedzenia, zawarł w debiucie. Wiersze Aleksandry Kurzawy dowodzą, a co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości, że poetka ma czytelnikowi wiele do powiedzenia. Posiada po prostu dar pisania wierszy, żeby posłużyć się tym nieco staroświeckim określeniem, który niezwykle rzadko rozdaje kapryśna, chimeryczna Natura. Chęci, nawet najcięższa praca są dopiero na drugim miejscu. A te wiersze sygnalizują, że ich autorka jest po prostu utalentowana.

W kilku wierszach Kurzawa, wydaje się jeszcze nieśmiało, ale to już bardzo dużo, zaczyna mówić własnym głosem. I to także dowodzi wartości tych wierszy. Do wypowiedzania się pełnym, własnym głosem czeka ją długa droga. Jak długa, to w wielu przypadkach będzie zależeć od poetki. Od różnych okoliczności, które oby jej sprzyjały. Wszak sztuka poetycka – to banał, ale warto tu go powtórzyć – jest jedną z trudniejszych sztuk, jaką sobie człowiek wymyślił. Dla siebie i dla innych. Może przede wszystkim dla siebie, bo jest ona jak ten pomnik ciągle wznoszony „na pustyni”.

Aleksandra Kurzawa przygotowała do druku drugi tomik, co jest dobrą wiadomością.

Janusz Koniusz

Artystyczne doświadczenia Elżbiety Balickiej

Lubsko. Jest mi to miasto znane z licznych w nim pobytów w latach dawnych, bo 60. Pamiętam doskonale tamten klimat, wyglądy ulic, zaułki, most nad rzeką, basztę, szarżynę komunalnego domu przy ulicy Wrocławskiej, a obecnie Dwudziestolecia. Mieszkanie kuzynki mojego ojca było na ostatnim, czwartym piętrze. Wujek pracował w lubskiej budowlance. Lubił sobie po pracy wypić. Na klatce schodowej pachniał gaz. W podwórzu była piekarnia, przez całą noc mocno oświetlona. Rano pachniał chleb, który zabierały auta. Patrzyłem na to miasto z wysoka – na dachy, kominy, na metalowe koguty wież pobliskiego kościoła. Dużo oglądałem i oglądałem różne miejsca. Kształciłem w ten sposób swoją osobowość. Lubiłem wybierać się tam, w ten świat inny niż mój zabiedzony, wiejski dom. Może dlatego, że nieco ode mnie starsza Urszula, kuzynka, bardzo mi sprzyjała. Jakież dzieci też przychodziły z sąsiedztwa. Wymyślaliśmy wspólne zajęcia i zabawy.

W latach późniejszych kilka razy byłem w Lubsku, już jako autor zbiorów poetyckich, w miejscowej bibliotece. W salce na piętrze czytałem swoje wiersze. Mówiłem o sensie poezji. Również zapraszano mnie do pobliskiej szkoły średniej na wieczory poetyckie i konsultacje z piszącą młodzieżą. Minęły te wyjazdy, nikt już nie zaprasza, są nowi ludzie, ale swoich wyjazdów i doświadczeń nie zapomnę. Lubsko dzisiaj, podobnie jak Żary, to inne miasto. I tu rozwinęło się jakieś, na miarę prowincjonalnych możliwości i potrzeb, życie kulturalno-artystyczne. Można przywołać choćby nazwisko utalentowanego poety i prozaika Adama Boleśława Wierzbickiego. Ale i poznanej Elżbiety Balickiej – poetki i malarki, z której twórczością artystyczną zetknąłem się niedawno.

W jej osobie spotykają się dwie pasje – jak słusznie we wstępie do zbioru pt. *Zdziwione oczy świata* (2012) zauważa Edwarda Żylińska – poezja i malarstwo. Te natchnienia dają o sobie znać już wiele lat. Swoją wrażliwość i doświadczenia życiowe właśnie w sferze uprawianej sztuki najlepiej wyraża. Kontakt z jej obrazami wywiera wrażenie. Ich przekaz jest silny. Na wielu obrazach, a więc bardzo często, pojawia się wysublimowana twarz młodej kobiety.



Może jeszcze dziewczyny. Można się zastanawiać, czego jest znakiem powtarzalność takiego motywu.

Elżbieta Balicka urodziła się w Lubsku (1958) i całe życie w nim mieszka. Najpierw, jeszcze jako uczennica, miała duże szczęście, bowiem lekcje plastyki prowadził grecki uchodźca, plastyk z wykształcenia – Telemach Pilicides, ale i miejscowy twórca Krzysztof Bagiński. Te kontakty i zaszczytne fascynacje trafiły na podatny grunt i pokierowały jej wrażliwą bez wątpienia osobowość właśnie w artystycznym kierunku. W swoim biogramie Balicka pisze, iż w późniejszych latach, już po ukończeniu szkoły średniej, chodziła w Zielonej Górze na zajęcia plastyczne, prowadzone przez znaną malarkę Irenę Bierwiazzonek. Te doświadczenia otworzyły w niej inny świat. Celem miały być studia artystyczne w Poznaniu. Jednak nie udało się, mimo uczęszczania na zajęcia malarskie w tamtejszej wyższej szkole.

Był to jednak kolejny krok wtajemniczający w sferę sztuki. Sądzić można – umacniający artystyczne zainteresowania. Można też przypuszczać, że studia pozwoliłyby Balickiej prawdziwie rozwinąć skrzydła w uprawianiu sztuki malarskiej na zupełnie innym poziomie. W późniejszych latach, jakby w zgodzie z linią zainteresowań, w szkole podstawowej w Lubsku Elżbieta Balicka podjęła pracę jako nauczycielka wychowania plastycznego. Młodzież wprowadzała w piękno kształtu i koloru. Doksztalała się zarazem w swoim artystycznym kierunku na różnych kursach. Nie poszło to na marne. Od wielu lat utrzymuje kontakt z miejscowym Domem Kultury, w którym działa Klub „Marfo”. Jej prace malarskie oraz rysunki i grafiki są nagradzane i wyróżniane przez „Żarski Salon Jesienny”. Podobnie ma się rzecz na miejscu, w Lubsku. I tu w konkursach plastycznych też uzyskują nagrody. To jest nie bez znaczenia. Na powiatowej prowincji (takiej jak Lubsko) nagrody dodają sił i ambicji do kolejnych wysiłków.

Myślę, że wystawa przygotowywana w Zielonej Górze, tym razem obejmująca zbiorowość plastyczną klubu „Marfo”, będzie ukazywać dorobek tamtejszego kręgu twórczego. Obok plastyki jest jeszcze poezja. Początki jej tworzenia sięgają lat w szkole podstawowej (np. tekst *Brylantowa jesień*, 1970).

Tak się złożyło, że najpierw przyszło mi zetknąć się właśnie ze zbiorkiem wierszy Elżbiety Balickiej pt. *Zdzwione oczy świata* (2012, str. 56). W tej książeczce,

wydanej przy pomocy finansowej Lecha Krychowskiego, wzbogaconej kolorowymi ilustracjami własnego autorstwa, doszły do głosu bardzo tkliwe, subtelne przeżycia i uczucia oraz refleksy natury. Pragnienie życiowego piękna, które nie gasłoby jak „we mnie łąka”, łączy się z pragnieniem harmonii, która życiu przywracałaby liryczny spokój i ciszę, warunkującą prawdziwe doświadczanie codzienności. Akcent położony został na osobiste uczucia i przeżycia. Na nieco dalszym planie są realia. Można rzec, że utwory E. Balickiej wyrastają z marzenia o życiu lepszym i łagodniejszym, bardziej jej przyjaznym niż to, które ją dotyka – bolesne i okrutne. Zostawia samotną. O tym, co negatywne, poetka nie mówi za dużo. Nie epatuje. W krótkich wersach zaledwie dyskretnie napomyka. Prośba poetkyca: „Zamknij smutek/ moich poranków/ i otwórz we mnie/ wschody dobrych słów” wyrasta z trudnych osobistych doświadczeń, bowiem „Nazbięrało się zmierzchów” – wyznaje poetka.

Poezja i plastyka E. Balickiej nie są o tym samym, choćby ze względu na odmienności tworzywa, ale intencje są zbieżne – ukazać osobiste marzenie, „nową wiarę”, „ciepły dzień”, „kwitnące wrzosa”, piękno świata, mimo wszystkich przyplątujących się cieni życia. Sztuka i poezja mają taką moc. Mogą dawać nadzieję, a „Ta nadzieja/ wiedzie ścieżką” ku światu, w którym „ludzie istnieją dla siebie”.

Czesław Sobkowiak

Powroty Waśkiewicza

Andrzej K. Waśkiewicz, *O literaturze lubuskiej (recenzje szkice i inne teksty)*, red. E. Kurzawa, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2016, 256 s.

Andrzej był stąd, z Zielonej Góry – tak jak on sam napisał w swoim, nacechowanym dramatyzmem, tekście z okazji przyznania mu Honorowego Wawrzynu Literackiego w roku 2012, do czego troszeczkę się przyczyniłem (mam tę satysfakcję).

Wyrastał w tym regionie, tu miały miejsce „pierwsze zapamiętane doświadczenia”, ale i waż-

ne dla niego kroki literackie. Debiut w „Zarzewiu” (1961, wiersz *Odejście*), praca w „Gazecie Chłopskiej” (dokąd pierwsze kroki z Mietkiem Warszawskim skierowaliśmy ze swoimi wycieczkami – Waśkiewicz akurat robił korektę szczotek zbiorku *Dziedzictwo*), a potem w „Nadodrze” (tam też sukcesywnie chodziliśmy). Tu wiele rozmów, spotkań, zdarzeń

i publikacji miało miejsce do roku 1979, kiedy to na stałe przeniósł się do Gdańska (Osiedle Morena). Był poetą, napisał powieść *Dom z płaskim dachem*, ale zwłaszcza aktywnie udzielał się jako krytyk literacki. Nie był nigdy tzw. regionalnym pisarzem. Oczywiście publikował wiele i sukcesywnie o dokonaniach i zjawiskach lubuskiego środowiska. Starał się zauważać, dostrzegać niemal wszystko, czasem nawet mniejszej wagi sprawy. W „Nadodrzcu” prowadził *Odpowiedzi literackie*, oczywiście pod pseudonimami. Zarazem jednak dokonywał dogłębnego opisu literatury polskiej – poezji Przybosa, Brzękowskiego, Peipera, całej przedwojennej awangardy. Dla niego ta tradycja była najistotniejsza. W Zielonej Górze tkwił – myślę – połowicznie, bowiem przynależał tak naprawdę do pokolenia 60, które tworzyli tacy pisarze jak np. Gąsiorowski, Jerzyna, Stachura, Leszin-Koperski. W pewnym sensie ten „warszawski” model literacki, czyli poetykę „Orientacji”, mimowolnie AKW implantował na miejscu, za sprawą stałego w Zielonej Górze zamieszkania i redakcyjnej pracy. Dla wielu młodszych autorów szczególnie była to jedyna, najbliższa, tradycja, która żywo oddziaływała. Wytworzyła swój specyficzny styl. Dopiero później ton poezji polskiej nadała Nowa Fala. Model poetycki „Orientacji” przestał znaczyć. Pseudonim został zastąpiony mówieniem wprost. Pamiętam tę zmianę akcentu i w swoim doświadczeniu. Inna jest poetyka mojego zbioru *W białej koszuli* (1970), a już inna w *Powieści w odcinkach* (1974).

Jako krytyk Waśkiewicz zostawił tu swój – trzeba to podkreślić – ogromny wkład. Nikt inny nie zrobił tak wiele dla opisanego naszego środowiska. Na bieżąco, w tamtych latach raczej trudno było to właściwie ocenić i docenić. Ale teraz ranga tego dokonania mocno urosła. Jest widoczna aż nadto, co świetnie ilustruje pieczołowicie opracowana i wydana z inicjatywy Eugeniusza Kurzawy książka pt. *O literaturze lubuskiej (recenzje, szkice i inne teksty)*, zbierająca w znaczącym zakresie to, co wyszło spod pióra Andrzeja o lubuskich pisarzach. I detalicznie w niej ten wkład oceny i opisu, wkład pracy Waśkiewicza widać.

W 1979 r. autor książki *Rygor i marzenie* wyjechał z Zielonej Góry i nie wyjechał. Wracał tu. Nie od razu,

ale po kilku latach dość intensywnie – jak pisze E. Kurzawa – zwłaszcza po jego powrocie z Białegostoku (1991). Zintensyfikował się owocnie wtedy tenże literacki powrót Waśkiewicza do Zielonej Góry. To prawda. Środowisko znowu dużo na tym zyskało. Tych powrotów było kilka. Z perspektywy Gdańska, gdzie redagował pismo „Autograf” (publikowali w nim lubuszanie dość często), włączał się jako krytyk, ale i poeta. Oczywiście również za sprawą powstałego pisma „Pro Libris”, chociaż i wcześniej, już w „Gazecie Nowej” oraz „Komunikatach”, redagowanych przez Kurzawę sukcesywnie ukazywały się wywiady, recenzje i Waśkiewiczowe poezje. I był to najczęściej powrót do poetów już starszych, dojrzałych, o większym dorobku, znanych mu kiedyś z pierwszych książek. O każdym (Warszawskim, Kurzawie, Furmanie, Koniuszu, Tokarskiej, Wachowiaku, Morawskim i innych) napisał syntetyczne, profesjonalne rozprawki. Zarazem oznaczało to ustalenie hierarchii dokonań. Wiele książek lokalnych autorów zawiera też jego wstępy. Oczywiście Kurzawa słusznie pamięta, iż przez kilka lat jurorował Waśkiewicz w Lubuskim Wawrzynie Literackim.

Waśkiewicz powracał nie tylko do Zielonej Góry, ale i Gorzowa. Na tej fali, bez wątplenia nieco sentymentalnej, pod koniec życia, w zasadzie jakby w ostatnim jego akordzie, wrócił tutaj we wspomnieniu swojej drogi życiowej, w książce *Miejsca opuszczone*, którą wyznaczały miejsca pobytu: Lubsko, Stary Zagór, Dychów. Koźuchów, Szprotawa, Zielona Góra. Do powstania tej książki-opowieści przyczynił się zaprzyjaźniony mocno ze swoim Mistrzem Kurzawa. Wkład Eugeniusza Kurzawy w realizację tego dzieła i przedsięwzięcia (swoisty to reportaż z odbytej podróży) jest bezcenny. Jest to wkład w utrwalenie pamięci. Został zapisany, a raczej opowiedziany szczegółowo, zapamiętany miniony świat i czas, o którym w zasadzie nie mamy już żadnego pojęcia. Pasja przywracania Waśkiewicza Zielonej Górze, wcześniej zapowiedziana, jest warta pochwały, choćby ze względu na zaprezentowaną szerokość dokumentacyjnego opisu.

Kolejny powrót Andrzeja Waśkiewicza dokonuje się właśnie w książce pt. *O literaturze lubuskiej (recenzje szkice i inne teksty)*. Nie wszystko udało się

w niej pomieścić, ale został osiągnięty dobry „złoty środek”. Poprzedza ją wstęp Kurzawy *Trwały ślad*, warty przeczytania. A poza tym walor ma dołączenie do recenzji i esejów wierszy jemu dedykowanych, kalendarium życia i twórczości, autorskich wypowiedzi o sobie samym, wywiadów, autobiografii i sporządzonej bibliografii twórczości, *stricte* uwzględniającej sferę lubuskiego środowiska literackiego. Jestem pod wrażeniem ogromu pracy, którą tu przyszło Redagującemu włożyć. Teksty odszukać, poukładać, ustalić adresy i wpisać (całkowicie „w czynie spo-

łeczny”). To wymaga nakładu czasu. Cierpliwości. Takie kompendium każdemu pisarzowi się należy, o czym można tylko pomarzyć. Z tej książki mogą obecnie korzystać zwłaszcza studenci miejscowej polonistyki, ale i uczniowie szkół średnich. Poza tym młodzi krytycy literaccy otrzymują wzór, który wychodzi poza wrażeniowy opis i chce znaczyć obiektywnie. Można rzec, iż został wykonany kawał porządnej roboty.

Czesław Sobkowiak

Artystyczne *Pejzaże życia* zielonogórskich seniorów

Pejzaże życia. Antologia subiektywna, Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku, Zielona Góra 2015, 353 s.

Pierwszy almanach słuchaczy Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku *Spotkania z Nieoczekiwanym* ukazał się 10 lat temu. Obejmował prezentację dokonań członków Klubu Literackiego „Oksymoron”, który powstał w 2003 r. Wówczas wiersze zaprezentowało 24 piszących. Redaktorkami wydania były Barbara Konarska i Joanna Szczepaniak (zmarła w 2008).

W najnowszym wydawnictwie członków ZUTW *Pejzaże życia* pomieszczono wiersze, wspomnienia i opowiadania 37 autorów, a ponadto grafiki, obrazy i fotografie członków innych sekcji Uniwersytetu, jak choćby Foto-Okno. W gronie ludzi pióra znaleźli się twórcy zróżnicowani metrykalnie, odmienni pod względem przeszłości zawodowej, wykształcenia, doświadczenia życiowego, stażu i warsztatu pisarskiego. Jak pisze w *Słowie do czytelnika* redaktorka antologii Barbara Konarska:

...niektórzy z nas posiadali już pewien dorobek wydawniczy, inni pisali do przysłówiowej szuflady, wielu podejmowało w „Oksymoronie” pierwsze

próby literackie [...]. Środowisko literackie ZUTW przez minione lata okrzepło. Jest atrakcyjne dla kolejnych roczników słuchaczy – każdego roku pojawiają się [...] nowi piszący¹.

Najmłodszy autor w chwili wydania antologii ZUTW miał 61 lat, najstarszy zaś 86 wiosen, a zatem dzieli ich różnica pokolenia, jednak nie wiek – jak wspominałem – jest tu najważniejszym wyróżnikiem, gdyż w górnym przedziale wiekowym te różnice zacierają się. Pozostają jednak inne, z pewnością ważniejsze różnice, jak choćby status zawodowy. W antologii *Pejzaże życia* publikują bowiem: kwiaciarka, farmaceutka, bibliotekarka, urzędniczka, nauczycielka, policjant, muzyk, ekonomista, bankowiec, inżynier, leśnik, archiwista, ubezpieczyciel, księgowa, elektryk i meliorant. Większość stanowią oczywiście kobiety, ale w tym gronie było też pięciu mężczyzn. Napisałem „było”, gdyż pisarz i fotografik Zbigniew Rajche wkrótce po wydaniu antologii zmarł.

Inne ważne kryterium różnicujące to środowisko to staż literacki. Kilkoro z piszących publikowało już

1 B. Konarska, *Słowo do czytelnika*, [w:] *Pejzaże życia. Antologia subiektywna*, Zielona Góra 2015, s. 7.

w prasie, zdobywało nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich. Niektórzy mają na koncie samodzielne tomiki wierszy i książki prozatorskie: Jadwiga Korcz-Dziadosz, Maria Kuleszyńska-Kozak, Ewa Kwaśniewicz, Jadwiga L. Engel, Halina Sędzińska, Zbigniew Rajche, Zofia Tumielewicz. Nieliczni mogą pochwalić się przynależnością do Związku Literatów Polskich (Katarzyna Jarosz-Rabiej i Barbara Konarska).

Jednak, co istotne w tej publikacji, wszystkich łączy twórcza pasja pisania, opowiadania, dzielenia się słowem na wiele tematów. Toteż utwory liryczne czy prozatorskie przeplatają się ze sobą posegregowane w tematyczne działy, których jest osiem. Pisze o tym Barbara Konarska:

Książce nadaliśmy tytuł *Pejzaże życia* z podtytułem *antologia subiektywna*, każda bowiem tego typu książka jest osobistym wyborem redaktora – Podział na rozdziały odzwierciedla tematykę wierszy i utworów prozą, a właściwie to, co stanowi pożywkę myśli każdego człowieka – radość i ból, miłość i gniew, bunt i pogodzenie się z nieuniknionym...²

Książkę otwiera rozdział *Szukanie siebie*, zawierający teksty o tematyce refleksyjnej, filozoficznej, światopoglądowej, niekiedy ezoterycznej, mówiące o postawie twórczej i życiowej pisarzy, ich patrzeniu na świat i percypowaniu tego świata, pojmowaniu go często na własny, osobisty użytek. Zofia Tumielewicz pisze o przemijaniu, szczęściu i życiowych „szklanych pułapkach”, Maria M. Tomczak podejmuje kwestie „bilansu życiowego”, Witold Stankiewicz mówi wprost, że „czas uczy pogody”, Maria Orlicka zaś – o trwaniu i przemijaniu człowieczej egzystencji. Z kolei Helena Majorczyk szuka filozoficznej odpowiedzi w wierszu *Kim jestem?*, Krystyna Nawrocka pisze o upływie czasu w kontekście „czterech pór roku”, a Alina Kruk układa metaforyczną „listę myśli osobistych”.

W rozdziale *Oblicza miłości* można znaleźć opisy głębokich uczuć okazywanych bliskim sercu oso-

bom. Są tu i erotyki, i pełne nostalgicznych, a nieraz i cikliwych westchnień liryki. Anna Blacha zamieściła w tej części wiersze *Bądź i Eurydyka*, Kazimierz Dziadosz – utwór *Tęsknota*, Jadwiga L. Engel – *Nocne zamyślenia*, Barbara Dziecielewska – miniprozę *On i ona*, Bronisława Raszkiewicz zaś – krótkie utwory o wymownych tytułach *Ocean miłości*, *Dwa serca* i *Żar miłości*. Katarzyna Jarosz-Rabiej natomiast zamieściła wzruszający wiersz *Moja mama*, a w podobnym tonie o matczynej miłości wyrażają się jeszcze Adriana Witkowska, Halina Sawa i Halina Sędzińska.

Kolejny, trzeci rozdział *Zachwyceni światem*, to zbiór tekstów traktujących o zmienności natury, pór roku, upływie czasu, ale też o pięknie ziemskiej przyrody i blisko otaczającej przestrzeni. Krystyna Bałunda pisze o *Jesiennej melodii*, A. Blacha opisuje *Jesienny ogród*, J. L. Engel – *Majowe kwiaty* i ulotność chwili w *Carpe diem*, B. Konarska zaś daje literacki zapis o sadzie i jaskiniach, M. Kuleszyńska-Kozak utrwała wrzosa, E. Kwaśniewicz – motyle i fiołki oraz wiosnę, B. Raszkiewicz – babie lato, H. Sędzińska – dmuchawce, czas i ciszę, A. Witkowska natomiast – czar chwili. Z kolei Danuta Wesołowska ocala od zapomnienia akacje, Z. Tumielewicz – zachód słońca, a W. Stankiewicz – gołębie i staw.

W najobszerniejszej części pt. *Niegasnące światło pamięci*, dedykowanej latom dzieciństwa i młodości, retrospekcji życia, powrotom do miejsc utraconych, zapamiętanych z przedwojennego pobytu na Kresach Wschodnich II RP, znajdujemy utwory i gorzkie, i smutne, pełne żalu i przygnębienia, podszyte silnymi emocjami i okupacyjną traumą, ale też zawierające radość z ocalenia, teksty dojrzałe, wyrażające pogodzenie się z ulotnością czasu, przewrotnością losu, nadchodzącą jesienią życia... Autorzy sentymentalnych wierszy i wspomnień przenoszą czytelnika w świat odległy, miniony, odgrzebuując go spod kurzu czasu, ocalając od zapomnienia. Czy니 tak np. J. L. Engel w liryku *O Truskawcu sen*, a *Obrazki przedwojennego Lwowa* przedstawia oczami dziecka, podobnie jak *Wojenną wigilię* z roku 1940.

2 Tamże, s. 8.

Identyczne obrazy wspomnień rodzinnych domostw towarzyszą B. Dzieścielewskiej w pamiętnikarskim opisie *Domu, który miał duszę*; E. Kwaśniewicz przytacza z kolei *Wspomnienie domu*; K. Nawrocka przypomina swoje dziecięce lata w wierszu *Dom*, a M. Orlicka – w utworze *Zapach i barwa chwili*. Przejmujące wspomnienie śmierci ojca w obozie zagłady w Sachsenhausen w 1941 r. przytacza Z. Rajche w opowieści *U kresu drogi*, a tragiczne świadectwo losu Żydów w Stanisławowie w 1942 r. przypomina w tekście *Dwa placki ziemniaczane*. Wspomnieniowy ton odnaleźć można też w wierszach Wilno H. Sędzińskiej, *Żejmiana* i *Dzieża* B. Raszkiewicz, *Prezent* Romana Czarneckiego i w pracy Bożeny Rudkiewicz o przybyciu do Zielonej Góry i zamieszkaniu w kamienicy Hugo Schmidta – przedwojennego kronikarza niemieckiego.

W rozdziale zatytułowanym *Okruchy rzeczywistości* znaleźć można błyskotliwe impresję, krótkie zapisy ulotności chwil, zapamiętane migawki z życia, które pozostawiły trwały ślad w sercu, duszy, pamięci piszących. Stąd mamy tu takie utwory jak: *Rozważania przy piątku* Bogdana J. Springera, *Ballada o ławeczce* B. Konarskiej lub poetyckie zapiski o porach dnia K. Jarosz-Rabiej, rozmyślenia *Na ławeczce* E. Kwaśniewicz, *O samotności w tłumie* Elżbiety Stalec lub *Co raz się stało* H. Sędzińskiej czy też *Znak zapytania* B. Raszkiewicz.

Trzy kolejne, objętościowo znacznie mniejsze działy antologii to: *Sztuka pisania*, *Ku sacrum* i *Po uśmiech*. W *Sztuce pisania* o swoich początkach zmagania się z piórem i o powstawaniu poezji piszą m.in. M. Orlicka, B. Raszkiewicz, M.M. Tomczak, Teresa Gładysz, E. Kwaśniewicz, K. Bałunda, K. Nawrocka i B. Konarska. Wymowne są tytuły utworów lirycznych pomieszczonych w tym dziale: *Poezja marzeń*, *Wiersz o pisaniu wierszy*, *Beztalencie*, *Jeszcze nienazwane*, *Bez weny*, *Buduję wiersz*, *O narodzinach wierszy* i *Pod skrzydłem weny*. W przedostatnim rozdziale podejmującym motyw

świętości znalazły się głównie utwory mówiące o tematyce świątecznej: *Nie było opłatka* B. Dzieścielewskiej, *Kolęda* A. Blachy, *Procesja*, *Wielkanoc* i *Adwentowy wieniec* J.L. Engel, *Wigilia* i *Obyczaj* K. Jarosz-Rabiej, *Wigilijna impresja* M. Kuleszyńskiej-Kozak, *Kolęda górską* Z. Tumielewicz i *Moja kolęda* D. Wesołowskiej.

Zamykający antologię dział *Po uśmiech* utrzymany jest w formie żartobliwej, pogodnej, wesołej. W lirycznym tonie o Winobranii pisze A. Blacha, humorystyczne piosenki *Sanatoryjna miłość* i *Co w bloku – to na oku* zamieściła Mirosława Branicka-Polarczyk, a *Satyry na myśliciela* i cykl limeryków i fraszek opublikowała J.L. Engel. Ponadto znalazły się tu *Fraszki o winie* M. Kuleszyńskiej-Kozak, *Żarcik marcowy* E. Kwaśniewicz, *Żarcik ortograficzny* M. Orlickiej, *Bajka o księżniczce* i żabie K. Nawrockiej, rubaszne erotyki i fraszki W. Stankiewicza, „różowo-czarne” fraszki D. Wesołowskiej i przewrotne wiersze *Niebo w piekle* Z. Tumielewicz oraz *Miłość w Internecie* A. Witkowskiej. W książce ponadto znalazły się teksty Mirosławy Bogdan, Danuty Filipowskiej, Bogumiły Hyli-Dąbek, Jadwigi Jarowicz, Haliny Maszner, Marii Przeźwieckiej, Piotra Warcholaka i Teresy Wielińskiej. Całość antologii kończą dokładne sylwetki biograficzne autorów i indeksy nazwisk autorów poezji i prozy, autorów obrazów i grafik oraz autorów fotografii.

Na ponad 350 stronach zamieszczono pokazny zbiór prac zielonogórskich seniorów ZUTW, który w zamyśle jego twórców nie ma na celu pomóc w zaistnieniu piszących, służyć promocji jego autorów czy wyeksponowaniu ich wytworów literackich, jak to dzieje się w tego typu antologiach, almanachach, publikacjach zbiorowych, ale – co ważniejsze – ma być świadectwem ich obecności, literackim śladem istnienia, artystycznym zapisem ich duchowej wrażliwości, ich osobistą pamiątką dla bliskich i dalszych pokoleń.

Robert Rudiak

KSIAŻKI NADESŁANE

- Jerzy Alski, *Trzecie dno*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 392 s.
- Zenon Cichy, *Urodzony za późno*, wydawca: [Zenon Cichy], Gorzów Wlkp. 2016, 132 s.
- Łucja Fornalczyk-Fice, *Boska matryca*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 56 s.
- Ferdynand Głodzik, *Fredność i przechera*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 84 s.
- Sławomir Gowin, *Chłopanie*, Oficyna Leo Liber, Warszawa 2016, 94 s.
- Sławomir Gowin, *Chwała ironii*, Oficyna Leo Liber, Warszawa 2016, 48 s.
- Sławomir Gowin, *Kraj poety: Krym, przygoda, poezja, tajemnica*, Oficyna Leo, Warszawa 2016, 242 s.
- Dorota Grzesiak, *Wyspa garbów i inne bajki dla dzieci*, Wydawnictwo Tawa, Chełm 2016, 40 s.
- Wojciech Jachimowicz, *Zapach lipy i inne opowiadania*, Ryzalit, Nowa Sól – Szyba 2016, 71 s.
- Jan Korcz znany nieznany, Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta, Gorzów Wielkopolski 2014, 96 s.
- Tomasz Jankowski, *Skrzydła motyla. XXX lat Tkaniny Artystycznej „Anna”*, Zielona Góra 2016, 94 s.
- Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Spojrzenie spod kapelusza*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Organon, Zielona Góra 2016, 64 s.
- Zbigniew Lucjan Kędzierski, *Wsi spokojna*, t. 2, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2016, 492 s.
- Krystyna Konecka, *Koneksje. Sonety wybrane/ Connections. Selected sonnets*, Wydawnictwo BUK, Białystok 2015, 88 s.
- Ewa Kwaśniewicz, *Detale*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2016, 56 s.
- Wanda Milewska, *Piruetta*, Wydawnictwo Literackie Białe Pióro, Warszawa 2016, 94 s.
- Igor Myszkiewicz, *Paprochy historii: zielonogórskie podróże w czasie*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2016, 56 s.
- Agnieszka Olejnik, *Nieobecna*, Czwarta Strona, Poznań 2016, 444 s.
- Przemysław Piotrowski, *Droga do piekła*, Videograf, Chorzów 2016, 342 s.
- Janusz Radwański, *Chałwa zwyciężonym*, Starostwo Powiatowe w Olkuszu, Olkusz 2013, 42 s.
- Aldona Robak, *Metamorfozy*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 76 s.
- Robert Rudiak, *Umieralnia*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2016, 80 s.
- Alfred Siatecki, *Porq̄bany*, Oficynka, Gdańsk 2016, 420 s.
- Z kart historii WiMBP im. Z. Herberta*, red. E. Jaworski, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wielkopolski 2016, 72 s.
- Iwona Małgorzata Żytkowiak, *Żywoł jętki*, ZLP Oddział w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2016, 48 s.

AUTORZY NUMERU

Michał Banaszak

Urodził się w 1988 r. w Zielonej Górze, gdzie mieszka i pracuje. Absolwent filologii angielskiej i prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2016 r. debiutował zbiorem wierszy *Piosenka o rozpadzie* jako laureat krakowskiego Konkursu Poetyckiego im. A. Świrszczyńskiej – „Książkowy Debiut Poetycki”; kolejne wiersze opublikowane zostały w „Toposie” (Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Struna Orficka”). Obecnie studiuje filologię polską na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkunastu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. XX w. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Chodacki

Prozaik, poeta, fotograf. Laureat konkursów literackich; publikuje w czasopismach w kraju i za granicą. Pracuje jako kardiolog w Parczewie (województwo lubelskie).

Małgorzata Chomont

Urodziła się w 1970 r. Z wykształcenia magister pielęgniarstwa, z zawodu pielęgniarka. Od 24 lat mieszka w Zielonej Górze. Jest członkiem Zielonogórskiego Towarzystwa Fotograficznego. Czynnie fotografuje, pisze poetycką prozę.

Jolanta Ciecharowska

Łączy pasję do plastyki, poezji, muzyki, fotografii oraz teatru. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, płaskorzeźbą i grafiką. Tworzy ilustracje do książek, śpiewa oraz komponuje muzykę do wierszy swoich i polskich poetów. Jako nastolatka debiutowała w ogólnopolskiej prasie literackiej. Jest autorką książki poetyckiej *Obcym wstęp wzbroniony* (Kraków 2009). Mieszka w Poznaniu.

Barbara Curzytek

Urodziła się w 1993 r. w Zielonej Górze. Studentka ostatniego roku studiów magisterskich na kierunku filologia hiszpańska na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Do jej zainteresowań naukowych należą: praktyka przekładu literackiego z języków hiszpańskiego i katalońskiego, literaturoznawstwo hispanoamerykańskie, literatura, kultura i społeczeństwo Kolumbii, a także animal studies i prawa zwierząt.

Edward Derylak

Urodził się w 1953 r. w Harasiukach nad Tanwią. Absolwent WSOW Panc. w Poznaniu i WSP w Zielonej Górze. Prozaik. Autor tomu opowiadań *Styro* (2004), powieści *Cień lasu* (2008), opowieści (z Tomaszem Lipowskim) *Czołgiści, czołgiści...* (2011), opowiadania *Per ardua ad astra* (wersja polsko-angielska, 2009), tomów opowiadań *Wedelmann* (2014) i *Historie niewyśnione* (2016). Współautor kilkunastu almanachów i antologii. Pomysłodawca i redaktor *Gawęd zagańskich* Adama Stawczyka (2008). Współredaktor książki-albumu *Dwudziesty dziewiąty w obiektywie* (2014). Swoje opowiadania publikował w takich czasopismach jak: „Pro Libris” (Zielona Góra), „Aspekty” (Biłgoraj), „Temat” (Bydgoszcz), „Własnym Głosem” (Warszawa). Laureat kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów literackich. Należy do Grupy Literackiej „Dysonans” z Wrocławia. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

Renata Diaków

Filolog, nauczycielka, scenarzystka, pisarka. Prowadzi Rodzinny Teatr Lalek „Pinokio”. Laureatka 7. edycji konkursu „Lubuski Laur Oświaty” zorganizowanego przez Sejmik Województwa Lubuskiego. Jej powieść *Artysta zmartwychwstały* otrzymała nominację do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2015. Mieszka w Nowogrodzie Bobrzańskim.

Barbara Anna Dominiak

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, nauczycielka języka polskiego w świebodzińskim liceum. Poetka, krytyczka literacka, recenzentka, moderatorka spotkań literackich. Publikuje w regionalnej prasie literackiej („Pro Libris”, „Pegaz Lubuski”).

Sylvia Erbert-Hoja

Urodziła się w 1972 r. w Rawiczu. W latach 1991-1996 studiowała w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Dyplom uzyskała w pracowni rysunku prof. Jana Berdyszaka w 1996 r. Od 1996 r. pracuje w Miejskim Biurze Wystaw Artystycznych w Lesznie – zajmuje się działalnością edukacyjną (prowadzi warsztaty, zajęcia plastyczne dla dzieci i młodzieży). Autorka instalacji, obiektów. Współpracowała z Muzeum Okręgowym w Lesznie, realizując wybrane projekty i aranżacje plastyczne wystaw.

Agnieszka Ginko

Poetka i pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka czterech książek dla dzieci, wyróżnionych w konkursach literackich oraz trzech książek z zakresu animacji kulturalnej. Za swoją twórczość dla dzieci otrzymała w 2015 ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów. Jej wiersze dla dorosłych oraz felietony ukazały się w polskich i brytyjskich czasopismach kulturalnych, m.in. „Opcje”, „Kresy”, „Fraza”, „Akant”, „Relacje-Interpretacje” i londyńskich „Arts Professional” i „The Wolf” oraz w polskich i brytyjskich tomikach pokonkursowych. Autorka od dwóch lat mieszka w Zielonej Górze i należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Jako anglistka koordynuje pracę Biblioteki Obcojęzycznej WiMBP.

Krzysztof Jeleń

Urodził się w 1963 r. Poeta, tłumacz poezji francuskojęzycznej, poliglota, nauczyciel w Zespole Szkół Ekonomicznych im. Jana Pawła II w Głogowie. Od 10 lat pełni funkcję prezesa Głogowskiego Stowarzyszenia Literackiego, którego głównym celem jest prowadzenie wszechstronnych działań promujących kulturę literacką w mieście i regionie głogowskim. Jest również członkiem Związku Literatów Polskich (oddział w Zielonej Górze). Za swoją działalność otrzymał w 2015 r. honorową odznakę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużony dla Kultury Polskiej” oraz tytuł „Zasłużony dla Miasta Głogowa”. Autor ośmiu zbiorów wierszy. Prezentowane w numerze wiersze pojawią się w kolejnym zbiorze przygotowywanym do druku.

Mirosław M. Kaniecki

Urodził się w 1957 r. w Brodnicy. Publikował w pismach ogólnopolskich, głównie w miesięczniku „Znak” i w prasie lokalnej, stale współpracuje z „Ziemią Michałowską”.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego wyróżnionego nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.stopklatka.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna. Ostatnio rozpoczęła (z pierwszymi sukcesami) naukę śpiewu.

Magdalena Kowalewicz

Absolwentka filologii germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Obecnie doktorantka pierwszego roku literaturoznawstwa. Z zamiłowania tancerka Teatru Tańca Tagim. Miłośniczka języków obcych i podróży.

Janusz Koniusz

Urodził się w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Daniel Koteluk

Historyk, regionalista, autor książek naukowych, absolwent studiów doktoranckich Uniwersytetu Zielonogórskiego (2005). Doktorat poświęcił Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu w województwie zielonogórskim w latach 1950-1956. W 2014 r. uzyskał na Uniwersytecie Wrocławskim stopień doktora habilitowanego w zakresie historii, specjalność: historia najnowsza Polski. Laureat VII Lubuskiego Wawrzynu Naukowego (2011). Współtworzy monografie miast, publikuje w historycznych pismach naukowych.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 r. Absolwent WSP w Zielonej Górze, poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes oddziału zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Agnieszka Leśniewska

Urodziła się w 1971 r. Laureatka prestiżowych konkursów poetyckich, otrzymała m.in. nagrodę teatru Terminus a Quo w XV Turnieju Poetyckim o Pierścień Kingi w Nowej Soli, wyróżnienie w konkursie Podróż Poetycka 2001 w Konstantynowie Łódzkim, wyróżnienie w VII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Z. Morawskiego w Gorzowie Wlkp., I nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim Człowiek – Dobro – Piękno w Siedlcach, „Winiarkę” 2016. Jej wiersze prezentowane były w Radiowej Książce Poetyckiej na antenie Radia Zachód w Zielonej Górze. Autorka tomiku wierszy *Dwie rzeczy*.

Janusz Łastowiecki

Krytyk radiowy, teatralny. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą psychologii odbioru teatru radiowego. Współpracuje z „E-teatrem” i „Dziennikiem

Teatralnym". Obok radia artystycznego, jego zainteresowania skupiają się na zagadnieniach filmu polskiego, teatru współczesnego i muzyki eksperymentalnej.

Sandra Mikołajewicz

Urodziła się w 1995 r. w Wolsztynie. Studentka III roku filologii polskiej (specjalność: zarządzanie dokumentacją w urzędzie i firmie) na Uniwersytecie Zielonogórskim. Obserwację świata rozpoczęła od gry w piłkę ręczną. Swoje obecne zainteresowania wiąże z zawiłościami języka polskiego oraz stylem urzędowo-kancelaryjnym.

Dorota Mleczak

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Obecnie finalizuje pracę magisterską z językowej ekspresji i nadawczej emocjonalności relacji telewizyjnych z meczów piłkarskich.

Winston Morales Chavarro

Urodził się w 1969 r. w Neivie-Huili, w Kolumbii. Absolwent komunikacji społecznej i dziennikarstwa; kulturoznawca i literaturoznawca. Wykładowca na Wydziale Nauk Społecznych i Edukacji Uniwersytetu w Cartagenie w Kolumbii. Poeta, publicysta i prozaik, laureat licznych nagród literackich krajowych i międzynarodowych. Do tej pory jego wiersze były tłumaczone na angielski, francuski, włoski i portugalski. W swojej twórczości literackiej porusza tematy związane z filozofią, mitologią oraz szeroko pojętą ezoteryką. W październiku 2015 r. był gościem WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Bogdan Nowicki

Urodził się w 1963 r. Poeta, recenzent, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych (tytuł uzyskany na Uniwersytecie Śląskim). Mieszka i pracuje w Świętochłowicach.

Aleksandra Pietruszewska

Studentka II roku studiów magisterskich na kierunku filologia polska na Uniwersytecie Zielonogórskim oraz dziennikarka Akademickiego Radia Index. Zamierza kontynuować naukę na uczelni, podejmując studia doktoranckie w zakresie językoznawstwa. Interesuje się literaturą popularnonaukową, mediami elektronicznymi, muzyką oraz społeczną historią regionu lubuskiego. Mieszka w Krośnie Odrzańskim.

Anna Piliszewska

Pisarka, poetka, kulturoznawca. Urodziła się w 1966 r. w Krakowie, mieszka w Wieliczce. Absolwentka WSFP / Akademii Ignatianum w Krakowie. Interesuje się filozofią, literaturą, historią starożytną, malarstwem oraz muzyką klasyczną. Ceni nad wyraz poezję Bolesława Leśmiana. Ponadto jest miłośniczką zwierząt i wielkim przyjacielem przyrody.

Alina Polak

Dr nauk humanistycznych, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średniowiecza, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Marcin Radwański

Urodził się w Zielonej Górze, gdzie nadal zamieszkuje. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor wielu opowiadań, których większość ukazała się drukiem w magazynach literackich. Publikuje również na łamach portali internetowych („wZielonej” przy Uniwersytecie Zielonogórskim, „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Ośrodek Postaw Twórczych – Helikopter”, „Nowa Gazeta

Literacka", „Cegła", „Litetnet", „2Miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych"). W 2014 r. wydał w formie e-booka zbiór opowiadań pt. *Skok w przepaść* i powieści kryminalnych *Nieprzypadkowa ofiara* i *Nie odrzucaj mnie* (w 2015 r. wydał wersje papierowe obu książek). Jest autorem tomiku poezji pt. *Czekając na...* Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za 2013 r.

Borys Róg

Urodził się w 1993 r., student anglistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Współpracował z Akademickim Radiem Index i portalem „Strona o kulturze", obecnie pisze recenzje literackie dla „Wyroty". Największy wpływ na jego twórczość ma amerykańska literatura postmodernistyczna, którą zajmuje się akademicko.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 r. w Zielonej Górze. Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r. Prezentowała wiersze w Radiowej Książce Poetyckiej na antenie Radia Zachód, w antologiach (*Pióro na niebie*, *Dotyk nadziei*) oraz w prasie literackiej.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilkunastu książek. Wiceprezes oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut". Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Alfred Siatecki

Urodził się w 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Dziennikarz, autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, prac biograficznych oraz słuchowisk zrealizowanych w Radiu Zachód. Zajmuje się krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński. Nagradzany za twórczość i działalność kulturalną, m.in. laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (2000). Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej".

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Mirosława Szott

Rocznik 1987, poetka, krytyczka literacka, autorka dwóch książek poetyckich (*pomiary Zamku*, 2013; *Anna*, 2015). Przygotowuje pracę doktorską o poezji lubuskiej w perspektywie geopoetyki. Kieruje działem Regionalia w roczniku „Filologia Polska". Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Wznawiamy Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”!!!

To już V edycja!

Trwa piąta edycja Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris”.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida kontynuuje dobre tradycje, mając na celu zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu oraz stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez debiut wydawniczy. Nasz partner – Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT – podobnie jak w ubiegłych latach – i tym razem będzie nas wspierać w tym przedsięwzięciu.

Liczymy na to, że Konkurs spotka się z zainteresowaniem młodych poetów, tym bardziej że nagrodą główną jest

wydanie w nakładzie 200 egzemplarzy tomiku wierszy Laureata.

Pozostali autorzy mają szansę na publikację wybranych wierszy w kwartalniku „Pro Libris”. Zdarza się, że taka publikacja jest początkiem dalszej współpracy młodych poetów z pismem literacko-kulturalnym.

W czterech poprzednich edycjach Jury konkursowe wyłoniło zwycięzców (Jakub Rawski w 2010 r., Andriej Kotin w 2011 r., Konrad Krakowiak w 2012 r., Mirosława Szott w 2013 r.), których wiersze zostały opublikowane w starannie wydanych tomikach, opatrzonych komentarzami recenzyjnymi wybitnych znawców literatury lubuskiej. Dotychczasowi laureaci mieli okazję przedstawić swoją twórczość i zaprezentować się szerszej publiczności na wieczorach poetyckich z udziałem środowiska literackiego Zielonej Góry, a także za pośrednictwem lokalnych mediów.

Serdecznie zachęcamy do wzięcia udziału w tegorocznej edycji i nadsyłania poetyckiej twórczości.

Na teksty oczekujemy do końca grudnia 2017 r.

REGULAMIN V KONKURSU „Debiut Poetycki Pro Libris”

ORGANIZATOR

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

IDEE

- Zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu i zaistnienia w szerszym kręgu odbiorców.
- Promowanie twórczości młodych lubuskich poetów.
- Stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez umożliwienie debiutu wydawniczego.

WARUNKI UCZESTNICTWA

1. Konkurs jest skierowany do osób wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie, które nie ukończyły 35 roku życia oraz których twórczość poetycka nie ukazała się jeszcze w formie książkowej.
2. Tematyka wierszy zgłaszanych do Konkursu jest dowolna.
3. Utwory nadesłane nie mogą być wcześniej publikowane w formie drukowanej oraz nagradzane w konkursach.
4. Uczestnicy Konkursu nadsyłają nie mniej niż 40 wierszy, z których każdy powinien być opatrzony godłem (pseudonimem autorskim, a nie znakiem graficznym). Wiersze w formie wydruku komputerowego oraz na płycie CD należy nadsyłać na adres:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
z dopiskiem: **V Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”**

5. Dane uczestnika (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, nr telefonu) należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem.
6. Na nadesłanie prac organizatorzy czekają do końca grudnia 2017 r.
7. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

NAGRODA

Nagrodą w Konkursie jest publikacja wierszy laureata w formie tomiku poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy w terminie do pół roku od ogłoszenia werdyktu Jury.

POSTANOWIENIA OGÓLNE

1. Prace nadesłane po upływie wyznaczonego terminu, przesłane za pośrednictwem poczty elektronicznej oraz niespełniające wymogów technicznych, nie będą brane pod uwagę w ocenie.
2. Organizator Konkursu powołuje Jury, które wybiera laureata. Ocena Jury jest ostateczna i nie podlega weryfikacji.
3. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi 31 stycznia 2018 roku.

ZAPYTANIA I UWAGI

prosimy kierować do Ewy Mielczarek, Dział Wydawnictw WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze,
tel. 68 45 32 637, kom. 603 610 906, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)



L PRO
LIBRIS